TTNU 106765
22G1
PONU 0095
22G1
Ludzie, narkotyki, zwierzęta.
Za każdą zarobioną na przemycie złotówką kryje się dramat
PRZEMYTNICY
Anita Blinkiewicz
HARDE

PRZEMYTNICY

Anita Blinkiewicz

HARDE
WYDAWNICTWO

Copyright@ by Anita Blinkiewicz 2021

Projekt okładki: Piotr Dąbrowski
Opracowanie graficzne: Monika Zając
Redakcja: Zofia Rokita
Korekta: Firma UKKLW – Weronika Trzeciak
Zdjęcie na okładce: Michael Gaida/Pixabay

Copyright@ for the Polish edition by TIME SA, 2021

Wydawca
TIME Spółka Akcyjna
ul. Jubilerska 10
04-190 Warszawa

ISBN: 978-83-66630-24-6

Więcej o naszych autorach i książkach:
facebook.com/hardewydawnictwo
instagram.com/harde wydawnictwo
wiemiwybieram.pl

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

Spis treści

Karta redakcyjna
Wstęp
W przemycie wszystkie chwyty są dozwolone
Rozdział 1. Podniebna kontrabanda
Muły na połyku
Trafienia pojedyncze i podwójne
Kolumbijskie wakacje życia
Karty ecstasy
Kokainowy ludek
Bezcenne bagaże
Akcje na rympał
Złote walizki i brylantowe buty
Modlińska zagadka
Wielbłądy zawsze się spieszą
Tytoniowa fala
Stradivarius i Renoir
Stewardzi na garnuszku mafii
Rozdział 2. Psy na narkotyki i papierosy
Genialny nos
Psy nie biorą narkotyków
Rozdział 3. Pieniądze gotowe do lotu

Sposoby prania
Tylko „mrówki” działają legalnie
Gotówka zamiast śmieci
Celnik ma nosa
Jak zarobić na podatku?
Rozdział 4. Szmugiel na fali
Drzwi okute blachą
Włókna kokosowe i błyskawiczne zupy
Drugie dno i oryginalne paliwo
Agregaty i silniki ze wspomaganiem
Dojrzewanie bananów
Kreda i pulpa ananasowa z wkładką
Zardzewiałe śruby i tajemnicze dziuple
Niebezpieczne schowki
Przemytnicze auta
Rozdział 5. Fajki ponad wszystko
Przemyt w taflach szkła i przęśle mostu
Gangi, „mrówki” i okazjonalni szmuglerzy
Skrytki z fantazją
Zamęt na „jamie”
Brudne i śmierdzące metody
Haszysz w progach
Litewska fantazja
Metalowe kolce i zasłony dymne, czyli pułapki na celników
Pociąg do lewych papierosów
„Przemytnik” relacji Kijów–Warszawa
Przesyłki pod specjalnym nadzorem

Rozdział 6. Wojna o Bug
Przemytnicze pancerniki
Tytoniowy desant
Kontrabanda idzie z dymem
Motolotnie i drony
Wpław przez granicę
Z pomocą Indian Nawaho
Rozdział 7. Przemyt bez granic
Hiszpańska baza
Krakowskie biznesy
Holenderski interes Teresy
„Rympałek” w akcji
Mandarynki z marihuaną
Rozdział 8. Psychoaktywne paczki
Persy utkane heroiną
Przemyt na niemowlaka
Pisma kokainą pisane
Wiertło w prezencie
Nie tylko w butach
Substancje śmiercionośne
Król dopalaczy
Rozdział 9. Chemicy made in Poland
Zagłębie metamfetaminy
Chińskie torebki z metą
Gołąbki faszerowane amfetaminą
Rozdział 10. Kłopotliwe pamiątki z wakacji
Głowy krokodyli

Nie tylko wilk, miś i nosorożec
Podróż żółwi stepowych
Pół tony koralowca
Mrówki na kwarantannie
Bezcenny węgorz
Kłujący bagaż i papugi w butelkach
Krwiopijcza kontrabanda
Egzotyki za grubą kasę
Sezon na raki
Sfinksy w torbach
Tygrysy utknęły na granicy
Rozdział 11. Leki i inne podróbki
Wózek nafaszerowany środkami na potencję
Farmaceutyki niewiadomego pochodzenia
Żarówki do iniekcji
Kapsułki na metabolizm
Kosmetyki na erekcję
Długa droga anabolików
Duży wybór medykamentów
Toksyczne zabawki
Perfumy z podpałki i puder z gipsu
Rozdział 12. Nielegalna migracja
Kanał bałtycki
Asy, pelikany i kurczaki
Mniej znaczy bezpieczniej
W piecach grzewczych i camperach
Ryzyko najwyższej ceny

Na podobieństwo lub na własną rękę
Wiza za małżeństwo
Rozdział 13. Handel ludźmi
Na loverboya
Silny związek emocjonalny
Rozdział 14. Legalna granica, dalej wyzysk i przemoc
Historia Marii
Podziękowania

Dla Taty, który zawsze był moim gorliwym czytelnikiem

Wstęp

Przez Polskę płynie morze nielegalnych papierosów, narkotyków i pieniędzy. Hurtowe ilości kokainy docierają do nas w kontenerach na statkach z Ameryki Południowej, wymieszane z pulpą ananasową albo kredą. Mniejsze ilości towaru są wszywane w dywany, ukrywane w figurkach Matki Boskiej lub żołądkach czy narządach rodnych „mułów". W naszym kraju krzyżują się szlaki szmuglerów i producentów nielegalnych papierosów. Parają się tym zarówno międzynarodowe gangi, jak i „mrówki".

Pogranicznicy mówią, że na wschodniej granicy o „fajki" toczy się prawdziwa wojna.

„Jaszczyki" jadą tirami, zapakowane w tafle szkła, zatopione w smole albo zbiorniku na fekalia. Płyną przerzucane pontonami przez Bug. Są zrzucane z radzieckich antonowów i dronów. Drobni szmuglerzy przyklejają pakiety do ciała, chowają w chlebie, torcie albo motkach wełny.

Nielegalni imigranci – określani pogardliwie „walizkami" albo „kurczakami" – wysiadają z tirów w Krośnie, Jaśle lub we Wrocławiu, przekonani, że właśnie dotarli do Niemiec.

Z lotnisk odlatują setki milionów dolarów w gotówce poupychane w torbach podróżnych lub pasach, którymi oplata się kurierów.

Z samochodowych skrytek są wyciągane żółwie zaklejone taśmą, by nie chrobotały, albo papugi wciśnięte w plastikowe butelki.

W przemycie wszystkie chwyty są dozwolone

Narkotykowy rynek detaliczny w UE „wycenia się” na 30 mld euro. Zdaniem analityków z Europolu i Europejskiego Centrum Monitorowania Narkotyków i Narkomanii (EMCDDA), tworzących raport *EU Drug Markets Report*, produkcja kokainy w Ameryce Południowej i heroiny w Afganistanie plasuje się na historycznie wysokim poziomie. Towar, który trafia do nas w hurcie, jest coraz czystszy, a ceny utrzymują się na stabilnym poziomie.

W przypadku konopi indyjskich i narkotyków syntetycznych Europa dokłada wszelkich starań, by zaspokoić swój popyt. Jest także globalnym dostawcą ecstasy (MDMA) i amfetaminy. Na mapie europejskich liczących się producentów związków syntetycznych figuruje także Polska, gdzie rocznie likwiduje się ponad 20 laboratoriów. W 2019 roku było ich aż 28, a rok później 31. Towar trzeba jakoś sprzedać. Polskie gangi odgrywają ważną rolę w handlu syntetycznymi narkotykami i ich dystrybucją m.in. w krajach skandynawskich.

Z danych EMCDDA wynika też, że polskie grupy, które wcześniej zajmowały się produkcją amfetaminy i w latach 90. podbijały europejskie rynki, teraz przerzucają się na chemikalia potrzebne do wytwarzania narkotyków, które przemycają m.in. do Holandii i Belgii.

Głównym dostawcą kokainy do Europy i Polski jest Kolumbia, a podstawowe bramy wwozowe tego narkotyku na Stary Kontynent prowadzą przez Półwysep Iberyjski (przede wszystkim Hiszpanię) oraz Holandię. Tu kluczową rolę odgrywa transport morski i lotniczy. Coraz częściej zdarza się też przemyt narkotyków zawartych w innych materiałach, takich jak tworzywa sztuczne. Aby go odzyskać, trzeba przeprowadzić ekstrakcję chemiczną w laboratorium. Według EMCDDA, Polska zajmuje dziewiąte miejsce wśród odbiorców

koksu w Europie. Jest postrzegana jako największy rynek konsumencki tego narkotyku w Europie Wschodniej.

Przez nasz kraj wiodą dwa główne szlaki przemytnicze – bałkański i jedwabny. Chętnie są wykorzystywane przez przemytników heroiny.

Szlak bałkański prowadzi z Afganistanu przez Pakistan, Iran i Turcję, gdzie rozdziela się na trasy: południową – przez Albanię, Włochy, Serbię, Czarnogórę, Bośnię i Hercegowinę, i północną – przez Bułgarię, Rumunię, Węgry i Austrię, Czechy, Polskę do Niemiec. W przeciwną stronę, z Europy do producentów heroiny w Azji, idzie bezwodnik octowy, prekursor służący do produkcji narkotyków. W 2018 roku w Pakistanie skonfiskowano ponad 15 ton tej substancji, która – zdaniem służb – pochodziła z Polski.

Natomiast szlak jedwabny wiedzie przez państwa Azji Centralnej, Rosję, Ukrainę do Polski i dalej na Zachód. Na polskim odcinku jest zdominowany przez szmuglerów tego, co przez nasz kraj przerzuca się najwięcej, czyli papierosów. Jadą także drogą północną z Litwy i Białorusi.

Tylko w 2019 roku Krajowa Administracja Skarbowa (KAS) skonfiskowała 253 637 155 sztuk nielegalnych papierosów, a w pierwszym półroczu 2020 roku – 89 311 560 sztuk. „Fajki" są do nas przemycane głównie wielkimi transportami w samochodach dostawczych, najczęściej pomiędzy legalnym towarem lub w specjalnie zbudowanych skrytkach konstrukcyjnych. To najchętniej wykorzystywana przez gangi metoda przemytu pod przykrywką legalnej działalności transportowej. Podobnie działają także grupy przerzucające narkotyki. Na drugim miejscu, jeśli chodzi o sposób przerzutu nielegalnych papierosów, plasują się samochody osobowe. Tu liczą się: kreatywność, znajomość budowy pojazdu i zdolności manualne potrzebne do precyzyjnego załadowania osobówki. Na przemytniczym podium tytoniowym znalazły się także pociągi.

Instytut Prognoz i Analiz Gospodarczych w swoim raporcie na temat szarej strefy szacuje, że w 2020 roku przemycono do Polski papierosy warte 2,2 mld złotych. Ekonomista Jacek Fundowicz, wiceprezes IPAG, wylicza, że Skarb Państwa mógł na tym stracić około 1,7 mld złotych. Podkreśla jednocześnie, że na takie wyniki wpływ miał w dużej mierze efekt pandemii, który przyczynił się do zmniejszenia skali zjawiska, bo handel nielegalnymi papierosami był znacząco utrudniony. Podatki stanowią obecnie w Polsce około 81 proc. ceny paczki papierosów. – Ale przemyt generuje także większe obroty, wpływając tym samym na wartość PKB – mówi Jacek Fundowicz. Prawie jedna szósta polskiego PKB jest wytwarzana w szarej strefie gospodarki. Gotówka pochodząca z przestępczej działalności oddziałuje na legalną gospodarkę – służy do nabywania firm i aktywów; to jeden ze sposobów prania pieniędzy.

Ze sprawozdania Komisji Europejskiej z 2017 roku wynika, że gdyby wszystkie papierosy trafiające na czarny rynek były sprzedane legalnie, to do budżetu unijnego i państw członkowskich trafiałoby ponad 10 mld euro rocznie. Warto dodać, że część z tych pieniędzy zasila środowiska finansujące terroryzm.

Europejski raport narkotykowy pokazuje, że zorganizowane grupy przestępcze szybko dostosowały się do nowej sytuacji. Postawiły na darknet, usługi kurierskie, a narkotykowi kurierzy przebrali się za dostawców paczek czy pizzy. Na poziomie hurtowym stracił przemyt lotniczy, ale szmugiel drogą morską kwitnie jak przed pandemią. Nie ucierpiała też produkcja dragów syntetycznych i uprawy konopi indyjskich w Europie.

Utartymi szlakami chętnie podążają również przemytnicy ludzi. Rocznie Straż Graniczna zatrzymuje nawet 5 tys. uciekinierów z państw trzecich – osoby te nielegalnie przekroczyły naszą granicę lub usiłowały to zrobić. Wśród nich są także

ofiary handlu ludźmi. Raport MSWiA z 2019 roku pokazuje też zmianę przestępczych trendów w sposobie wyzyskiwania ofiar. Przez lata mieliśmy do czynienia głównie z wykorzystaniem kobiet w seksbiznesie. Teraz to się zmienia i coraz więcej ofiar trafia do pracy przymusowej. Polska jako atrakcyjny rynek pracy, gwarantujący dobrą jakość życia, przyciąga obcokrajowców pragnących poprawić swój los. Nierzadko jednak wpadają w ręce gangów, które zamieniają ich życie w koszmar. Odbierane są im dokumenty tożsamości, nie otrzymują wynagrodzenia, podlegają systemowi kar za błahe przewinienia, np. za palenie papierosów, i w ten sposób wpadają w fikcyjną „spiralę długu". Wobec nich stosuje się także przemoc. Dane pokazują, że na takie traktowanie szczególnie są narażeni obywatele państw zza wschodniej granicy, głównie z Ukrainy, oraz osoby pochodzące z Azji, np. Wietnamczycy.

Co roku ofiarami handlu ludźmi padają miliony osób na świecie. Skala ta nie jest doszacowana, bowiem wiele osób nie zgłasza się do organów ścigania, obawiając się konsekwencji, zemsty oprawców albo nie chcąc uchodzić za niezaradne życiowo. Z danych Prokuratury Krajowej wynika, że w ostatnich latach w Polsce najwięcej osób pokrzywdzonych w związku z handlem ludźmi zarejestrowano w 2017 roku – ponad 450. W kolejnych latach notowano po około 200 osób.

Książka, którą oddaję w ręce Czytelników, traktuje przede wszystkim o tym, jak w Polsce wielkie gangi, hurtownicy i drobni szmuglerzy dwoją się i troją, by wywieść służby w pole. A także o tym, jak rodzime i międzynarodowe organizacje pilnujące porządku zwierają szyki, by rozgryźć przestępcze *modus operandi*.

Rozdział 1
Podniebna kontrabanda

Lotnisko Chopina w Warszawie. Hala przylotów. Właśnie wylądował samolot rejsowy z Santiago de Chile przez Paryż. Pasażerowie wysypują się na salę. Jedni idą szybko, inni rozglądają się. Czekając na bagaż, siadają pod lustrzanymi ścianami, włączają telefony. Zatapiają się w swoich sprawach. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, że przez cały czas są czujnie obserwowani nie tylko przez kamery, którymi naszpikowano cały port, lecz także przez funkcjonariuszy Krajowej Administracji Skarbowej, ukrytych za weneckimi lustrami zainstalowanymi wokół hali. Zwracają oni uwagę szczególnie na dziwnie zachowujące się osoby, które nerwowo się rozglądają, szukają wyjścia lub toalety. Ale ewentualnych przemytników służby typują przede wszystkim na podstawie analizy ryzyka: szybki lot, tanie linie, krótki pobyt, miejsce startu i port docelowy, bilet kupiony za gotówkę, niewielki bagaż. Z Ameryki Południowej transportuje się do Europy kokainę, a z Azji i Afryki – heroinę. Metod na przemyt jest sporo, wciąż jednak pojawiają się nowe, bo kreatywność przemytników jest przeogromna.

Muły na połyku

Bardzo popularną metodą przerzutu narkotyków, głównie kokainy, jest przemyt wewnątrzustrojowy. „Połykaczy” zwykle werbuje się z ubogich środowisk. Za jeden, bardzo ryzykowny przerzut – wszak na szali kładą własne życie – zarabiają 1-2 tys. dolarów, a w żołądku mają narkotyki warte pół miliona złotych! Połykają kapsułki wypełnione narkotykiem, najczęściej jednym rodzajem –

heroiną lub kokainą. Ale zdarza się, że w ten sposób przemycają pakiety z różnymi substancjami. Dawniej proszek wielokrotnie owijano w prezerwatywy, stearynę czy folię, tworząc pojedynczy pakiet. Obecnie stawia się na żelowe kapsułki – są pewniejsze, istnieje też mniejsze ryzyko przerwania lub przedziurawienia i zazwyczaj są trudniejsze do wykrycia na zdjęciu rentgenowskim. Aby „połykaczowi" udowodnić przemyt, trzeba go przewieźć do szpitala, gdzie – po zbadaniu przez lekarza – zostaje poddawany tomografii komputerowej, a wtedy wszystko widać jak na dłoni.

„Muły" połykają np. po kilkanaście pakietów, które ważą nawet po 40 g każdy. Przełknięcia grudki takiej wielkości uczą się, używając np. dużych winogron. Jednorazowo mogą przewieźć ponad kilogram nielegalnego towaru. Rekordzista próbował przemycić aż 2,7 kg.

Funkcjonariusze z Lotniska Chopina wspominają drobną kobietę z Urugwaju, która połknęła 180 pakietów. Towar ważył 1,8 kg. Po wykonaniu zdjęcia rentgenowskiego okazało się, że kobieta jest w trzecim miesiącu ciąży, o czym podobno nie wiedziała. Miała już kilkoro dzieci. – Była naprawdę bardzo mała, filigranowa. Mówiła, że zrobiła to dla swoich dzieci, dla rodziny, która żyje w biedzie – opowiada jeden z funkcjonariuszy.

Nie ma sposobu na przemyt doskonały – podkreślają śledczy. Jeśli komuś się uda, to tylko dlatego, że służby nie są w stanie skontrolować każdego podróżnego.

Lotnisko Chopina, największy port lotniczy w Polsce, tylko w 2019 roku obsłużył 18,86 mln pasażerów. Przetransportowano ponad 16 tys. ton poczty i niemal 100 tys. ton różnych ładunków. W takiej masie towarów niezwykle łatwo coś przeoczyć – transport mebli z Dubaju z dodatkową zawartością czy podejrzanego pasażera.

– W ciągu niespełna trzech lat, od 2017 do 2019 roku, funkcjonariusze Służby Celno-Skarbowej ujawnili w bagażach podróżnych prawie 35 kg heroiny i 4,65 kg kokainy. To efekt zdobytych doświadczeń i coraz lepszej analizy ryzyka, prowadzonych przez funkcjonariuszy Służby Celno-Skarbowej – wyjaśnia Justyna

Pasieczyńska, rzeczniczka prasowa mazowieckiej Izby Administracji Skarbowej.

Kiedy celnicy namierzą podejrzaną osobę, rewidują jej bagaż – najczęściej jest niewielki, bo „połykacze” zwykle lecą tam i z powrotem. U celu muszą spędzić kilkadziesiąt godzin potrzebnych na wydalenie kapsułek. Nie mają ani czasu, ani pieniędzy na wycieczki i zwiedzanie. Jeśli funkcjonariusze natkną się w torbie na leki przeczyszczające lub hamujące pracę jelit, zyskują kolejną wskazówkę, że mogą mieć do czynienia z „połykaczem”. Wtedy kierują na rewizję osobistą. Funkcjonariuszka, która wielokrotnie wykonywała ten rodzaj obszukania, rozwiewa mity.

– To trudne zadanie i nie zawsze przynosi rezultaty. Nie mam prawa dotknąć rewidowanej kobiety. Mogę jedynie instruować, by np. podniosła piersi, pod którymi coś może być ukryte. Prosimy o kilkukrotne ukucnięcie, licząc, że jeśli coś jest w odbycie, to się wysunie.

Kontrole osobiste mogą być też niebezpieczne.

– Mam prawo dotknąć jedynie włosów przeszukiwanej, bo mogą być w nie wplecione np. narkotyki. Ostrzegano mnie jednak, by robić to bardzo ostrożnie, bo można natrafić na ostre narzędzia. Zdarzały się przypadki, że kobiety ukrywały we fryzurach żyletki – opowiada celniczka.

Następnie jest wykonywany test narkotykowy. Jeśli potwierdzi obecność substancji w organizmie lub da niejednoznaczny wynik, delikwent musi zostać przetransportowany do szpitala na badanie i prześwietlenie tomografem. W zdecydowanej większości przypadków takie osoby mają w swoim organizmie narkotykowe pakiety. Rzadko się zdarza, by funkcjonariusze się pomylili. Zwłaszcza że przemytników zdradza też zachowanie – najczęściej są nad wyraz spokojni, zarówno czekając na transport do szpitala, podczas przejazdu, jak i tuż przed prześwietleniem.

– Nie zdradzają żadnych oznak zdenerwowania, jakby do końca wierzyli, że się uda. Nawet wchodząc na salę z tomografem, wciąż twierdzą, że nic w sobie nie mają – mówi jeden z funkcjonariuszy.

Po badaniu wszystko się zmienia. A to dopiero początek procesu odzyskiwania zawartości.

„Połykacz” razem z czterema uzbrojonymi funkcjonariuszami KAS trafia do specjalnej jednoosobowej sali z łazienką. Spędza tu kilka dni – zwykle pięć, ale zdarza się, że i tydzień. Funkcjonariusze zmieniają się co kilka godzin i nie spuszczają przemytnika z oczu. Chodzą z nim do toalety, gdzie przy otwartych drzwiach wypróżnia się na specjalną plastikową nakładkę na sedes. Jedna z funkcjonariuszek, która wielokrotnie pełniła taką straż, opowiada, że nie wszyscy są w stanie podjąć się tego zadania.

– Przed pierwszym takim dyżurem zostałam uprzedzona przez starszą koleżankę, że muszę być przygotowana na bardzo specyficzny i nieprzyjemny zapach, który towarzyszy wypróżnianiu się „połykacza”. Miała rację. Trudno to z czymś porównać. I zawsze jest tak samo. Mieszanina ludzkich odchodów, przetrawionych narkotyków i strachu – wyznaje.

Po wypróżnieniu delikwent musi wyjąć pakiety w obecności celników, umyć je i włożyć do specjalnej foliowej torby. Przez tych kilka dni przemytnik dużo pije, je lekkostrawne potrawy, kleiki i… czeka. Gdy wszystkie kapsułki zostaną wydalone, trafia w ręce policji. I tu rola KAS się kończy.

– Zdarza się, że przemytnik jest agresywny, wtedy trzeba go przykuć kajdankami do łóżka – opowiada jedna z funkcjonariuszek.

Najczęściej jednak płaczą, mówią, dlaczego zdecydowali się na tak drastyczny i ryzykowny krok. Opowiadają o dzieciach, których teraz długo nie zobaczą, i zaczynają żałować. Boją się tego, co ich czeka. Na tym etapie podają także dokładną liczbę pakietów, które połknęli.

– Z obawy, że coś może pójść nie tak i opakowanie pęknie, wolą wyznać prawdę – wspomina funkcjonariuszka operacyjna.

Funkcjonariusze KAS mają dwie podstawowe metody działania. Pierwsza to analiza ryzyka, nad którą pracują całe działy – sprawdzają kierunek podróży, długość jej trwania, przesiadki, liczbę lotów, a nawet sposób płatności za bilet. Wymieniają także

informacje z innymi służbami. Do tego dochodzi wspomniana już obserwacja zachowań podróżnych. Jest też wyrywkowe działanie, które często odbywa się na chybił trafił – pracownik lotniska prosi wtedy podróżnego o przejście do specjalnego pomieszczenia z aparatem prześwietlającym. Tam duży bagaż odebrany z luku samolotowego trafia na taśmę, a na monitorze widać jego zawartość. Turyści często są także proszeni o otwarcie walizek. Jeśli kontrola przebiegnie bez zarzutu, mogą iść dalej.

Trafienia pojedyncze i podwójne

W lutym 2016 roku na Lotnisku Chopina wpadła 29-latka z Wenezueli. Wytropili ją policjanci zajmujący się zwalczaniem przestępczości narkotykowej w Komendzie Stołecznej Policji. Robert Opas z biura prasowego KSP w rozmowie z dziennikarzami wyjaśniał wówczas, że funkcjonariusze mieli informacje, że kobieta leci z Brazylii przez Dubaj do Warszawy. Kiedy samolot wylądował, natychmiast wkroczyli do akcji.

Podeszli do kobiety, gdy zbliżała się do przejścia „nic do zgłoszenia" (tzw. zielona linia). Czekała przy stanowisku odprawy paszportowej. Zachowywała się nerwowo.

– Przemytnicy okazują zaniepokojenie, gdy myślą, że nikt na nich nie patrzy – mówi doświadczony funkcjonariusz.

W jej walizce odkryto dwie oryginalnie zapakowane butelki z szamponem, które zostały wypełnione 14 walcowatymi zawiniątkami. Była też torebka strunowa z białym proszkiem. Prześwietlenie i szczegółowa kontrola obnażyły kolejne skrytki przemytniczki. Kokainę ukryła też w swoich miejscach intymnych, a 15 pakietów z narkotykiem miała w żołądku. W sumie próbowała przeszmuglować około kilograma kokainy. Przyznała, że zrobiła to dla pieniędzy. Obiecano jej 2 tys. złotych. Pieniądze miała otrzymać od kuriera, z którym była umówiona w Warszawie. To 35-letni obywatel Nigerii – został zatrzymany w jednym z hoteli w Wilanowie.

Funkcjonariusze podkreślają, że kwota, którą „muły” otrzymują za swoją pracę, jest niewspółmiernie mała w stosunku do ryzyka, jakie ponoszą.

Niespełna rok później, w styczniu 2017 roku, również na lotnisku w Warszawie wpadła jej krajanka, 28-letnia obywatelka Wenezueli. Przyleciała do Warszawy z São Paulo przez Zurych. Kiedy wyszła na halę przylotów, natychmiast skierowała się do przejścia „nic do zgłoszenia”. Jednak mazowieccy funkcjonariusze KAS mieli już kobietę na oku. Przeanalizowali trasę jej podróży i od razu zwrócili uwagę na krótki czas trwania, a przede wszystkim kierunek.

Kobietę poddano wstępnym testom na obecność narkotyków w ślinie, a następnie w moczu. Mimo niejednoznacznego wyniku narkotestów podjęto decyzję o przewiezieniu Wenezuelki do szpitala, by tam wykonać tomografię komputerową. W przewodzie pokarmowym kobiety dostrzeżono podejrzaną zawartość. W żołądku miała kokainę zapakowaną w 80 kapsułek o łącznej wadze 0,75 kg. W każdej znajdowało się około 9 gramów narkotyku. Czarnorynkowa wartość przemycanego przez nią towaru to prawie 700 tys. złotych. Z takiej ilości narkotyków – przy założeniu 100-procentowej czystości – w detalu można by wyprodukować nawet 4 tys. działek.

Z kolei w październiku 2017 roku na Lotnisku Chopina zainteresowanie mazowieckich funkcjonariuszy celno-skarbowych wzbudziło dwóch Ukraińców, 31- i 32-latek, którzy przylecieli z Brazylii. Najpierw prześwietlono ich bagaże, ale kontrola nic nie wykazała. Celnicy nie dawali jednak za wygraną. Podróżnych poddano więc rewizji osobistej, która także zakończyła się negatywnie. Szukano dalej. Pozytywny wynik dały dopiero testy na obecność narkotyków w moczu. W szpitalu potwierdzono, że narkotyki są przemycane wewnątrz organizmu. Po ich wydaleniu okazało się, że kokainę zapakowano w 45 gumowych woreczków, każdym po około 40 gramów, o łącznej wadze ponad 1,8 kg. Czarnorynkowa wartość towaru to prawie 600 tys. złotych i 15 tys. działek w detalu.

Choć „muły” przemycają najczęściej jeden rodzaj narkotyku, to zdarzają się przypadki, gdy stawiają na zróżnicowany towar. Tak było w czerwcu 2016 roku na Okęciu. 36-letni Nigeryjczyk leciał z Zambii przez Zjednoczone Emiraty Arabskie. Kierunek podróży i krótki czas pobytu wzbudziły podejrzenia celników. Został zawrócony z przejścia „nic do zgłoszenia”. Skontrolowano jego bagaż. Poddano go testom na obecność narkotyków w ślinie, a następnie w moczu. Ten drugi dał jednoznacznie pozytywny wynik. Mężczyzna trafił do szpitala, gdzie wydalił ponad 1,5 kg kokainy i heroiny. Towar był zapakowany w 90 kapsułek. Każda ważyła około 17 gramów. Celnicy ocenili, że po rozcieńczeniu wypełniaczami wyszłoby z tego około 10 tys. działek. Śledztwo wykazało, że narkotyki miały trafić na polski rynek.

„Połykacze” czy „muły” zdarzają się także wśród Polaków. W lipcu 2012 roku na Lotnisku Chopina zatrzymano 22-letnią kobietę i jej 35-letniego kompana, którzy przylecieli z Amsterdamu. Już wstępne testy śliny i moczu wykazały, że oboje mieli do czynienia z narkotykami. Ale mogli je po prostu zażywać. Funkcjonariusze drążyli jednak dalej. Bagaże pary zbadano detektorem mikrośladów, który wychwytuje nawet śladowe ilości narkotyków. Wynik też był pozytywny. W szpitalu, tuż przed prześwietleniem jamy brzusznej, pękli. Oboje przyznali, że połknęli narkotyki. Dziewczyna miała w sobie 40 kapsułek, chłopak – aż 91. Były wypełnione zarówno kokainą, jak i heroiną, które wyceniono na ponad 324 tys. złotych.

Na lotniskach w Polsce wpadają zazwyczaj pojedynczy kurierzy, czasem, jak w tym przypadku, w parach, natomiast na przykład przez holenderskie granice płynie rwąca rzeka przemytników. Tamtejsze służby na pokładzie jednego samolotu potrafią zidentyfikować nawet kilku „połykaczy”.

Zdarza się, że nie są w stanie wszystkich od razu wyłapać, pozwalają im więc kontynuować podróż do kolejnego portu, gdzie czekają na nich służby innego państwa.

Śledczy podkreślają, że przemyt wewnątrzustrojowy, na którym można zarobić nawet 10 tys. dolarów, to zachęta nie tylko dla

biednych. Stawka zależy oczywiście od wielu czynników, m.in od kraju i miejsca, w którym pozyskuje się kuriera. „Połykacze” często są werbowani z patologicznych środowisk czy spod budki z piwem. Ale był też przypadek, gdy procederu podjął się Australijczyk polskiego pochodzenia, który był już na emeryturze. – Przyleciał na połyku z Ameryki Południowej do Polski – mówi funkcjonariusz. Powiedział, że planuje odwiedzić w Polsce matkę. Jak się później okazało, dawno już nie żyła.

Współpraca z mafią narkotykową ma jednak zwykle katastrofalne konsekwencje. Gang uzależnia kuriera od siebie. Przestępcy pożyczają mu pieniądze, obiecują pomoc w różnych sprawach, a w zamian żądają przysługi. Mówią: „To nic takiego. Darmowe wczasy, a przy okazji kuszący zarobek”. Zapewniają, że wszystko jest bezpieczne i przygotowane tak, by zminimalizować ryzyko wpadki. Zdarza się też, że zwykli podróżni są proszeni o przysługę i przewiezienie paczki dla rodziny czy znajomych. Ten argument stanowi najczęściej linię obrony, gdy akcja kończy się niepowodzeniem.

Podczas gdy z Afryki, Azji czy Ameryki Południowej przerzuca się do Polski kokainę i heroinę, nasi rodzimi przestępcy wyspecjalizowali się w produkcji narkotyków syntetycznych, w tym amfetaminy. Chociaż nie ryzykują wpadki na granicy, to i tak cały czas uciekają przed policją. Polskie fabryki amfetaminy są słynne na całym świecie, a biały proszek made in Poland cieszy się dużym zainteresowaniem grup przestępczych m.in. w Skandynawii. Wyjeżdża tam głównie samochodami osobowymi, lepiej lub gorzej ukryty.

Kilka lat temu szwedzkie służby zaalarmowały naszych śledczych, że coraz częściej zatrzymują polskich „połykaczy” z amfetaminą w żołądku. Dochodzenie wykazało, że „mułami” stawały się osoby, które jeździły tam do pracy, np. na budowach. Miał to być dla nich dodatkowy zarobek. W wyniku śledztwa zatrzymano kilku kurierów, głównie mężczyzn w wieku produkcyjnym. Amfetamina była przemycana także w bagażu zasadniczym. W ręce celników wpadały nawet kilogramowe paczki. Natomiast rzadko ukrywa się

towar w bagażu podręcznym – za duże ryzyko, w strefie security trudno cokolwiek ukryć.

Jednak połykanie pakietów z narkotykami niesie ze sobą wielkie ryzyko. W 2016 roku rozbito grupę, która na tej zasadzie z Aruby przemycała kokainę. Przed wejściem na pokład samolotów „muły" połykały od kilku do kilkunastu pakietów. Podczas śledztwa jeden z członków zdecydował się na współpracę z organami ścigania. W jej efekcie doszło do ekshumacji jednego z kurierów, którego śmierć w 2012 roku po powrocie z wyspy archipelagu Małych Antyli nie wzbudziła podejrzeń. Uznano, że doszło do niej z przyczyn naturalnych. Po latach w jego wnętrznościach odkryto 12 pakietów zawierających 740 g kokainy.

Kolumbijskie wakacje życia

Polska rodzina wpadła w Kolumbii z 5 kg kokainy. Tam młoda dziewczyna zabrała swoich rodziców na wakacje. Miała to być podróż ich życia. Dla dwójki starszych osób skończyła się jednak koszmarem. Wylądowali w tamtejszym więzieniu. Okazało się, że córka – licząc na pobieżną kontrolę bagażu starszych osób – włożyła narkotyki do walizki rodziców. Oni wpadli, ona wróciła do Polski, gdzie została zatrzymana przez nasze służby. Sprawa stała się głośna po tym, jak do prezydenta Kolumbii wpłynęła prośba o ułaskawienie. Rodzice przekonywali, że nie wiedzieli o dodatkowym bagażu.

– Liczyli na beztroskie wakacje, które miały być prezentem od córki, tymczasem był to chytrze przygotowany plan zarobku – oceniają funkcjonariusze.

Dziewczyna wyparła się wszystkiego. Także po przylocie do Polski przekonywała, że nie wiedziała o przemycie. Dzięki takiej linii obrony udało jej się wyjechać z Kolumbii, lecz rodzice zostali tam w więzieniu na lata. Nie otrzymali ułaskawienia. Śledczy twierdzą, że i tak mieli szczęście, bo są kraje, gdzie za przemyt narkotyków płaci się życiem.

Karty ecstasy

Funkcjonariusze KAS przytaczają też zatrzymanie na sali przylotów młodego chłopaka. Opakowanie z kartami do gry przerobił tak, że po otwarciu z obu stron widać było karty, ale w środku ukryto ecstasy. W sumie 280 sztuk. Kiedy funkcjonariusz oglądał karty, zauważył, że są dziwnie nieruchome. I zdecydował się rozerwać opakowanie. – Powiedziałem mu, że gdyby wpadł w Singapurze, skąd przyleciał, groziłaby mu za to kara śmierci – mówi celnik. „To chyba jedyny plus", odrzekł.

Kokainowy ludek

Do rangi symbolu kreatywności urasta inny przemyt wykryty w stołecznym porcie lotniczym. Funkcjonariusze często wskazują go jako przykład dużej pracy i skrupulatności przestępców. Chodzi o transport zabawkowych robotów na baterie. W środku każdego R-20, akumulator sporych rozmiarów. Po włączeniu ludek poruszał się, jak należy. Jednak bardzo wnikliwa kontrola ujawniła, że każda bateria zawierała kokainę. Obudowę otwarto od dołu, wyciągnięto zawartość, do środka wciśnięto narkotyki oraz baterię paluszek i połączono przewodami. Zabawka działała.

Bezcenne bagaże

Najczęściej jednak skrytki wkomponowuje się w elementy konstrukcyjne walizek i toreb. W połowie 2018 roku, na podstawie analizy ryzyka, skontrolowano 23-letniego obywatela Łotwy, który wracał z Mozambiku. Podejrzany wydawał się m.in. krótki czas jego pobytu za granicą. Funkcjonariusze podeszli do podróżnego, gdy odebrał już bagaż i zmierzał do wyjścia. Zapadła decyzja o prześwietleniu toreb. Obraz rentgenowski był niejednoznaczny. To skłoniło służby do szczegółowego przeszukania. Gdy torba została opróżniona, dostrzeżono nienaturalne wzmocnienia w bocznych

ścianach oraz dnie plecaka, który znajdował się w walizce. W środku był beżowy proszek – heroina. W sumie 3,5 kg o wartości ponad 700 tys. złotych. Z takiej ilości można by wyprodukować nawet 25 tys. działek wartych znacznie więcej niż szacunkowa wartość hurtowa. Mężczyzna przekonywał, że nie wiedział, co znajduje się w środku. Mimo to w więzieniu może spędzić nawet 15 lat.

Nie mniej finezyjne wydaje się odkrycie z grudnia 2014 roku. Na warszawskim lotnisku znaleziono ponad 2,6 kg kokainy o szacunkowej wartości 2,5 mln złotych. Narkotyki usiłowali przemycić dwaj obywatele Litwy. Towar w pięciu pakietach ukryli w bocznych ściankach i pokrywie walizki oraz w puszkach… po pędach bambusa.

Dla pewności prześwietlono także samych przemytników, ale w ich ciałach nic nie wykryto. Mężczyźni wyjaśnili, że kokaina miała trafić na Litwę, a oni działali na zlecenie jednego z miejscowych dilerów.

Z kolei nerwowym zachowaniem zwrócił na siebie uwagę pewien Grek, który w 2019 roku przyleciał do Warszawy z Johannesburga. Podczas rozmowy był niespokojny i niecierpliwie odpowiadał na rutynowe pytania. Po rozpakowaniu jego walizki i demontażu nienaturalnej grubości jej ścianek odkryto dwie paczki z heroiną, w sumie 6 kg. Śledczy uważają, że towar miał trafić na polski rynek.

Podobnie zdradziła się także Hiszpanka, która przyleciała w 2019 roku do Warszawy z Madagaskaru. Kobieta nie umiała logicznie wyjaśnić swojego pobytu w Afryce. Dla funkcjonariuszy było to impulsem do przeprowadzenia szczegółowej rewizji. W podwójnych ściankach i na dnie jej walizki odkryto trzy pakiety heroiny. Paczki ważyły ponad 5 kg.

W 2017 roku rekord należał do 33-letniego Bułgara wracającego z Brazylii. Znaleziono przy nim 3,5 kg kokainy. Ukrył kontrabandę w ściankach i paskach plecaka oraz torby podręcznej. Wcześniej pakiety owinięto w folię i gąbkę. Całość sprawiała wrażenie zwyczajnego bagażu. Dopiero po wyjęciu ubrań z torby na ekranie

urządzenia rentgenowskiego można było zauważyć, że nie wszystko wygląda właściwie. Funkcjonariusze rozpruli materiał i wyjęli siedem pakunków. Zarządzono rutynową w takich sytuacjach kontrolę osobistą. Mężczyzna trafił także do szpitala na prześwietlenie jamy brzusznej. Ale nic więcej nie znaleziono. Towar oszacowano na 700 tys. złotych. Można by z niego sporządzić nawet 30 tys. działek. Badanie laboratoryjne wykazało, że kokaina była wysokiej czystości.

Akcje na rympał

Szmuglerzy nie zawsze trudzą się żmudnym ukrywaniem kontrabandy. Bywa, że – licząc na łut szczęścia – działają na rympał, czyli bez zbytniego wysiłku. I właśnie tak było w listopadzie 2012 roku, gdy na Okęciu przejęto jeden z rekordowych przemytów kokainy. Dwóch chłopaków i dziewczyna, w wieku od 21 do 25 lat, pochodzący z okolic Mławy, wracali z Dominikany. W ich walizkach znaleziono odpowiednio 18,5 kg, 17 kg i 12 kg narkotyków. Razem przewozili towar o wartości około 9,5 mln złotych.

O szczegółowej kontroli zdecydowano po prześwietleniu rentgenowskim ich bagażu. Funkcjonariusze początkowo myśleli, że to paczki z kawą lub herbatą, którą często przywozi się z Dominikany. Kiedy jednak otworzyli walizki, dosłownie wysypały się z nich plastikowe pakiety owinięte taśmą. W środku była kokaina, z której można by wykonać 400 tys. działek. Według ekspertów taka ilość kokainy odkryta w pasażerskim ruchu lotniczym jest największym sukcesem w historii polskiego celnictwa. Przeciętny przemyt lotniskowy waha się bowiem od kilku gramów do kilku kilogramów.

W listopadzie 2019 roku na Lotnisku Chopina próbowała też akcji na rympał Brazylijka. Zwróciła na siebie uwagę funkcjonariuszy, bo zachowywała się nerwowo. Poczekali aż, w strefie przylotów podejdzie do przejścia „nic do zgłoszenia”. W bagażu rejestrowanym nie znaleźli nic podejrzanego. Kobieta miała ze sobą jeszcze foliową reklamówkę z zakupami w strefie bezcłowej i właśnie

tam ukryła hermetycznie zamkniętą paczkę z cukierkami zawiniętymi w papierki, które tylko z wyglądu przypominały cukierki. Kobieta wpadła z kokainą. W paczce były 53 fałszywe cukierki ważące w sumie prawie kilogram.

– To jeden z najbardziej błyskotliwych pomysłów – ocenia młody stażem celnik. – Wciąż jednak najbardziej zaskakuje mnie beztroska podróżnych wracających np. z Holandii, którzy mają przy sobie 2-3 g marihuany i robią wielkie oczy, gdy je znajdziemy. Tłumaczą wtedy, że o tym zapomnieli. Tyle że to już przestępstwo – dodaje.

Złote walizki i brylantowe buty

Celnicy najczęściej wyłapują podejrzanych podróżnych, gdy ci podchodzą do zielonego przejścia z napisem „nic do zgłoszenia". Tak też było w przypadku Polaka, który przyleciał z Singapuru przez Dubaj. Pod podszewką walizki ukrył trzy luksusowe szwajcarskie zegarki na rękę o łącznej wartości prawie 260 tys. złotych. Oryginalne opakowania i certyfikaty tych ekskluzywnych cacek z limitowanej serii znaleziono w bagażu rejestrowanym. Uszczuplenie Skarbu Państwa z tytułu nieodprowadzonego cła oraz podatku od towarów i usług wyliczono na około 60 tys. złotych.

Z kolei pewien Turek sam ściągnął na siebie uwagę służb. Działo się to na warszawskim lotnisku w 2019 roku. Wypytywał funkcjonariuszy celno-skarbowych o przepisy dotyczące obrotu dewizowego, ale gdy zapytali go o towar do oclenia, stanowczo stwierdził, że nic nie ma. Przeszukano wtedy jego walizkę, w której ukrył prawdziwy skarb – 25 kg biżuterii o wartości 2 mln złotych. Miał też przy sobie fakturę, z której wynikało, że towar jechał do białostockiej firmy. Za taki czyn grozi kara grzywny, kara pozbawienia wolności albo obie te kary łącznie.

Wpadła także pomysłowa szmuglerka, gdy po przejściu przez bramkę kontrolną poproszono ją, by zdjęła buty. Funkcjonariusze wspominają, że kobieta była młoda i bardzo ładna. Właśnie urodą

najpierw ściągnęła na siebie ich uwagę. Ale coś nie tak było z jej butami. Zaczęli je oglądać z każdej strony. W jednym z obcasów znaleźli brylanty o wartości 50 tys. euro.

Modlińska zagadka

Niezwykle zagadkowy był wykryty w grudniu 2014 roku przemyt na podwarszawskim lotnisku w Modlinie. Pisała o tym później „Gazeta Wyborcza". Z relacji dziennikarza wynikało, że 23-letni przemytnik Jean François M. pochodził z Nigerii. Nie skończył żadnej szkoły, bo jego rodziny nie było stać na sfinansowanie edukacji Jeana. Mówił, że ma córkę, ale niejasne były tłumaczenia dotyczące matki dziecka. Jego proces toczył się przed praskim sądem okręgowym. Oskarżono go o próbę przemytu znacznej ilości heroiny – dokładnie 488 gramów.

Nigeryjczyk z francuskim paszportem wpadł z czterema pakietami narkotyku. Przykleił je taśmą do piszczeli i owinął paczkami z kawą oraz folią aluminiową. Zgubna okazała się właśnie ta folia, bo wszczęła alarm na bramce do wykrywania metali. Z kolei kawa miała zmylić psy.

Historia, którą potem przedstawił śledczym, była niespójna. Twierdził, że do Polski przyjechał autobusem z Paryża. Potem wsiadł w kolejny autobus i pojechał na Ukrainę. „Tam jacyś ludzie okleili mu nogi jakimiś paczkami" – relacjonował dziennikarz.

Jean ich się bał. Z Kijowa trafił do Polski, na lotnisko w Modlinie. Stąd planował udać się do Brukseli.

Śledczych dziwił wybór drogi i środka transportu. Wydawało się, że w pociągu Jean byłby bezpieczniejszy. Pojawiły się więc hipotezy, że organizatorzy przemytu próbowali sprawdzić jakość kontroli bezpieczeństwa na lotnisku w Modlinie i wysłali Nigeryjczyka na wabia albo byli nieprzygotowanymi nowicjuszami. Jean François M. przekonywał, że potrzebuje pieniędzy dla chorej matki i prosił o jak najniższy wymiar kary.

Wielbłądy zawsze się spieszą

„Wielbłądami” funkcjonariusze nazywają przedsiębiorców, którzy sprowadzają do Polski tekstylia lub galanterię z Chin, a na lotnisku pojawiają się z wypchanym po brzegi bagażem podręcznym, najczęściej ogromnym plecakiem. Unikają nadawania bagażu, by po wylądowaniu jak najszybciej wyjść z lotniska i nie rzucać się w oczy podczas czekania na odbiór bagażu głównego, który ktoś mógłby chcieć skontrolować.

Niedawno rozpracowano grupę sprowadzającą do Polski podróbki ubrań. Towar był sprzedawany przez internet jako oryginalny. Całe przedsięwzięcie zorganizowała rencistka, której córka i syn pracowali w jednej z linii lotniczych. Dzięki temu matka miała dostęp do bardzo tanich biletów i korzystała z przywileju preferencyjnych opłat za nadbagaż. Zabierała ze sobą także pomocników – travel partnerów.

„Wielbłądy” robią zakupy w Chinach, dokąd lecą np. przez Moskwę. Potem, z towarem zapakowanym w kilka waliz, wracają do Berlina. W Niemczech wynajmują magazyny, w których są przechowywane ubrania, skąd co kilka dni we wspomnianym już bagażu podręcznym przerzuca się je do Warszawy. Loty odbywają się w obrębie strefy Schengen, więc nie trzeba okazywać paszportu.

Przemytnicy potrafią bardzo skomplikować swoją podróż tylko po to, by utrudnić służbom śledzenie.

– Dosłownie latają w kółko po Europie, zmieniając linie lotnicze – mówi funkcjonariusz. Dzięki częstym podróżom „wielbłądy” zbierają punkty naliczane przez linie lotnicze, a potem kupują bilety po cenach preferencyjnych. W ten sposób do Chin można polecieć nawet za 400 złotych, podczas gdy zwykła cena to kilka tysięcy.

Śledztwo wykazało, że skromna rencistka pieniądze z handlu odzieżą inwestowała w mieszkania.

W podobny sposób wyśledzono działalność byłego pracownika jednej z linii, który po odejściu z firmy zachował

przywileje i wykorzystywał je, pracując jako kurier.

– Latał do Azji częściej, niż ja przychodzę do pracy – wspomina funkcjonariusz.

Ale nie tylko – latał też na zlecenie różnych osób i przywoził zamawiane towary także z Europy. Żeby więcej przerzucić za jednym razem, zabierał ze sobą travel partnera.

Tytoniowa fala

Tłumaczenie przemytników papierosów – bez względu na rozmiar wpadki – najczęściej jest takie samo: na użytek własny. Taką linię obrony przyjął też zatrzymany w 2018 roku 22-letni obywatel Czech lecący z Dubaju. W jego walizce i plecaku celnicy znaleźli kilkadziesiąt opakowań aromatyzowanego tytoniu do fajki wodnej oraz papierosy. Przekonywał, że 32 kg tytoniu oraz prawie 6 tys. sztuk papierosów przywiózł na własny użytek i w takiej ilości, by wystarczyły mu na cały rok. Dla służb było jednak jasne, że jego wakacje miały typowo przemytniczy charakter, bo towar był bez akcyzy, nie mówiąc już o ilości znacznie przekraczającej normy. Kwotę potencjalnych uszczupleń cła i podatków wyliczono wówczas na ponad 46 tys. złotych.

W 2017 roku za rekordowy na Lotnisku Chopina uznano przerzut prawie 125 tys. sztuk papierosów, które jechały w ośmiu walizkach. Funkcjonariusze Służby Celno-Skarbowej z korytarza „nic do zgłoszenia” cofnęli do kontroli ośmiu obywateli Ukrainy w wieku 22-25 lat, którzy przylecieli rejsowym samolotem ze Lwowa. Każdy z nich miał po jednej sztuce bagażu rejestrowanego, a jedyną zawartością ich walizek były kartony z papierosami z ukraińskimi znakami akcyzy. Usłyszeli zarzuty przemytu na łączną kwotę uszczupleń podatkowych ponad 140 tys. złotych.

Ale nie był to największy tego rodzaju szmugiel w historii stołecznego portu, bo rok wcześniej Ukraińców przebili obywatele Armenii. Nielegalny towar wieźli zarówno w bagażach

rejestrowanych, jak i podręcznych. Skalą procederu wprowadzili w osłupienie nawet funkcjonariuszy celnych z wieloletnim doświadczeniem. Zamierzali wwieźć jednorazowo 10 walizek papierosów. W ruchu osobowym to swoisty rekord. W sumie przejęto wówczas 193 tys. sztuk papierosów.

Ciekawe doświadczenia mają funkcjonariusze KAS z warszawskiego terminalu cargo Lotniska Chopina. Oddział Celny Towarowy I w Warszawie obsługuje ponad 75 proc. obrotu towarowego dokonywanego w polskich portach lotniczych. To oznacza, że codziennie sprawdza się tu ponad 3 tys. przesyłek ze wszystkich stron świata. Współczesne zakupy, zwłaszcza w dobie pandemii COVID-19, odbywają się przez internet, a towar, który przewija się przez port, nie zawsze jest legalny. Zanim jednak przesyłka trafi do adresata, zostaje prześwietlona i skontrolowana. A sukces służb zwykle jest pochodną celnej analizy ryzyka.

Tak było, gdy w Warszawie wylądował samolot z Dubaju, który przywiózł m.in. meble. „Dlaczego szafki zamówiono właśnie w Zjednoczonych Emiratach Arabskich?”, zastanawiali się celnicy. I postanowili to sprawdzić. Bo metalowe meble wysłane rejsem lotniczym z Dubaju zdarzają się niezwykle rzadko. Prześwietlane pojemniki przypominały raczej obudowy urządzeń elektrycznych wyposażone we włączniki oraz przewód zasilający, a nie deklarowane meble. Zdecydowano o otwarciu paczek. W metalowych stelażach zgłoszonych w dokumentach przewozowych jako meble kuchenne znajdowały się papierosy. W sumie z 18 kartonów ważących 532 kg wyjęto ponad 263 tys. sztuk papierosów bez polskich znaków akcyzy. Kwotę potencjalnych uszczupleń cła i podatków oszacowano wówczas na ponad 308 tys. złotych.

Stradivarius i Renoir

Dużym łukiem omijają zazwyczaj lotniska szmuglerzy dzieł sztuki, bo trudno coś ukryć podczas prześwietlenia, ale i tu trafiają się

ciekawe przypadki. Jak np. 300-letni Stradivarius znaleziony w przesyłce do Kanady, która trafiła do urzędu pocztowego na warszawskim Służewcu. Nadano ją na Śląsku. Zgodnie z umieszczoną wewnątrz instrumentu inskrypcją, wykonano go w 1713 roku. Badając sprawę, śledczy dotarli do rencistki z Gliwic, która twierdziła, że, nieświadoma wartości instrumentu chciała go przekazać siostrze mieszkającej za granicą.

W 2010 roku udaremniono z kolei nielegalny wywóz do USA obrazu Pierre'a-Augusta Renoira. Niedużych rozmiarów obraz olejny w ozdobnej ramie także znajdował się w przesyłce. Uwagę celnika zwróciła metalowa tabliczka z napisem „P. A. RENOIR". Biegły sądowy orzekł, że jest to praca Pierre'a-Augusta Renoira, namalowana po 1907 roku. Okazało się, że paczkę nadano z okolic Warszawy, a właścicielka wylicytowała to dzieło podczas aukcji. Po dwóch latach zapadł w tej sprawie wyrok. Obraz został właścicielce zwrócony, jednak orzeczono najwyższą do tej pory karę grzywny za nielegalny wywóz zabytku za granicę – 70 tys. złotych plus darowiznę na rzecz organizacji zajmującej się zabytkami.

Z kolei w grudniu 2018 roku udaremniono wywóz obrazu pędzla Charmion Von Wiegand. Jego wartość zadeklarowano na 3,5 tys. dolarów. Jak się później okazało, obraz wart był 10-krotnie więcej. Zarekwirowane płótno to olejna praca wybitnej amerykańskiej malarki, przedstawicielki kierunku De Stijl stworzonego w latach 20. XX wieku. Zgodnie z notowaniami z portalu Artprice w 2007 roku dwa obrazy tej autorki zostały sprzedane w domu aukcyjnym Christie's za ponad 79 tys. euro.

Na wywóz za granicę obrazów o wartości powyżej 40 tys. złotych i starszych niż 50 lat jest wymagana zgoda ministra kultury. Przewóz bez pozwolenia grozi karą pozbawienia wolności od trzech miesięcy do nawet pięciu lat.

Stewardzi na garnuszku mafii

Narkotyki są przerzucane także za ocean. I właśnie lotnisko stało się areną dla gangów, które werbowały pracowników linii lotniczych. Od 2002 roku zorganizowana grupa przestępcza przerzucała narkotyki do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Kurierami byli stewardzi PLL LOT. Kanał działał do 2004 roku. Śledczy oszacowali, że przemycano tą drogą amfetaminę i tabletki ecstasy (ok. 100 tys. sztuk). Kilku kurierów wpadło na terenie USA. Dzięki ich współpracy z Amerykańskim Urzędem ds. Walki z Handlem Narkotykami (DEA) śledztwo nabrało tempa. Przysłużyli się także amerykańscy świadkowie koronni, którzy przerwali zmowę milczenia.

Stewardom dostarczano zapakowany towar już przygotowany do przerzutu. Ich zadaniem było tylko wnieść pakiety na teren lotniska, potem na pokład samolotu, a następnie przekazać rezydentom w Stanach lub Kanadzie. Kurierzy latali głównie do Nowego Jorku, Chicago i Toronto. Zarzuty usłyszało 11 przemytników, w tym stewardzi. Wpadli także pracownicy lotniska, m.in. były kierownik odpraw na lotnisku w Chicago.

Siatkę około 2002 roku zorganizował jeden z członków załogi. Nawiązał współpracę z grupą przestępczą i dostarczał towar koledze stewardowi, którego zadaniem było werbowanie kurierów w uniformach.

Tabletki ecstasy początkowo pakowano w specjalne T-shirty, które poniżej pach miały wszyte 10 kieszonek o wymiarach 5 na 15 cm. Mieściło się w nich 5-7 tys. tabletek. Kurierzy zakładali je na siebie. Przez materiał nie było nic widać, ale dotykając, dało się wyczuć pastylki.

Stewardzi zeznawali, że często mówiono im, iż przemycają sterydy, które w Stanach nie były zabronione. Część z nich szybko orientowała się, w jakim procederze bierze udział. Wystarczyło zajrzeć do zawiniątek, by sprawdzić, co naprawdę zawierają – kolorowe tabletki z różnymi wzorami. Za przerzut 10 tys. tabletek płacono 1-3 tys. dolarów.

Jeden z kurierów tak się zaangażował, że sam skonstruował specjalny skórzany pas ze schowkami na pastylki, który zakładał

pod ubranie. Tabletki zawijano też w folię i formowano w kształt kokonu czy ogórka – w jednym mieściło się około tysiąca sztuk. Kokony z kolei były pakowane po kilka sztuk w pakiety i ukrywane. Narkotyki przerzucano także w puszkach na mleko dla niemowląt lub z etykietą sugerującą, że zawierają orzeszki ziemne.

W 2003 roku na warszawskim lotnisku w samolocie, który przygotowywano do rejsu do Chicago, funkcjonariusze Straży Granicznej znaleźli nielegalny towar. Był ukryty był w toalecie z przodu samolotu, w skrytce pod lustrem. Wyciągnięto stamtąd dziewięć woreczków schowanych w pasie materiału. Były wypełnione okrągłymi tabletkami z wytłoczonym znaczkiem krokodyla. W sumie – ponad 2 kg MDMA. Śledztwo umorzono, ponieważ nie udało się ustalić właściciela. Dlatego przemytnicy chętnie korzystają ze skrytek w elementach konstrukcyjnych maszyny, bo utrudnia to śledczym powiązanie towaru z przemytnikiem.

Zadaniem kurierów było wniesienie narkotyków na pokład samolotu z pominięciem kontroli celnej. Było to możliwe, bo pomagali im pracownicy kontroli, którzy przenosili paczki, za co jednorazowo otrzymywali po 200 złotych. Były to reklamówki lub pakunki owinięte taśmą.

Gdy kurierzy lądowali w Stanach, dzwonili pod numer telefonu, który otrzymali od dostawcy. Przekazywanie towaru odbywało się w hotelach. Otrzymywali wówczas przesyłkę zwrotną, czyli pieniądze – od 5 tys. do nawet 100 tys. dolarów. Większe kwoty dzielono między stewardów. Tak, by móc legalnie wwieźć je do kraju.

Ale kurierów szukano także wśród stewardes. Dla nich narkotyki pakowano m.in. do bombonierek – za przewóz jednej płacono 50 dolarów. W czerwcu 2000 roku jedna z kobiet sama zgłosiła się do służb, przekazując pudełko, które zamiast czekoladek zawierało ecstasy.

Grupy przestępcze angażowały pracowników pokładowych także do przemytu do Polski kokainy. Na ten kanał pod koniec lat 90. miał postawić m.in. warszawski gangster Andrzej H.,

pseudonim Korek, jeden z bossów grupy mokotowskiej. Krakowska prokuratura ustaliła, że tą drogą przemycono 95 kg białego proszku, który zapakowano w 200 puszek oklejonych etykietami wskazującymi, że zawartością jest mleko dla niemowląt. W części puszek – dla zmyłki – rzeczywiście był produkt dla dzieci. Puszki trafiły do ośmiu walizek, które sukcesywnie, pojedynczo przez prawie tydzień leciały tym kanałem do kraju. Za przewiezienie każdej walizy kurierzy dostawali 250-300 dolarów. Towar odbierali skorumpowani celnicy.

Kolejne śledztwa obnażały praktyki personelu pokładowego. Stewardzi przesłuchani w charakterze świadków przyznawali, że nieraz przewozili różne pakunki dla osób postronnych. Paczki były odbierane w USA lub Polsce. Zapewniali przy tym, że przesyłki zgłaszali obsłudze lotu. Za te przysługi otrzymywali „drobne opłaty". „Ale tak postępowała też reszta załogi" – zeznawał jeden z oskarżonych, przekonując, że najczęściej były to listy, lekarstwa i części samochodowe.

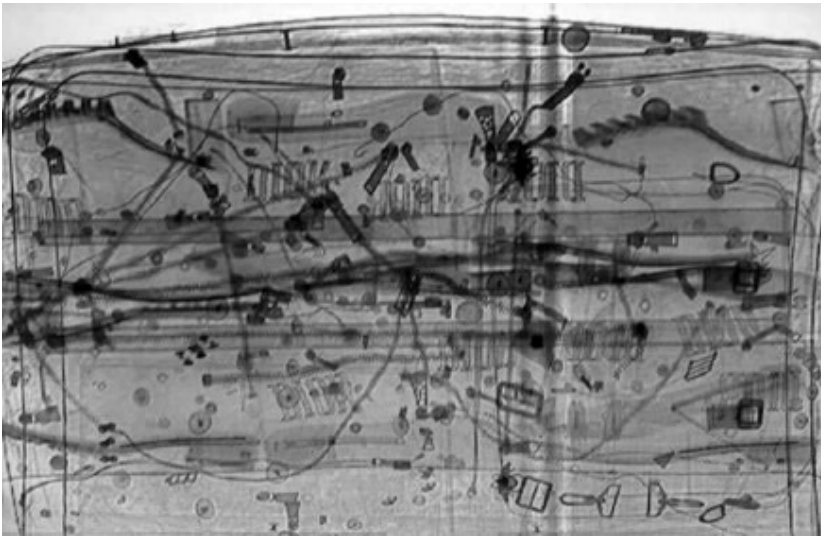

Na prześwietleniu RTG wszystko widać jak na dłoni
foto KAS

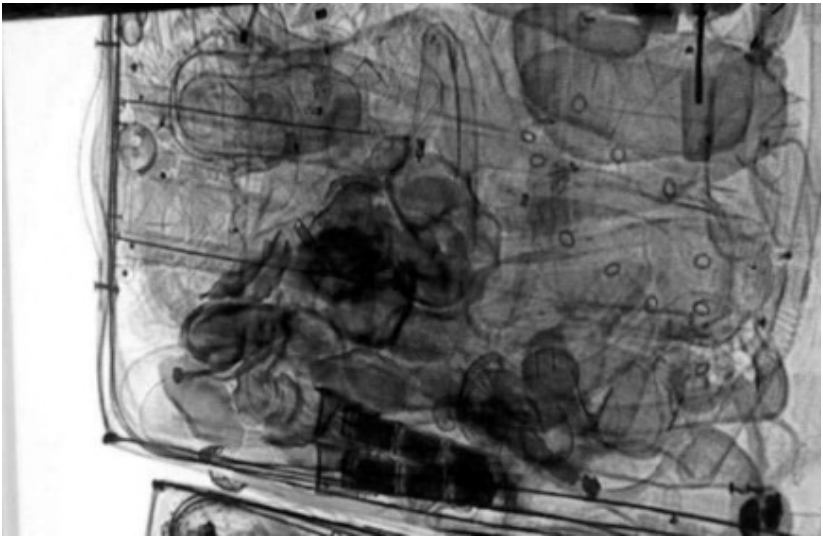

Muszle przydaczni ukryte w walizce. W sumie 56 sztuk
foto KAS

Kokainę ukryto w ściankach walizki
foto KAS

Wężowe skóry w kolorze naturalnym i pofarbowane na czarno i niebiesko
foto KAS

Cukierki z kokainą wartą pół miliona Brazylijka niosła w reklamówce z zakupami z duty free

foto KAS

Pakiety z kokainą przemycaną na połyk
foto KAS

Fragment rafy koralowej zarekwirowany na warszawskim lotnisku
foto KAS

Prześwietlenie ciała przemytnika nie pozostawia złudzeń
foto KAS

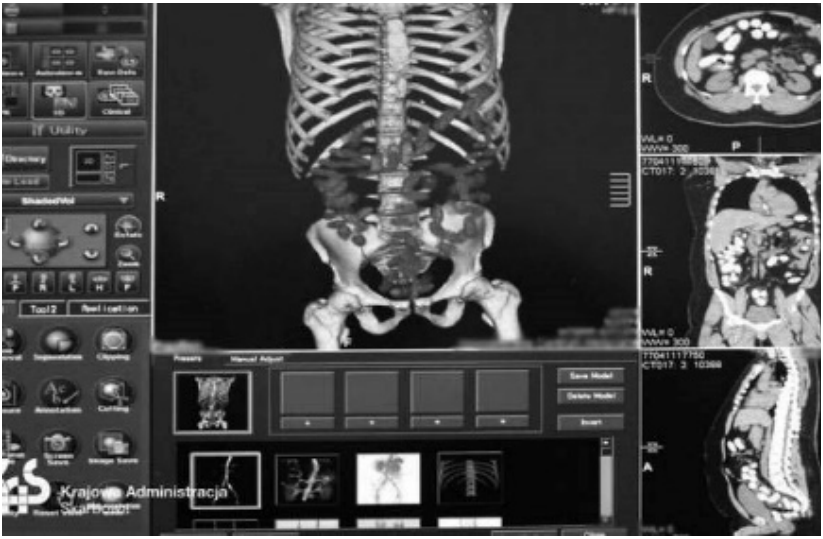

Nigeryjczyk zatrzymany na Lotnisku Chopina połknął 98 kapsułek z heroiną
foto KAS

Kapsułki z heroiną. Przemytnik połknął w sumie 1,5 kg narkotyku
foto KAS

Heroina ukryta w ściankach walizki
foto KAS

Po rozpakowaniu okazało się, że walizka ma nienaturalnej grubości ścianki. Skrywała 6 kg heroiny
foto KAS

Rozdział 2
Psy na narkotyki i papierosy

Listopad 2019 roku. Hala przylotów warszawskiego Lotniska Chopina. Podróżni kłębią się, czekając na odbiór bagażu. Przy stanowisku dla osób wracających z Ad-Dauhy, stolicy Kataru, stoi już spora grupa. Walizki powoli pojawiają się na taśmie. Pomiędzy osobami wypatrującymi swojego bagażu krążą funkcjonariusze z psami.

Filigranowa Nutka – pies na narkotyki rasy jack russell terrier – już nieraz pokazała, na co ją stać. Labradorka Loca jest z kolei pierwszym w Polsce psem dualnym. Wywącha wyroby tytoniowe, ale nie odpuści też, gdy poczuje środki odurzające. Szkoleniowcy Loki od początku widzieli w niej olbrzymi potencjał i obstawiali, że stanie się postrachem przemytników.

Właśnie psy mają okazję się wykazać. Chodzą na smyczy po taśmie, na której suną walizy. Jedne wąchają, inne mijają bez zatrzymywania się. W końcu zaczynają się interesować jedną z wielu wielkich waliz, po chwili ją drapią. To znak, że coś wyczuły. I to był strzał w dziesiątkę. W masie bagaży wytropiły 11 kg heroiny o wartości 4,5 mln złotych, z którymi do Warszawy przyleciał Anglik. W walizce mężczyzny było osiem paczek z narkotykami. Nie pomogły mieszanki egzotycznych przypraw, którymi obłożył narkotyki.

– Przemytnicy liczą, że zmylą nasze psy, używając intensywnych hinduskich przypraw, kawy czy octu. Na nic się to zda – mówi funkcjonariuszka. – Czasem właśnie, wydawałoby się, przypadkowe kichnięcie psa jest wskazaniem do dalszej kontroli. Zwierzęta reagują tak np. na zapach kleju. A to właśnie

intensywnie pachnące kleje są wykorzystywane do budowania schowków w walizkach przemytników – wyjaśnia.

Tak zaklejone schowki odkryto w październiku 2019 roku w bagażach dwóch kobiet – obywatelek Holandii i Wielkiej Brytanii – które przyleciały z Johannesburga odrębnymi rejsami. Zwróciły na siebie uwagę, bo nie potrafiły wytłumaczyć, co robiły w RPA ani dlaczego wracają przez Warszawę.

– Gdy otwarto ich bagaże, uwagę funkcjonariuszy przykuły nienaturalnie grube spody walizek. Okazało się, że w podwójnym dnie schowano po dwie paczki oklejone folią i taśmą, zawierające beżowy granulat – wyjaśnia Justyna Pasieczyńska, rzeczniczka IAS w Warszawie.

W sumie wydobyto 8,5 kg heroiny wartej ponad 1,7 mln złotych. Holenderka miała 5 kg, a Brytyjka – 3,5 kg.

W marcu 2013 roku pies służbowy wywąchał niemal kilogram haszyszu w bagażu 43-letniego Polaka, który przyleciał z Indii. Jak często bywa w takich przypadkach, najpierw uwagę służb przykuł nietypowy obraz na monitorze RTG. W bagażu Polaka znaleziono trzy hermetycznie zamknięte pojemniki. Obecność narkotyków sygnalizował swoim zachowaniem także specjalnie wyszkolony pies. Z pojemników wyjęto 146 pakietów z brązową substancją. Z takiej ilości haszyszu można by sporządzić nawet tysiąc działek.

Genialny nos

Mokry psi nos jest niezawodny w rozpoznawaniu zapachów. Może rozróżnić ich kilkaset tysięcy, podczas gdy człowiek raptem kilka tysięcy. W naszym nosie powierzchnia nabłonka węchowego wynosi około 7 cm kw., zaś w nosie przeciętnego czworonoga aż 220-390 cm kw. Do tego im większa kufa (przednia część głowy psa), tym większa powierzchnia tego nabłonka.

W psim nosie jest aż 220 mln receptorów, a w ludzkim – zaledwie 5 mln. Skuteczność psich nosów potęguje ich wilgotność.

Dzięki niej molekuły zapachu natychmiast się rozpuszczają i stają się łatwo przyswajalne dla receptorów węchowych.

Czworonogi świetnie też odróżniają zapachy. Odkryto, że nauczenie psa służbowego wykrywania 10 różnych zapachów nie zmniejsza jego skuteczności. Po prostu zwierzę pamięta zapach, którego się nauczyło, nawet jeśli dawno go nie czuło.

Służby chętnie wykorzystują te wyjątkowe zdolności czworonogów. Obecnie trenuje się psy dualne, czyli nauczone szukania, np. narkotyków i tytoniu jednocześnie. Są również czworonożni funkcjonariusze przygotowani do wykrywania pieniędzy. Pojawiła się też nowa specjalizacja – pies na bursztyn. Polscy trenerzy są pionierami w tej dziedzinie.

Na warszawskim lotnisku pracuje kilkanaście psów, a w całym kraju funkcjonariuszom celno-skarbowym pomaga aż 160 czworonogich. Statystyka ta nie uwzględnia psów pracujących dla innych służb, jak policja, Straż Graniczna czy Służba Więzienna. Do odnajdywania narkotyków i pieniędzy najczęściej są wykorzystywane labradory i owczarki belgijskie malinois, potocznie zwane maliniakami. W IAS w Warszawie służą także psy rasy chesapeake bay retriever, springer spaniel, jack russell terrier oraz płochacz niemiecki.

Podczas doboru psiego kandydata na szkolenie bierze się pod uwagę jego predyspozycje do aportowania, ufność, brak reakcji na strzał, pasję do węszenia i szukania różnych przedmiotów.

Psy dla KAS szkoli się w specjalnym ośrodku w Kamionie, stosując dwie metody.

– Aktywna polega na tym, że zwierzę zaznacza drapaniem miejsce ukrycia kontrabandy. Coraz częściej wdrażana jest jednak metoda pasywna, gdy pies zastyga w bezruchu z nosem skierowanym w punkt, skąd dochodzi zapach. Jest lepsza, bo pozwala uniknąć ewentualnych zniszczeń podczas przeszukania – wyjaśnia funkcjonariusz Izby Administracji Skarbowej z Lotniska Chopina, który na co dzień pracuje z Dolarem, labradorem wyszkolonym do szukania narkotyków, który rozpoznaje pięć zapachów: marihuany, haszyszu, heroiny, kokainy i amfetaminy.

Ale Dolar potrafi także wykryć dopalacze. Podczas węszenia w jednym z magazynów przesyłek kurierskich zainteresował się paczką, która przyleciała z Holandii. Z deklaracji wynikało, że powinna zawierać akcesoria sportowe, jednak zachowanie czworonoga wzbudziło podejrzenia opiekuna. Po otworzeniu paczki okazało się, że w środku są beżowe kryształki. Badanie w Centralnym Laboratorium Celno-Skarbowym wykazało, że jest to substancja psychotropowa o symbolu 4-CMC, sprzedawana jako dopalacz. Z przechwyconych 5 kg kryształków można by wyprodukować około 50 tys. sztuk gotowego narkotyku o wartości ponad 250 tys. złotych.

Psy nie biorą narkotyków

Opiekunowie psów i ich trenerzy obalają mity, jakoby psom podczas szkolenia podawano narkotyki.

– Czy w takim razie zwierzęta ćwiczone do szukania pieniędzy albo materiałów wybuchowych dostają do jedzenia proch lub banknoty? – pytają retorycznie specjaliści.

Wszystko odbywa się na zasadzie zabawy.

– Dotarcie do źródła zapachu pies kojarzy z nagrodą. Najczęściej to zabawa piłką, aportowanie – wyjaśnia funkcjonariuszka KAS z warszawskiego lotniska, opiekunka Amara, labradora na narkotyki.

Podczas 13-tygodniowego kursu pies poznaje zapach, który podaje mu się do powąchania w specjalnym naczyniu. Gdy go wywęszy, dostaje nagrodę. Dzięki temu buduje się pozytywne skojarzenia.

– W trakcie ćwiczeń zwierzę zaczyna rozumieć, że jeśli wskaże miejsca ukrycia zapachu, spotka go coś przyjemnego. Ot, cała filozofia – mówi opiekunka Amara i podkreśla, że zwierzę zaczyna szukać po otrzymaniu komendy.

Trenerka wspomina też sytuację, gdy szła przez lotnisko, by wyprowadzić swojego podopiecznego na spacer.

– W pewnym momencie Amar zainteresował się chłopakiem czekającym na odprawę. Zaczął skakać przy jego plecaku. Byłam zaskoczona, ale nie mogłam tego zlekceważyć. Poprosiłam, by chłopak otworzył bagaż – opowiada. Okazało się, że w środku miał plastikowe opakowanie po skręcie. Wracał z Amsterdamu. – To pokazuje, jak bardzo czuły jest psi nos. Nic się przed nim nie ukryje – podsumowuje z uśmiechem.

Przykładów na skuteczność wytrenowanych psich nosów jest wiele. W czerwcu 2019 roku dzięki czworonożnemu funkcjonariuszowi wykryto w Warszawie gigantyczny – jak na warunki portu lotniczego – przemyt papierosów. Bohaterką była Diuna rasy jack russell terrier. Pies na papierosy zainteresował się bagażami czterech obywatelek Armenii. Od początku mieli je też na oku celnicy, bo już w bagażu podręcznym znaleźli „handlowe" ilości papierosów. Na warsztat poszło osiem walizek. Kobiety zadały sobie sporo trudu, by zapakować nielegalny towar. Paczki pochowały m.in. w pudełkach po ciastkach, etui na laptopa, butach, kosmetyczkach oraz odzieży, ale również owinęły je folią aluminiową.

– Wszystko po to, by zmylić funkcjonariuszy i oszukać aparat do prześwietlania – mówi Pasieczyńska. Nie udało im się jednak zmylić niepozornej suczki.

W styczniu 2015 roku psy wspierały celników podczas kontroli 51-letniego Hiszpana, którego cofnięto z przejścia „zielona linia". Do Warszawy przyleciał z São Paulo przez Dubaj. Rewizji poddano jego plecak oraz walizkę. To właśnie w niej znajdowały się trzy kartony zawierające 38 saszetek z kosmetykami.

– Wszystkie były oryginalnie zamknięte, na opakowaniach widniały opisy ze składem – mówi rzeczniczka warszawskiej IAS.

Otwarto trzy wybrane losowo. Narkotest kolorymetryczny wykazał, że zawierają kokainę. W sumie 3 kg.

Przemytnicy dwoją się i troją, by przechytrzyć służby. Próby ukrycia narkotyków w kawie czy egzotycznych, wonnych przyprawach już nikogo nie zaskakują i świetnie radzą sobie z nimi psie nosy. Dlatego szmuglerzy cały czas kombinują, by wymyślić

coś nowego. Szukają nowych patentów na ukrycie kontrabandy i zmylenie psiego nosa. Podejmują nawet próby pozyskiwania służbowych psów, które przeszły na emeryturę, by za ich pomocą testować nowe schowki i metody ukrycia nielegalnych towarów. Potrafią przy tym zadać sobie dużo trudu. Służby przekonują się o tym codziennie.

Psy celników są bardzo cenione i często pomagają innym służbom w akcjach. Tak było, gdy funkcjonariusze Straży Granicznej i policji chcieli przeszukać lokale jednego z bossów gangu przemycającego podróbki z Turcji. Mężczyzna razem z siedmioma kompanami już od miesiąca przebywał w areszcie. Jednak zdecydowano, by ponownie przeszukać jego mieszkanie oraz posesję w okolicy Bielska-Białej. Miał w tym pomóc pies z katowickiej KAS, wyszkolony do szukania gotówki. I wykonał zadanie na medal.

Razem z pieniędzmi przechowywanymi w skrytce bankowej przejęto 1 884 067,84 złotych w dolarach, euro i polskiej walucie. Szajkę ostatecznie rozbito pod koniec 2018 roku. Zdaniem śledczych podróbki, które sprowadzali przestępcy, można liczyć w tonach. Działali pod przykrywką fikcyjnych podmiotów gospodarczych i legalnych firm transportowych. Tygodniowo przywozili z Turcji ponad 40 ton nielegalnej odzieży, galanterii skórzanej i obuwia. Po raz pierwszy zaliczyli wpadkę w marcu 2018 roku, gdy przejęto samochód ciężarowy z kontrabandą wartą 25 mln złotych.

Heroinę podklejoną do ścian walizki wywąchały psy, mimo że pakiety były obsypane egzotycznymi przyprawami
foto KAS

Do przeszukiwania paczek kurierskich wykorzystuje się psy pracujące pasywnie, aby nie niszczyły opakowań

foto KAS

Dolar z mazowieckiego KAS w magazynie przesyłek kurierskich wytropił paczkę z 5 kg 4-CMC
foto KAS

W przesyłce miały być buty. Pies znalazł dopalacze
foto KAS

Cztery podróżne z Armenii wiozły w ośmiu walizach 90 tys. sztuk nielegalnych papierosów. Wpadły na warszawskim lotnisku
foto KAS

Akcja antynarkotykowa na Lotnisku Chopina
foto KAS

W załadowanym artykułami spożywczymi tirze sześć palet skrywało dodatkowy ładunek
foto KAS

Pies Gotar wywąchał papierosy w dwóch pianinach szczelnie obłożonych folią i papierem, przewożonych dostawczakiem
foto KAS

Loca z mazowieckiej Izby Administracji Skarbowej była pierwszym psem dualnym przygotowanym do szukania papierosów oraz narkotyków
foto KAS

Psy służbowe KAS w 2021 roku przeszkolono do wykrywania COVID-19
foto KAS

Rozdział 3
Pieniądze gotowe do lotu

Z taśmy stopniowo znikają kolejne walizki i plecaki. Jest ich kilkadziesiąt, niemal wszystkie z zieloną etykietą przyklejaną podczas odprawy. To znaczy, że pasażerowie przylecieli z państw Unii Europejskiej. Ta walizka jako jedna z niewielu ma inne oznaczenie, co wskazuje, że podróżny leciał spoza Unii z przesiadką wewnątrz Wspólnoty. Turysta, który ją zabiera, zmierza do wyjścia „nic do zgłoszenia". Wtedy podchodzą do niego funkcjonariusze i proszą o pokazanie zawartości. W ten sposób zatrzymywani są przemytnicy pieniędzy.

Tak w 2017 roku wpadł chiński kurier z 430 tys. euro. Pieniądze o nominałach 20 i 50 euro wrzucił luzem do bagażu głównego. W tym samym czasie równowartość niemal 200 tys. złotych próbował wwieźć bez zgłoszenia Polak, który przyleciał z Dubaju. Został wytypowany do kontroli, gdy szedł korytarzem „nic do zgłoszenia". Z jego walizki i podręcznej torby wyciągnięto dewizy w różnej walucie (euro, frank szwajcarski, dolar hongkoński) o łącznej równowartości 46 945 euro. Tłumaczenie mężczyzny niespecjalnie przekonywało kontrolerów. Powtarzał, że pieniądze służą do prowadzenia działalności gospodarczej. Mimo że już kilkaset razy przekraczał granicę celną Unii Europejskiej, twierdził, że nie wie o obowiązku ich zgłaszania. Wszczęto przeciwko niemu postępowanie karne skarbowe.

Przy wjeździe lub wyjeździe z Unii można mieć przy sobie gotówkę w wysokości do 10 tys. euro. Wyższe kwoty należy zgłosić. Jeśli się tego nie zrobi, a celnicy odkryją pieniądze, podróżnemu grozi grzywna. Jeśli w grę wchodzą wysokie sumy, o

wysokości kary decyduje sąd. To ważny aspekt, który ma znaczenie w walce z przestępstwami podatkowymi, praniem brudnych pieniędzy, a także finansowaniem organizacji terrorystycznych.

Sposoby prania

Funkcjonariusze warszawskiej KAS pracujący na lotnisku natykają się na duże sumy przede wszystkim w bagażach obywateli Wietnamu lub Chin. To pieniądze przewożone w ramach Unii. Pochodzą głównie z handlu i są gromadzone w różnych punktach zbornych, takich jak podwarszawska Wólka Kosowska – wielkie azjatyckie centrum handlowe i hurtowe. Na kilkudziesięciu hektarach stoją tu hurtownie – głównie odzieżowe, ale też z urządzeniami RTV i AGD, zabawkami, biżuterią. Ich właścicielami są przedsiębiorcy z Chin czy Wietnamu, którzy wynajmują powierzchnie przede wszystkim swoim krajanom.

Odkryto, że część tych nielegalnych transferów robiono po to, by pieniądze zaraz do Polski wróciły. Wtedy są już zgłaszane na granicy i stają się legalne, można je więc oficjalnie zainwestować. Aby je „uprać", organizowano wielką machinę podróżniczą, w którą angażowano jak najwięcej osób.

– Leciały niejednokrotnie całe rodziny z dopuszczalną normą, czyli bez obowiązku zgłaszania – wyjaśnia funkcjonariusz warszawskiej Izby. Potem szybko z nimi wracają, sumując je, ale już zgłaszają się do odprawy w celu złożenia deklaracji dewizowej.

Przemytnicy ryzykują zazwyczaj do pierwszej wpadki. Jak Wietnamka z polską kartą pobytu, którą zatrzymano z bagażem dosłownie wypchanym kasą. W sierpniu 2019 roku leciała z Lotniska Chopina do Wietnamu. W bagażu podręcznym przewoziła ponad 100 tys. euro (w banknotach po 500 euro), 900 dolarów i ponad 8 mln dongów wietnamskich (VND). W sumie – ponad 537 tys. złotych. Na poczet grzywny zatrzymano 10 tys. euro.

Z analizy jej licznych podróży wynikało, że od stycznia 2019 roku do sierpniowej wpadki przekroczyła granicę – jak mówią celnicy – „w wylocie” 18 razy, a „w przylocie” 12 razy. Typowy kurier. Podczas każdej z wcześniejszych podróży mogła wywozić podobną sumę pieniędzy. Zeznała, że w Polsce jest pracownikiem najemnym i zarabia niecały tysiąc dolarów miesięcznie. Nie prowadzi działalności gospodarczej. Wyjaśniła, że pieniądze należą do przyjaciół oraz rodziny i wiezie je do Wietnamu w ramach przysługi. Gotówkę skrzętnie ukryła w zakamarkach podręcznej torby, którą funkcjonariusze musieli rozpruwać, by dokładnie ją sprawdzić. Dzięki temu, że kobieta miała banknoty o dużych nominałach, przemyt nie zajmował wiele miejsca.

– Raz została zatrzymana, a później latała non stop i wywoziła tylko normę – mówi celnik. – Wiedziała, że na nią czekamy, że będzie kontrolowana. Drugi raz nie dała się już złapać – wyjaśnia.

Z dozwoloną kwotą latała co drugi, trzeci dzień. Oczywiście, taką osobą służby interesują się już stale.

Tylko „mrówki” działają legalnie

Gdy celnicy zatrzymują przemytnika pieniędzy, wszystko skrupulatnie liczą, sporządzają notatkę i wszczynają postępowanie karne. Mogą również wystawić mandat na sumę do 5200 złotych. Pieniądze wracają do właściciela, a służby nie mogą ich zatrzymać do czasu wyjaśnienia sprawy.

„Mrówki” – już legalnie – przywożą do Polski po 200-300 tys. euro. W dokumentach dla urzędu skarbowego wpisują, że fundusze są przeznaczone na budowę kolejnego pawilonu czy domu. W deklaracji jako źródło pochodzenia najczęściej podają „prezent od rodziców” („od tatusia” lub „od mamusi”), a cel przeznaczenia – „inwestycje w Polsce”. W ten sposób na oczach polskich służb pieniądze są prane. Funkcjonariusze KAS doskonale jednak wiedzą, że najpierw z Polski potajemnie wyjechały.

Rekordowy przemyt pieniędzy wykryto na warszawskim lotnisku w sierpniu 2019 roku. 23-letni Turek z polskim obywatelstwem przewoził euro i dolary, warte w przeliczeniu 1 mln 211 tys. złotych. Mężczyzna miał przy sobie tylko bagaż podręczny i leciał do Turcji. Od razu wpadł w oko służbom, ale szybko zorientował się w sytuacji i zrezygnował z podróży.

Następnego dnia znów pojawił się na lotnisku, miał zarezerwowany kolejny lot. Celnicy już na niego czekali. Młody mężczyzna zgłosił się do wejścia na pokład samolotu jako jeden z ostatnich pasażerów. Gotówki nie próbował nawet ukryć. Po prostu wrzucił ją do podręcznej walizki. Tłumaczył, że to pieniądze rodziny, która prowadzi działalność handlową w Polsce. Twierdził, że sam studiuje w Warszawie, pracuje w marketingu jednej z firm w Wólce Kosowskiej i miesięcznie zarabia tam 850 złotych, a te pieniądze wiezie do Stambułu, by kupić nieruchomość.

Wkrótce wpadła kolejna osoba z tej rodziny. Z nieco mniejszą kwotą. Na jaw zaczęły wychodzić pozostałe elementy układanki. Jako kurierów zaangażowano całą rodzinę. Latali non stop, wywożąc dopuszczalną normę.

Gotówka zamiast śmieci

Pieniądze najczęściej są przemycane w bagażu podręcznym. Walizki z pieniędzmi trafiają do luku bagażowego, gdy lecą rejsem bezpośrednim. Przemytnicy minimalizują w ten sposób ryzyko zagubienia torby podczas międzylądowania i przesiadki.

Celnicy opowiadają wiele historii związanych z przemytem pieniędzy. Tak w ich ręce wpadli na lotnisku np. Chińczycy, którzy przewozili w walizkach worki na śmieci wypełnione gotówką – było tam 300 tys. euro. Chińczycy mieli włoskie i hiszpańskie karty pobytu. Przemieszczali się w ramach Unii Europejskiej. Z Hiszpanii i Włoch, gdzie zarabiali, zwozili gotówkę do punktów zbiorczych. W przypadku Polski – do wspomnianej już Wólki

Kosowskiej, gdzie podczas policyjnych operacji odkrywano całe ściany nafaszerowane pieniędzmi.

Jedno ze śledztw prowadzonych w Wólce Kosowskiej przez CBA pozwoliło odkryć transfery pieniędzy z działających tam trzech wietnamskich firm. Wykazano, że w latach 2019-2020 wypłynęło stamtąd co najmniej 116 mln złotych, które trafiły na rynek azjatycki.

W 2018 roku na lotnisku w Modlinie wpadła Chinka legitymująca się włoską kartą pobytu. Przyleciała z Madrytu. W walizce miała 400 tys. euro w banknotach po 10, 20 i 50 euro.

– To drobne nominały. Uważamy, że pieniądze prawdopodobnie pochodziły z handlu narkotykami – wyjaśnia funkcjonariusz operacyjny i dodaje, że w drogę poza strefę Schengen pieniądze ruszą w większych nominałach, by zajmowały mniej miejsca i były trudniejsze do wykrycia.

W przypadku wspomnianej Chinki gotówka leciała w bagażu głównym. Gdyby pieniądze były w podręcznej torbie, podczas zwykłej kontroli znaleźliby je hiszpańscy celnicy, którzy – w przeciwieństwie do polskich kolegów – mają prawo zarekwirować kasę do wyjaśnienia.

Na trop innej afery w 2010 roku przez przypadek wpadli pogranicznicy. Szukali w Wólce Kosowskiej narkotyków, a znaleźli miliony w gotówce, do których nikt się nie przyznawał. Śledztwo wykazało, że z Polski gotówka nielegalnie trafiała do Chin i Wietnamu. Przemyt organizował Polak. Zbierał pieniądze od Wietnamczyków i poprzez kurierów – najczęściej kierowców autobusów rejsowych – wywoził je na Litwę. Potem zaś transferowano je na Łotwę, na konta firmy z Rygi, która wykonywała przelewy do Azji. Od stycznia 2010 do sierpnia 2011 roku wywieziono w ten sposób 190 mln dolarów i 70 mln euro. Te kwoty pokazują skalę problemu.

Celnik ma nosa

W 2019 roku przeprowadzono międzynarodową operację „Dafne”, która dotyczyła prania brudnych pieniędzy. Chodziło o to, by sprawdzić, jakich kwot dotyczy ten proceder i w jaki sposób transferuje się pieniądze. Badanie potwierdziło olbrzymią skalę problemu i to, że najczęściej są przewożone banknoty o wysokich nominałach, bo w oczywisty sposób pozwalają na przesył wielkich sum.

Służby nie są w stanie sprawdzić wszystkich podróżujących. Zakładają np. 10 proc. kontroli. Dlatego skupiają się na analizie ryzyka, by trafnie typować ewentualnych przemytników w wartkim strumieniu podróżnych. A analiza ryzyka w dużym stopniu opiera się na nosie celnika.

Funkcjonariusze niechętnie zdradzają tajniki swojej pracy. Wiadomo, że wykorzystują bardzo różne metody. Ważnym elementem jest także wymiana informacji z innymi służbami krajowymi i międzynarodowymi. Ale niezastąpionym pozostaje nadal po prostu człowiek – jego obserwacje, intuicja, inteligencja, spostrzegawczość, wyczulenie na pewne zachowania, spojrzenia, gesty. Powstają skomplikowane schematy wynikające z obserwacji jednego podróżnego lub całej grupy. W ten sposób służby poznają modus operandi przemytników.

Jak zarobić na podatku?

Na lotniskach rozpracowuje się m.in. oszustów, którzy chcą wyłudzić pieniądze od Skarbu Państwa. Gdy wyjeżdżają poza strefę Schengen, zgłaszają się po zwrot VAT-u, np. za zegarek wart milion złotych. Właśnie tak zrobił młody Chińczyk, który w ten sposób zainkasował około 230 tys. złotych. Aby zminimalizować ryzyko wpadki, oszuści z wykonaniem operacji czekają do ostatniej chwili przed odlotem samolotu, a potem nie wsiadają na pokład. W tym czasie celnicy sprawdzają, czy ktoś, kto zrezygnował z lotu, nie odebrał zwrotu VAT. Za wprowadzenie urzędu celno-skarbowego w błąd jest kara. Mandat za bezprawnie zwrócony

podatek to maksymalnie 5200 zł i anulowanie dokumentu TAX FREE – wyjaśnia funkcjonariusz.

W listopadzie 2018 roku do funkcjonariusza zgłosił się obywatel Ukrainy. Chciał potwierdzić wywóz towaru. Przedstawił zegarek na metalowej bransolecie, certyfikat oryginalności oraz dokument „Tax free for tourists”, w którym wpisał zegarek o wartości ponad 49 tys. złotych. Jednak w trakcie weryfikacji okazało się, że to nie ten egzemplarz. Numer seryjny był niezgodny z danymi zawartymi w dokumentach. Gdyby oszustwo mu się udało, wyłudziłby ponad 9 tys. zł VAT-u. A tak dostał mandat – 4200 złotych.

Zdaniem śledczych, w tego rodzaju oszustwa mogą angażować się nieuczciwi sprzedawcy ze sklepów z luksusowymi towarami. Gdy ktoś zainteresuje się np. drogim zegarkiem, składają mu intratną propozycję. Jeśli klient poczeka dwa tygodnie, zegarek zostanie przerzucony przez granicę ze zwrotem VAT-u. Cena spada, a zyskiem sprzedawca dzieli się z klientem. Najpierw jednak zaprzyjaźniony podróżny wywozi towar samolotem za granicę, a wraca pociągiem albo też samolotem. I tańszy o VAT towar ląduje z powrotem w sklepie.

Torby podróżne pełne pieniędzy przejęte na warszawskim lotnisku
foto KAS

Euro w plecaczku przechwycone na Lotnisku Chopina
foto KAS

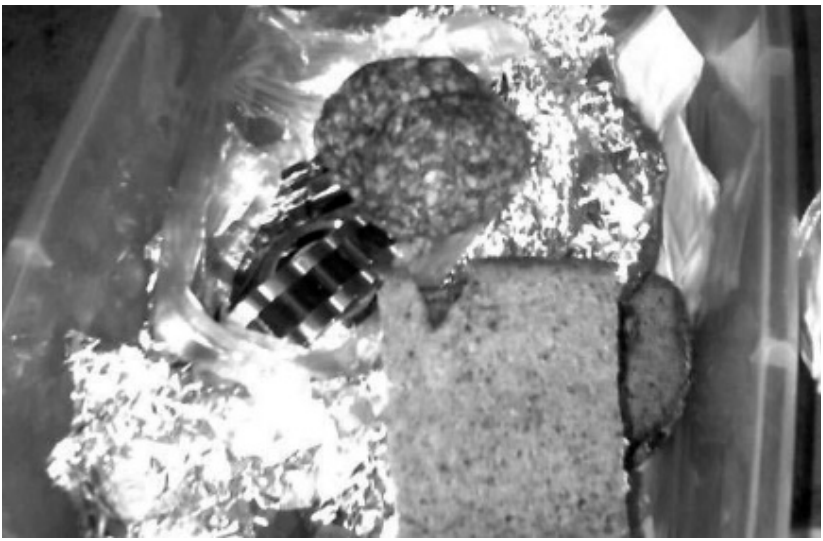

Podróbki markowych zegarków w kanapkach, Terespol
foto KAS

Podróbki markowych zegarków w termosie, Terespol
foto KAS

Pochodzące z XIX i początku XX wieku ryciny, akwarele, mapy wyjęto w Dorohusku z bagażu Ukraińca
foto KAS

Wysuszone głowy krokodyli miały być pozostałością po kolacji
foto KAS

Skóra niedźwiedzia odebrana podróżnemu na lotnisku
foto KAS

152 sztuki sadzonek roślin kaktusowatych warszawscy celnicy odkryli w zagubionym bagażu, który przyleciał z Chile przez Amsterdam
foto KAS

Rozdział 4
Szmugiel na fali

Gdynia i Gdańsk to jedne z największych bałtyckich portów przeładunkowych. Do lat 70. i 80. XX wieku zawijały tu głównie statki pasażerskie oraz masowce przewożące luzem w ładowniach jednolite towary, takie jak: węgiel, zboże czy stal. Ale od tamtej pory wiele się zmieniło – rynek, otwarcie na świat, globalizacja, handel internetowy, tysiące firm, które importują najróżniejsze towary. Stale rozbudowywana jest także infrastruktura obu portów.

Do naszych bałtyckich portów z roku na rok zawija coraz więcej kontenerowców, nawet kilkadziesiąt dziennie. Tylko w Gdańsku w 2019 roku przeładowano 2 073 215 TEU (*twenty-foot equivalent unit* – jednostka pojemności używana w odniesieniu do portów i statków; jest ona równoważna objętości kontenera o długości 20 stóp), które ważyły 20 904 638 ton. Dla porównania: w 2009 roku przez gdański port przewinęło się ich 240 623 TEU. Liczba ta od 30 lat stale rośnie.

Do Gdańska trafia ponad 60 proc. kontenerowców, które płyną do Polski. Największe, jakie wpływają na Bałtyk przez Cieśniny Duńskie, mogą mieć zanurzenie do 14,5 m, a takie są obsługiwane w Polsce tylko w porcie gdańskim – cumują przy kei terminala DCT. Mają nawet 400 m długości i są w stanie pomieścić do 18 tys. „puszek", jak o kontenerach mówią celnicy.

Port nie zasypia nigdy. Pracuje się tam 24 godziny na dobę, w systemie trzyzmianowym. Średnio jeden kontenerowiec jest rozładowywany w ciągu doby. Największe muszą czasem spędzić w Gdańsku nawet trzy dni. Towar często jest przepakowywany na

mniejsze jednostki i rozsyłany do lokalnych portów bałtyckich w Szwecji, Finlandii, Rosji.

– Jeden dzień transportu wielkim kontenerowcem jest bardzo drogi, dlatego opłaca się go tu wyładować i wysłać towary do portów przeznaczenia – wyjaśnia funkcjonariusz KAS z Gdańska, zajmujący się zwalczaniem przestępczości. To, co ma trafić na południe Europy, w oczywisty sposób jest transportowane tirami albo ładowane na pociągi towarowe.

Statystyki i dane pokazują rozmiar gdańskiego portu, jego skalę i znaczenie dla kraju, ale tym samym czynią go wielką okazją dla przemytników. W kontenerach, które do nas przypływają, jest po prostu wszystko. W tej olbrzymiej masie towarów łatwo coś ukryć i przeoczyć. Aby tych przeoczeń było jak najmniej, rozmaite służby zwierają szyki. Analizą ryzyka w porcie zajmują się specjalne wydziały w KAS. To sztab wyspecjalizowanych ludzi podejmujących decyzję, która „puszka" z tej wielkiej masy zostanie prześwietlona i dokładnie skontrolowana. Pod uwagę jest brana trasa i rodzaj załadunku, a także przemytnicze trendy czy informacje operacyjne, których pochodzeniem służby nie lubią się dzielić. Nierzadko otrzymują wskazówki od zagranicznych funkcjonariuszy – istnieją bowiem specjalne międzynarodowe bazy danych, które dotyczą przemytników i metod ich działania. Celnicy często dostają też dyspozycje od śledczych, z prokuratury czy policji, ze wskazaniem do przeskanowania i rewizji zawartości danego kontenera. Bywa, że służby opierają się na informacjach, które nie są spójne. Na ich podstawie typują wtedy kilka „puszek", które następnie są kontrolowane.

Obraz rentgenowski pokazuje, czy towar jest jednorodny, czy nie pojawiają się anomalie, które świadczą o niejednolitej zawartości. Na monitorze widać jak na dłoni, czy kontener zawiera tylko buty, które zostały zadeklarowane w dokumentach, czy przemytnicy dorzucili do butów np. nielegalne papierosy. Bo KAS dysponuje także skanerami, które pokazują, czy zawartość kontenera jest organiczna, czy nie. Tak wygląda pierwsza weryfikacja.

Drzwi okute blachą

W morskich kontenerach przemytnicy chętnie stosują tzw. zastawki. Po otwarciu „puszki” oczom celników ukazuje się towar deklarowany, ale to tylko pierwsza warstwa – zasłona dymna. Gdy wyjmą produkty stojące z brzegu, okazuje się, że cała reszta to kontrabanda. Bo za warstwą legalnego towaru przemytnicy ukrywają nielegalne produkty. To bardzo powszechna praktyka stosowana przez grupy przestępcze zajmujące się przemytem kontenerowym.

Po tę właśnie mało wyrafinowaną wydaje się metodę sięgnęli przemytnicy, którzy stracili towar w Gdyni pod koniec 2019 roku. Kontener przypłynął z Azji i oficjalnie zmierzał na Łotwę. W środku miały być drzwi. I były, przynajmniej po otwarciu wrót, równiutko poukładane. Skanowanie za pomocą urządzenia rentgenowskiego oraz reakcja psa wyszkolonego do wykrywania tytoniu nie pozostawiały jednak złudzeń. Zdecydowano o przeszukaniu fizycznym. Nastręczyło to sporo problemów, bo „zastawkę” skonstruowano z ciężkich, okutych blachą drzwi. Po sforsowaniu przeszkody celnicy dotarli do 8 mln 850 tys. sztuk nielegalnych papierosów. Ich wartość wyceniono na ponad 6,2 mln złotych. Gdyby trafiły na rynek, Skarb Państwa straciłby prawie 10,5 mln złotych.

Włókna kokosowe i błyskawiczne zupy

Jedno z ciekawszych trafień miało miejsce pod koniec 2018 roku. Także w tym przypadku akcja była wynikiem współpracy KAS z Centralnym Biurem Śledczym Policji (CBŚP) w Gdańsku. Gdy „puszki” z wietnamską kontrabandą znajdowały się jeszcze na otwartych wodach, do akcji wkroczyli funkcjonariusze z Pomorskiego Urzędu Celno-Skarbowego w Gdyni.

Kontener miał zawierać włókna kokosowe. Przestępcy poszli na rympał i nawet nie próbowali zamaskować kontrabandy. Całą

przestrzeń ładunkową zajmowały papierosy bez polskich znaków skarbowych. Przejęto 11,2 mln sztuk papierosów o wartości prawie 7,5 mln złotych.

Kilka dni później, idąc za ciosem, polskie służby wzięły na tapet kolejną dostawę nielegalnych papierosów z tego samego wietnamskiego portu. Tym razem po otwarciu natknęli się na „zastawkę" z zup błyskawicznych. Za nimi ukryto kolejne 9,9 mln sztuk nielegalnego towaru. Papierosy miały trafić do dwóch różnych firm z centralnej Polski, a następnie do krajów Europy Zachodniej. Sprawę wiązano z podobnym przypadkiem z maja 2008 roku, gdy pomorskie służby w tym samym porcie przechwyciły 18 mln sztuk papierosów. Także wtedy przestępcy próbowali przemycić duże ładunki na pokładzie dwóch statków.

Służby dysponują różnego rodzaju urządzeniami prześwietlającymi tak duże gabaryty jak kontenery czy tiry. Są to urządzenia stacjonarne, które mieszczą się w budynku, do którego wjeżdża kontener na ciężarówce, albo urządzenia mobilne, na których znajduje się skaner. Są też małe przenośne urządzenia wielkości laptopa, które po przytknięciu do drzwi auta obnażają jego zawartość. Sprzęty różnią się także mocą promieni. Niektóre potrafią zajrzeć nawet kilka metrów w głąb „puszki".

Drugie dno i oryginalne paliwo

Funkcjonariusze pomorskiej KAS zajmujący się zwalczaniem przestępczości biorą na celownik grupy specjalizujące się w przemycie narkotyków, broni i papierosów. Jednocześnie przyznają, że najczęściej przechwytują właśnie papierosy lub tytoń. Bo największe statki, które do nas zawijają, płyną z Chin, zagłębia podróbek, także tytoniowych.

Jednak służby nie skupiają się wyłącznie na portach. Starają się chronić przed przemytnikami całe polskie wybrzeże. To zadanie należy do pływających patroli KAS, które koncentrują się na wschodniej granicy naszego kraju, będącej jednocześnie granicą

Unii Europejskiej – bastionem, w którym przestępcy cały czas szukają dziury. Ukrywają kontrabandę na wycieczkowcach i kutrach, ale stawiają też na mniejsze jednostki, np. jachty turystyczne. W latach 2015 i 2016 na Zalewie Wiślanym przechwycono spore i bardzo pomysłowo ukryte przerzuty nielegalnych towarów, m.in. na pokładach właśnie kilku jachtów.

Zaczęło się jak co dzień. Był to zwykły patrol wodny pomorskich celników. Podpłynęli do rosyjskiej jednostki turystycznej, która zmierzała do polskiego brzegu. Funkcjonariusze wiedzieli, że załoga nie pierwszy raz kręci się w tym rejonie. Już przynajmniej dwukrotnie zarejestrowano tę jednostkę na naszych wodach terytorialnych. Zapadła decyzja o rewizji. Choć była bardzo szczegółowa, nie od razu przyniosła oczekiwany efekt. Dopiero po czterech godzinach funkcjonariusze zwrócili uwagę na uszczelkę chroniącą przewód w podłodze. Gdy za nią pociągnęli, odkryli przestrzeń, której w ogóle nie powinno tam być. Łódź pod eskortą doholowano do portu w Elblągu, wyjęto z wody – i zaczęła się rozbiórka. Dosłownie.

– Ten statek trzeba było rozcinać piłami strażackimi – wspomina funkcjonariusz, który go namierzył.

Okazało się, że przemytnicy dospawali od zewnątrz drugie dno – kolejny kadłub o metrowej szerokości. Wszystko było bardzo dokładnie dopasowane. Nawet po wyciągnięciu jachtu z wody przeróbka nie od razu rzucała się w oczy. Jednak łódź straciła swoje właściwości – stała się bardziej chybotliwa, mniej bezpieczna, podatna na wywrotki.

– Nie była wystarczająco dociążona, a ładunek rozłożono nierównomiernie. Wtedy zrozumieliśmy, dlaczego załoga zawsze wybierała na swoje kursy stabilną pogodę – wspomina funkcjonariusz.

Dodatkowa przestrzeń skrywała 350 kg bursztynu oraz 735 tys. sztuk nielegalnych papierosów.

Niedługo potem w ręce celników wpadł inny przemytniczy jacht, który zawinął do Fromborka z dwuosobową załogą. Tym razem skrytki skonstruowano w przerobionych zbiornikach na

paliwo. I właśnie od wagi tego paliwa się zaczęło. Bo wzdłuż burt na pokładzie znajdowały się dwie trzymetrowe, zalaminowane ławy. Nie można się było do nich dostać. Na pytanie, co zawierają, kapitan odpowiedział, że zbiorniki na paliwo. Funkcjonariuszom wydało się to podejrzane. Dodatkowo kapitan zadeklarował, że ma po półtorej tony paliwa w każdym ze zbiorników. Po co tak małej łódce tyle paliwa?

– Z taką ilością paliwa, z silnikiem Diesla, który był tam zamontowany, jacht mógłby pływać przez kilka lat – wskazuje funkcjonariusz.

Nasze służby kontrolowały tę jednostkę także wcześniej, ale wówczas nic podejrzanego nie stwierdzono. Czy już wtedy była przerobiona? W każdym razie tego dnia trafiła kosa na kamień – zarządzono szczegółową rewizję, która wkrótce miała się okazać celnym trafieniem. Początkowo podejrzewano, że Rosjanin przemyca paliwo, co też było prawdopodobne. Ale okazało się, że przewozi nielegalne papierosy. Sprawę dodatkowo ułatwiły dwa psy służbowe wyszkolone do wykrywania wyrobów tytoniowych. Jeden z nich dość szybko wskazał miejsce, w którym ukryto kontrabandę. Rewizja trwała wiele godzin. Towar schowano w skrytkach na dnie łodzi. Aby do nich dotrzeć, celnicy musieli zdemontować drewnianą podłogę jachtu i wyjąć zbiornik z paliwem. W ruch poszły szlifierki kątowe i łomy. Pracę zakończono późno w nocy. W schowkach konstrukcyjnych znaleziono 3 tys. paczek papierosów, a w kilkunastu jutowych workach niemal 288 kg bursztynu, zarówno surowego, jak i obrobionego. Jego wartość oszacowano na ponad 1 mln złotych.

W tamtym czasie wpadło tak kilka innych przemytniczych jachtów. Na jednym znaleziono 400 tys. papierosów, na pokładzie kolejnej łodzi próbowano przemycić ponad 145 tys. papierosów. Po 2016 roku proceder na pewien czas zamarł.

– To jest biznes. Jeśli grupa straci trzy, cztery jednostki i towar wart miliony, to musieliby być szaleni, żeby znowu tą samą drogą i w ten sam sposób pchać się z kontrabandą – ocenia specjalista. W jego ocenie grupa nie zniknęła, po prostu przeniosła proceder na

inny poziom wtajemniczenia – kolej albo tiry. Bo intratnego biznesu tytoniowego raczej nie porzucili. Od wielu lat mówi się, że rosyjskie mafie chętnie przekwalifikowują się na przemyt papierosów, bo w tym wypadku kary są głównie finansowe. Gangi stać na płacenie kaucji za wykup swoich ludzi.

– A za narkotyki idzie się siedzieć na długie lata – mówi funkcjonariusz.

I dodaje, że z punktu widzenia grupy przestępczej dużo bezpieczniej jest postawić na papierosy, niż tracić ludzi i kontakty podczas wpadek z narkotykami.

Przemyty zdarzają się dosłownie na każdym typie statków. W 2016 roku 37 tys. nielegalnych sztuk papierosów wydobyto z „Daru Młodzieży". A na pokładzie pływającego żurawia próbowano ukryć 64 tys. sztuk.

Agregaty i silniki ze wspomaganiem

Ruch turystyczny na Zalewie Wiślanym zmalał także z powodu pandemii COVID-19, ale ruch towarowy kwitnie. Kręci się także interes przemytniczy. W marcu 2020 roku podczas pierwszej fali koronawirusa nasze służby przejęły sporą ilość czystej kokainy wartej 25 mln złotych. Na trop przemytniczej operacji wpadli policjanci stołecznego CBŚP. Dostali informację, że w jednym z kontenerów, który płynie z Kaliningradu do Rotterdamu, ukryto narkotyki o dużej czystości. Rotterdam od lat jest uważany za europejskie centrum dystrybucyjne prochów sprowadzanych z Ameryki Południowej.

Polskie służby nawiązały współpracę z niderlandzkimi kolegami i gdy statek przybił do brzegu, w jednym z kontenerów znaleziono 35 kg kokainy. Była ukryta w klimatyzatorze.

Służby szły po tropie. Tym razem wiódł na kontenerowiec wiozący towar z Ameryki Południowej. Również płynął do nas z Kaliningradu, gdzie zostawiono już część ładunku. Sytuacja była trudna, szczyt obostrzeń związany z pierwszą falą koronawirusa.

Do ładowni wkroczyli celnicy i policjanci. Szli właściwie na pewniaka po konkretną „puszkę” – chłodnię. Nie mieli problemów z dotarciem do celu. Wyjmowanie innych kontenerów nie było konieczne. Ten, którym się interesowali, z racji tego, że był chłodnią, miał zapewniony dostęp od tyłu, od strony agregatu dbającego o utrzymanie stałej temperatury w części ładunkowej. Takie wejście jest niezbędne dla obsługi na wypadek awarii urządzenia chłodniczego. I właśnie w agregacie ukryty był towar: 25 kg kokainy.

Analiza ryzyka w 2009 roku naprowadziła też celników na spektakularny przemyt kokainy w silnikach z Urugwaju. Już sam kierunek, z jakiego przypłynął transport, wzbudził czujność celników. Podejrzenia potęgowało to, że ktoś sprowadza cały kontener zużytych silników do maszyn.

Po otwarciu ładunku okazało się, że silniki są rzeczywiście bardzo stare, w niektórych miejscach były tak zmurszałe, że nawet porośnięte trawą. Coś ewidentnie było nie tak.

Analiza ryzyka włączyła alarm, zwłaszcza że sam fracht okazał się droższy niż przewożony sprzęt. Jeden z kontrolerów oglądał silnik z każdej strony, aż w końcu postanowił go rozkręcić. I to był strzał w dziesiątkę. Wewnątrz zobaczył paczki szczelnie owinięte folią i gumą. W sumie 33 zawiniątka z narkotykami. Wezwano policjantów. Nie odtrąbiono jednak sukcesu w mediach, tylko zorganizowano zasadzkę, by sprawdzić, kto odbierze towar. Najpierw silniki trafiły do polskiego małżeństwa – 30-letniej właścicielki firmy, która importowała te urządzenia, oraz jej 32-letniego męża. Wkrótce po przesyłkę zgłosili się dwaj obywatele Niemiec, w wieku 51 i 57 lat. Wtedy dopiero wkroczono do akcji.

W 2010 roku do gdyńskiego portu wpłynął statek pod banderą Gibraltaru, z ładunkiem kontenerów m.in. z Gujany. W jednym z nich był towar zadeklarowany jako artykuły spożywcze w puszkach. W sumie ponad 33 tys. puszek zapakowanych w 1400 kartonów podpisanych, że produkty są bogate w witaminy. Z masy tej celnicy wyłuszczyli konserwy wypełnione narkotykami. Zatrzymano 82 kilogramy kokainy wartej ponad 13 mln złotych.

Dojrzewanie bananów

Przemyt kokainy jest wielkim wyzwaniem dla Europy. To wciąż jeden z najbardziej popularnych narkotyków w tej części świata, która stała się głównym rynkiem zbytu. Biały proszek płynie do nas tonami. Na małych jachtach, kutrach czy ogromnych kontenerowcach. Na dużych statkach możliwości ukrycia nawet wielu ton są właściwie nieograniczone. Ale celnicy wskazują, że wciąż najczęściej wyciągają je z pudełek z cytrusami i bananami, które zmierzają z Kolumbii i Ekwadoru. W przestępczym slangu nazywa się to „dojrzewaniem bananów".

W 2006 roku w Gdyni na „bananowcu" lub „bananie", jak nazywają takie jednostki funkcjonariusze, odkryto olbrzymi przemyt kokainy. W każdym ze 118 kartonów pod warstwą owoców znajdowała się kilogramowa paczka z narkotykami. Wartość towaru wyceniono na 50 mln złotych. Zatrzymano wtedy dwóch Polaków spod Radomia. Jeden był właścicielem firmy komputerowej i do tamtej pory nie wiązano go z narkobiznesem, chociaż znany był już policji i karany za oszustwa oraz fałszowanie dokumentów. Odkryto, że szajka działała w centralnej Polsce od co najmniej roku.

W 2010 roku przejęto z kolei kartony z bananami przewiezione już do magazynu jednej z gdyńskich firm handlującej owocami. Ze środka wyciągnięto 50 kg kokainy o czarnorynkowej wartości 2 mln euro. To efekt pracy policjantów, którzy od pewnego czasu rozpracowywali grupę zajmującą się przemytem środków odurzających z Ameryki Południowej. W tym wypadku transport bananów trafił do Polski drogą lądową z Belgii przez Niemcy. Celem była Warszawa – na banany czekała jedna ze stołecznych firm.

Czasami jednak towar wpada przez przypadek. Tak się zdarzyło w sierpniu 2020 roku, gdy na narkotyki natknęli się magazynierzy z Biedronki w Ostrowie Wielkopolskim. Wypakowując towar na półki, odkryli dziwną zawartość skrzynki z

bananami. Pod warstwą owoców było 19 kg kokainy o wartości 5 mln złotych.

Dwa lata wcześniej podobnego odkrycia dokonano w kilku sklepach na terenie województw mazowieckiego, łódzkiego i dolnośląskiego. W Sokołowie Podlaskim jedna z pracownic sieci Stokrotka w magazynie, także w kartonie z bananami, znalazła osiem zafoliowanych paczek. Był sobotni poranek i kobieta miała przenieść owoce na główną halę. Gdy otworzyła karton, zauważyła paczki wielkości cegły. Były dokładnie owinięte czarną i zieloną folią. Na wierzchu każdej z nich umieszczono logo producenta elektroniki. Ale w środku zamiast smartfona był sprasowany proszek. W sumie 9 kg narkotyku. Owoce przyjechały z Ekwadoru. Białą substancję znaleziono także w innych sklepach tej sieci – 30 kg w Wyszkowie, a 100 paczek pojechało do Łódzkiego. W sumie przejęto wówczas 220 kg koki.

Zdaniem śledczych w takich przypadkach najpewniej dochodzi do pomyłki.

– Coś nie zagra. Zawali ktoś, kto odpowiadał za wyciągnięcie z ładowni kontenera pierwszego od lewej, a weźmie drugi. Albo na jakimś etapie podróży zepsuje się agregat w kontenerze i towar zostaje przepakowany do innego, który nie zostanie prawidłowo zidentyfikowany przez członka grupy itd. – wylicza śledczy.

Banany w linii prostej płyną do nas około trzech tygodni. Każdy inny towar może spędzić w podróży jeszcze więcej czasu. Po drodze trafia do różnych portów. Albo statek wchodzi do portu z opóźnieniem i trafia na inną zmianę dokerów, którzy nie są opłacani przez grupy przestępcze. To dość długi łańcuch powiązań. Łatwo może dojść do pomyłki. I dochodzi. Zabłąkany towar trafia w ręce pracowników sieci handlowych, a przemytnicy dostają sromotnie po kieszeni.

Przed południem 19 grudnia 2015 roku do jednej z firm działających na podwarszawskiej giełdzie w Broniszach przyjechała ciężarówka z bananami z Ameryki Południowej. Podczas wyładunku pracownicy zauważyli w pudłach dziwne paczki i wezwali policję. Wpadł transport bananów z dodatkowym

balastem – 178 kg czystej kokainy. Przeładunek miał miejsce w belgijskim porcie w Antwerpii, chętnie wybieranym przez narkotykowe kartele (w 2015 roku przejęto tam ponad 20 ton kokainy).

Podobnego odkrycia dokonano w dojrzewalni bananów w Wilczycach koło Wrocławia. Przejęto wówczas prawie 400 kg kokainy. Jak donosił portal tvp.info, czterej pracownicy, którzy zawiadomili policję, zachowali dla siebie 4 kg narkotyku. Wpadli podczas próby zbycia towaru.

Podobne porażki przestępców początkowo są uważane za sukces policji. Ale wiele ze śledztw prowadzonych po takich ujawnieniach kończy się umorzeniem, jak choćby to w Broniszach. Podczas półrocznego śledztwa nie trafiono na żadne ślady przemytników. Nikomu nie przedstawiono zarzutów, choć zlecono m.in. zbadanie śladów biologicznych zabezpieczonych na opakowaniach. Jak informowały media, prokuratura była przekonana, że kierowca ciężarówki, który przywiózł ładunek bananów z Belgii, nie miał nic wspólnego z przemytem. Nie znaleziono też dowodów, że o kontrabandzie wiedziała firma, która zamówiła owoce. Wśród śledczych pojawiają się także teorie, że w takich przypadkach możemy mieć do czynienia z testowaniem nowego kanału przerzutowego.

Kreda i pulpa ananasowa z wkładką

Według danych DEA amerykańskiej agencji antynarkotykowej zyski z handlu kokainą na świecie mogą sięgać nawet 40 mld dolarów rocznie. Cena oferowana w hurcie przez kartele oscyluje w granicach 1,5-2,5 tys. dolarów za kilogram. Ale w Europie kosztuje już 25 tys. euro. Kolejne ogniwa tego łańcucha muszą zapłacić podwojoną stawkę. A czystość towaru, który trafia do odbiorcy, jest mocno wątpliwa. Polskie gangi z grama kolumbijskiego proszku potrafią zrobić kilka działek. W tym celu miesza się narkotyki ze skrobią, talkami, sodą czy kofeiną. Mówi się też o

dodawaniu niebezpiecznych dla zdrowia medykamentów stosowanych np. w weterynarii. Bo zasada maksymalizacji zysku działa tu bez kontroli.

Olbrzymim ciosem dla narkobiznesu była wspólna akcja KAS i CBŚP przeprowadzona w listopadzie 2019 roku. Oceniono, że był to największy w ostatnich latach sukces naszych służb na szlaku kolumbijskim. Dzięki temu w gdyńskiej bazie kontenerowej przejęto prawie 2 tony kokainy, a w województwie wielkopolskim zlikwidowano fabrykę i magazyn narkotykowy.

Funkcjonariusze znający sprawę zdradzili, że grupę przestępczą obserwowali już od kilku miesięcy. Mieli też sygnały o przerzucie narkotyków na olbrzymią skalę. Ale nie znali dokładnych dat ani szczegółów. Kluczowa była długa i żmudna praca zespołów analitycznych, które szperały w dokumentacji przekazywanej przez importerów. W wielkiej masie kontenerów płynących do Polski trzeba było znaleźć ten właściwy. Podejrzenia padły na dwa płynące z Kolumbii, które zawierały węglan wapnia, czyli kredę. Przypuszczenia potwierdził także służbowy pies Edek. Wewnątrz znajdowało się 1600 worków z kredą oraz mieszanką kredy z kokainą. Badania fizykochemiczne pozwoliły określić, że w 74 workach było aż 1,8 tony wysokiej jakości kokainy o czarnorynkowej wartości około 2,2 mld złotych. W toku śledztwa ustalono, że narkotyki miały trafić do Niemiec, Holandii i Wielkiej Brytanii.

Wpadło wówczas dwóch Polaków, Irańczyk i czterech Kolumbijczyków pochodzących z Medellín – okrytego złą sławą miasta, gdzie działa znany na całym świecie kartel narkotykowy. Jako organizatora procederu Kolumbijczycy wskazali Irańczyka – ponoć odpowiadał za logistykę i produkcję. Z kolei ich rolą było oczyszczanie kokainy, a Polacy mieli być magazynierami i kurierami.

Kolumbijczycy oraz Irańczyk przyjechali do naszego kraju pod koniec listopada i zamieszkali na odludnej posesji w Prądówce w województwie wielkopolskim. W ciągu kilku dni wspólnie z Polakami zorganizowali funkcjonujące na ogromną skalę

laboratorium, gdzie przetwarzali i wytwarzali kokainę. Magazyn wynajęto w oddalonym o godzinę drogi Obrzycku.

Gang obserwowano od miesięcy. Agenci wkroczyli do akcji, gdy Polacy przyjechali do Prądówki po towar. Funkcjonariusze zatrzymali siedmiu członków grupy. Stężenie chemikaliów w pomieszczeniach okazało się tak duże, że niezbędne było wezwanie strażaków z Jednostki Ratownictwa Chemicznego. Dopiero po kilku godzinach obiekt został oczyszczony z niebezpiecznych dla ludzi toksyn. Przejęto kolejne 10 kg kokainy, która – zdaniem śledczych – miała trafić do Niemiec. Był też płyn służący do odzyskiwania narkotyku z kredy oraz prasa z logo kolumbijskiego kartelu narkotykowego.

Ustalono, że obywatel Iranu przed zatrzymaniem mieszkał w Niemczech. W wyniku przeszukania w jego mieszkaniu znaleziono ponad 19 kg opium, kokainę, komplet fałszywych francuskich dokumentów, wagi, telefony, 4 tys. euro oraz różnego rodzaju odręczne notatki.

Akcją chwalił się także polski rząd. Na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej premier Mateusz Morawiecki stwierdził, że to największy przemyt, jaki udało się udaremnić co najmniej od 30 lat. Jednak po roku śledztwa w areszcie wciąż przebywało tylko siedmiu podejrzanych zatrzymanych podczas policyjnej akcji.

Wkrótce miano odtrąbić kolejny sukces. 28 lutego 2020 roku w gdyńskim porcie wzięto na celownik cztery kontenery wypełnione kamieniem, które przypłynęły z Bliskiego Wschodu. Z dokumentów wynikało, że to materiał skalny – steatyt. W „puszkach” znajdowało się 80 palet z workami. Funkcjonariusze zakasali rękawy i zaczęli wysypywać zawartość. Wtedy okazało się, że do części worków oprócz kamienia trafiły też paczki z szarym proszkiem.

Badania fizykochemiczne potwierdziły heroinę. W sumie 275 paczek po około 1,25 kg brunatnej substancji. Heroinę wyceniono na około 61 mln złotych. Zdjęcia z magazynu, w którym poukładano zawiniątka z heroiną, pokazano we wszystkich

polskich stacjach telewizyjnych. Był to widowiskowy finał akcji służb, które na ten sukces ciężko pracowały od wielu miesięcy.

Pierwszą informację o działaniu gangu polscy policjanci mieli dostać od bułgarskich agentów, którzy na swoim terenie przejęli transport 700 kg heroiny. Trop został podjęty. W grudniu 2018 roku w rotterdamskim porcie, na statku, który płynął z Ameryki Południowej do Gdyni, przechwycono 126 kg kokainy o wartości 28 mln złotych. Towar nie dotarł do celu, ale ustalono, że przez Polskę wiedzie jeden z kanałów przemytu kokainy z Ameryki Południowej i heroiny z Bliskiego Wschodu do państw Europy Zachodniej. Nasz kraj stał się bramą dla międzynarodowego gangu. Wszystko wskazywało na to, że kanał został zorganizowany przez Polaka działającego w zorganizowanej, międzynarodowej grupie przestępczej. *Modus operandi*, jakich wiele. Narkotyki szmuglowano pod pozorem importu i eksportu legalnych towarów.

Europejskie służby zwarły szeregi. Polscy, holenderscy i niemieccy funkcjonariusze śledzili poczynania grupy. Ustalono, że szykuje się kolejny duży przemyt ładunku narkotyków, który miał dotrzeć do Gdyni. Była to właśnie heroina ukryta w steatycie. Towar trafiłby na ulice Belgii, Holandii i Niemiec. Ale najpierw funkcjonariusze musieli przerzucić 80 ton kamieni.

Po przechwyceniu narkotyków zaczęli wpadać organizatorzy przemytu. Na początku marca 2020 roku prokuratorzy i policjanci CBŚP wzięli udział w koordynowanej przez Europol akcji zatrzymań podejrzanych. Prowadzono ją na terenie Belgii, Holandii, Turcji i Polski. Zatrzymano 13 osób. W Turcji wpadło ośmiu gangsterów, w tym jeden podejrzany o zabójstwo. Trzy osoby zostały zatrzymane w Holandii, a kolejne w Belgii i Polsce, gdzie aresztowano 37-letniego mieszkańca województwa małopolskiego. Usłyszał zarzut udziału w zorganizowanej grupie przestępczej oraz w przemycie znacznej ilości środków odurzających – 126 kg kokainy i 275 kg heroiny.

W czerwcu 2020 roku na przemyt kokainy z Ekwadoru wpadli śledczy z Gdańska, gdy ustalili, że w jednym z tamtejszych magazynów, należących do legalnie działającej firmy, znajdują się

144 beczki o pojemności 250 kg, zawierające zamrożoną pulpę ananasową, którą należało przechowywać w -20 stopniach Celsjusza. Pojemniki sprowadzono drogą morską z Ekwadoru do Hamburga pod koniec 2019 roku, a następnie ciężarówką przewieziono do Gdyni. Beczki prześwietlano już w Niemczech, ale wówczas nie zauważono nic niepokojącego. W Polsce zainteresowano się nimi m.in. dlatego, że spółka nie zajmowała się wcześniej sprzedażą artykułów żywnościowych, a tu nagle sprowadza 36 ton pulpy, którą wykorzystuje się do produkcji soków! Ponadto ustalono, że firma nie miała na nią odbiorców w Polsce. Potem wyszło jeszcze na jaw, że spółka została kupiona przez podstawione osoby krótko przed tą transakcją.

Gdy do akcji wkroczyli funkcjonariusze, najpierw prześwietlili beczki urządzeniem rentgenowskim, potem obwąchał je pies na narkotyki i niektóre z nich oznaczył. Próbkami pulpy zajął się biegły z zakresu chemii, który wykonał badania przy użyciu niestandardowych metod, bo najpierw musiał częściowo rozmrozić zawartość beczek. Stwierdził, że w 15 z nich znajduje się kokaina. W sumie ponad 3,2 tony kokainy. Wartość narkotyku oszacowano w detalu na około 3 mld złotych.

Do sprawy zatrzymano trzech mężczyzn. Wszyscy usłyszeli zarzuty udziału w grupie przestępczej oraz przemytu. Jeden z nich był związany z branżą nieruchomości na Pomorzu. Sprawa jest bardzo skomplikowana, a ustalenia śledczych wskazują, że Polska nie była krajem docelowym do dystrybucji tych narkotyków.

Dzięki tej akcji polskie służby mogły się pochwalić statystykami. Komendant Główny Policji generalny inspektor Jarosław Szymczyk podkreślił, że w 2019 roku CBŚP zabezpieczyło ponad 7 ton różnego rodzaju narkotyków.

Rozgłos wokół tej sprawy na jakiś czas ucichł, ale śledczy pracowali, choć nie chcieli dzielić się postępami dochodzenia. W końcu nastąpił długo oczekiwany przełom. Na początku 2021 roku w Dortmundzie zatrzymano Tomasza R. uważanego za jednego z bardzo istotnych dostawców kokainy do Europy Środkowej i Wschodniej. Na tę renomę pracował przez wiele lat, zdobywając

kontakty z meksykańskimi i kolumbijskimi kartelami. Dbał o swoje bezpieczeństwo, był bardzo ostrożny. Nie kontaktował się z rodziną, używał specjalnych szyfrowanych komunikatorów. Zaszył się. W końcu jednak udało się go wytropić i powiązać ze sprawą pulpy ananasowej z wkładką. Ustalono też, że miała trafić do specjalnego laboratorium, gdzie by odzyskano z niej czysty narkotyk. Takie fabryki są odkrywane w całej Europie.

Zardzewiałe śruby i tajemnicze dziuple

Celnicy z Pomorza walczą nie tylko z wielkimi przerzutami i groźnymi gangami narkotykowymi. Na ich celowniku jest tak naprawdę każdy, kto podróżuje statkiem. Kontrolują m.in. kajuty marynarzy oraz ich bagaże. I dość często natykają się także na okazy CITES, które są przywożone z dalekich, egzotycznych rejsów. W ostatnich latach były to głównie korale, skorupy żółwia, kość słoniowa czy torebki ze skóry krokodyla. Czasem można też znaleźć nieduże ilości narkotyków, które załoganci najpewniej przechowują na użytek własny – twierdzą celnicy.

Statek jest jak ogromne miasto i ma ogrom zakamarków, w których łatwo coś schować. Najlepiej znają je członkowie załogi. Jeśli chcieliby coś ukryć, zrobią to poza swoimi kajutami, wtedy trudno powiązać przemyt z konkretną osobą. Rolą służb jest dotrzeć do owych skrytek i wydobyć z nich nielegalny towar. Czasem to całkiem spore łupy, nawet kilkadziesiąt bloków, czyli kartonów papierosów z duty free, kupionych na handel przez marynarzy.

Wchodząc na pokład 14-piętrowego statku mierzącego 400 metrów długości i widząc jego ogrom, trudno sobie wyobrazić skuteczne przeszukanie. Wzdłuż burt ciągną się dwa korytarze, dukty ewakuacyjne. Stąd wchodzi się w luk dziobowy – tylko on wygląda już jak miasto. I jest nim. Mieści około 300 pomieszczeń. Do tego dochodzą różne płaszczyzny i przestrzenie ukryte za pozornie nieużywanymi włazami. I to wszystko w wieżowcu.

Stojąc przed takim zadaniem, można tylko polegać na doświadczeniu, intuicji i psich nosach, które także biorą udział w rewizji. Ale sukces jest możliwy. Funkcjonariuszom udawało się kiedyś znaleźć paczkę z kokainą w magazynku z farbami i narzędziami, ukrytą pomiędzy starymi, pokrytymi pajęczyną linami.

– Na pokładzie co krok widać różne włazy i drzwiczki. Wiele z nich wygląda na dawno nieużywane, ale jeśli tylko nie damy się zwieść pozorom, możemy mieć szczęście – mówią funkcjonariusze.

Stare zardzewiałe śruby są czasem tylko doklejone i nie stanowią żadnego zabezpieczenia ani przeszkody w sforsowaniu przejścia, za którym znajdują się np. zbiorniki na wodę balastową – tej akurat nie ma, ale jest coś, czego tam być nie powinno. Właśnie tak odkryto przemytniczy schowek w rolce z cumą. Tym razem był pusty, ale wcześniej celnicy znajdowali tam kontrabandę. Dziupla nie kryła żadnej tajemnicy, choć – jak przyznają – miejsce było dość dobrze przygotowane. Trudno było się do niego dostać i początkowo nie budziło podejrzeń, bo to przecież pracująca cuma używana przez załogę. Tymczasem w metalowym bębnie wycięto otwór, w którym mieściło się aż 100 kartonów papierosów. Żeby tam zajrzeć, trzeba było cumę zwolnić, odkręcić z bębna, zrzucić całość i dopiero ukazywał się zmyślny schowek.

Innym razem na forpiku, czyli w pomieszczeniu na dziobie statku, w magazynku bosmańskim składowano drewno. Niby nic dziwnego, to się zdarza – było przygotowane do ewentualnego stabilizowania i zabezpieczania towaru. Jednak gdy funkcjonariusz wcisnął się za tę pryzmę, przeczołgał między drewnem a sufitem i zszedł z tyłu, dostrzegł przestrzeń w kształcie trumny 1,5 na 2 m długości. Ten schowek też był już spalony, bo wcześniej wyciągnięto stamtąd nielegalny towar. Więcej szczęścia mieli funkcjonariusze, którzy weszli w Gdańsku na statek wyładowany częściami konstrukcyjnymi mostu. Któremuś wydały się podejrzane. Postanowiono je prześwietlić, a potem przewiercić. Ze środka posypały się papierosy.

Pomysłowość przemytników nie zna granic i choć celnikom wydaje się, że widzieli już wszystko, co jakiś czas przyznają (choć niechętnie), że znów są zaskoczeni. Tak było na początku 2020 roku, kiedy odkryli przemyt papierosów slim ukrytych w deskach. Kontener przypłynął na statku z Sankt Petersburga i miał trafić do Rumunii. Wewnątrz były listwy grubości kciuka – tylko że wydrążone. W środku tkwiły paczki z cienkimi papierosami. W sumie 3,2 mln sztuk o wartości około 2,3 mln złotych. Ich ukrycie musiało zająć wiele czasu i było bardzo żmudną pracą. Podobnie jak wyjmowanie.

Niebezpieczne schowki

Decydując się na wejście w różne tajemnicze przestrzenie na statku, funkcjonariusze muszą się liczyć również z wieloma niebezpieczeństwami. To praca na wysokości i trzeba wiedzieć, jak się poruszać po pływającym kolosie. Niektórzy specjalizują się w pracy z zabezpieczeniem linowym. Celnicy są także narażeni na kontakt z trującymi gazami, dlatego w trudno dostępne miejsca wchodzą wyposażeni w butle tlenowe. Otwierają dawno nieużywane, skorodowane zbiorniki balastowe, w których brakuje tlenu, bo absorbuje go korozja. Z taką sytuacją trzeba się liczyć, wchodząc np. na masowiec wyładowany śrutą, który przypłynął z Argentyny. Kiedy statek zostanie załadowany, opróżnia się z wody zbiorniki balastowe, bo jest już wystarczająco dociążony. Po wielodniowej podróży w szczelnie zamkniętych zbiornikach brakuje tlenu. Tak samo dzieje się w ładowniach z węglem.

Ale są też miejsca, gdzie ulatniają się toksyczne substancje. Dlatego pracujący w portach funkcjonariusze są wyposażeni w detektory, które sygnalizują niebezpieczeństwo. Urządzenia te alarmują także o bezruchu pracownika, jeśli ten przez 30 sekund się nie poruszy.

Przemytnicze auta

W przerabianiu samochodów specjalizują się zwłaszcza gangi papierosowe, które potrafią poutykać towar w każdej wolnej przestrzeni konstrukcyjnej lub przerobić pojazd tak, by zamiast niektórych elementów włożyć kontrabandę. I choć celnicy jako najbardziej pomysłowych i kreatywnych wskazują Litwinów, którzy przekraczają granicę drogą lądową, na przemytnicze auta można się natknąć także na promach.

W 2017 roku spory przemyt narkotyków przez morskie przejście graniczne w Gdyni odkryli gdańscy policjanci. Sprawę opisali wówczas dziennikarze trójmiejskiej „Gazety Wyborczej". Towar miał trafić do Szwecji. Policja wkroczyła do akcji, gdy na teren bazy promowej wjechał samochód osobowy na norweskich tablicach rejestracyjnych. Za kierownicą siedział 42-letni Polak. Widząc funkcjonariuszy Straży Granicznej z psem, próbował się wycofać i przełożyć podróż, ale nie zdążył się już ulotnić, bo podjechali do niego policjanci. Samochód został przerobiony na potrzeby przemytu. Za zderzakiem znajdowały się specjalne skrytki, w których schowano 20 kg haszyszu. Był to początek końca działalności jednej z pomorskich grup przestępczych.

Kolejnego dnia wkroczono na posesję w województwie pomorskim, na której przemytnicze auto zostało załadowane. W jednym z budynków znaleziono 72 kg haszyszu, 24 kg marihuany oraz sprzęt niezbędny do próżniowego pakowania narkotyków. Jeszcze tego samego dnia zatrzymano do sprawy dwie następne osoby. W samochodzie i mieszkaniu jednej z nich znaleziono kolejne kilogramy haszyszu i marihuany. W ręce mundurowych wpadła także gotówka – 150 tys. złotych. Łącznie zabezpieczono około 138 kg narkotyków, których czarnorynkową wartość oszacowano na prawie 7 mln złotych. Potem wpadł jeszcze mechanik, który przerobił samochód na przemytniczą skrytkę.

Prowadząc tę sprawę, nasze służby współpracowały z Europolem, policją norweską i agentami ze Szwecji.

Podczas odpraw w bazie promowej przechwytywano także papierosy ukryte w busach, schowane za zastawkami z desek, czy płynną amfetaminę przewożoną na rympał" w pojemniku w

samochodzie. 39-letni Polak wpadł, bo celnik odkręcił nakrętkę i powąchał ciecz.

Skrytka na papierosy i bursztyn w podwójnym kadłubie
foto KAS

Podejrzane jednostki są przez funkcjonariuszy wyciągane z wody i rozbierane
foto KAS

Prześwietlenie beczek z pulpą ananasową nic nie dało, dlatego zdecydowano, by je rozmrozić i otworzyć
foto CBŚP

Schowkiem może się stać każda przestrzeń
foto KAS

275 kg heroiny ukryto w 80-tonowym ładunku materiału skalnego
foto KAS

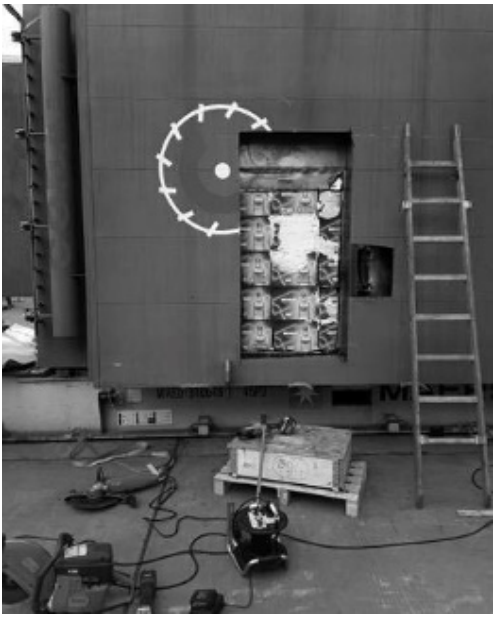

Wszystkie chwyty dozwolone po obu stronach barykady
foto KAS

Funkcjonariusze KAS używają wszelkich środków i narzędzi, żeby dobrać się do nielegalnego towaru
foto KAS

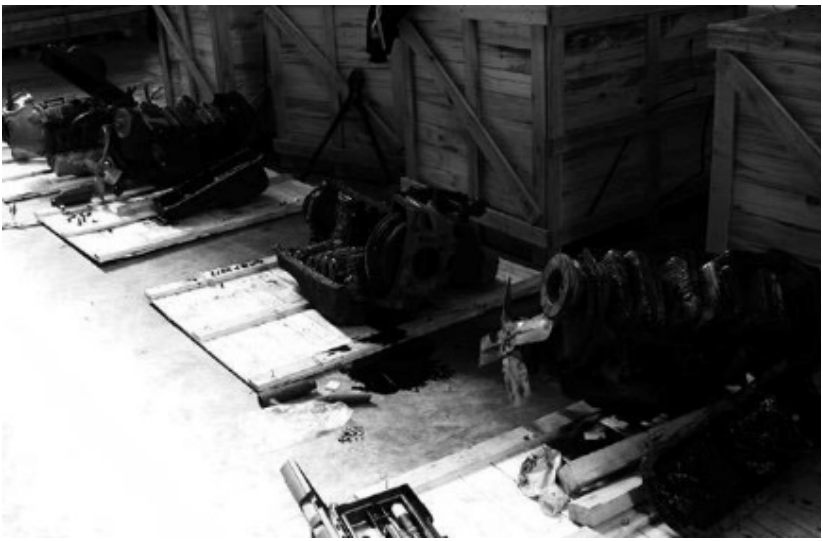

Przemyt kokainy w silnikach z Urugwaju
foto KAS

Kokaina zapakowana w 33 paczki owinięte szczelnie folią i gumą
foto KAS

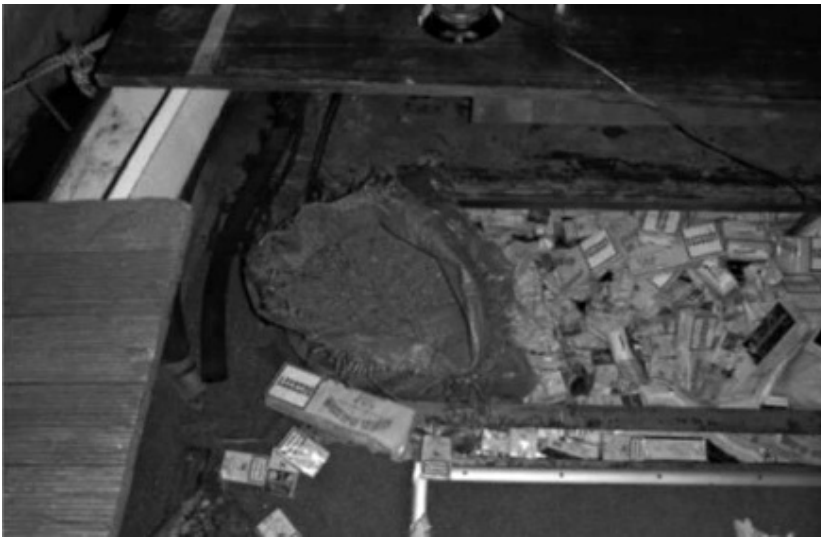

Papierosy w skrytkach konstrukcyjnych na pokładzie
foto KAS

Funkcjonariusze rozcinają elementy jednostki, aby dostać się do kontrabandy
foto KAS

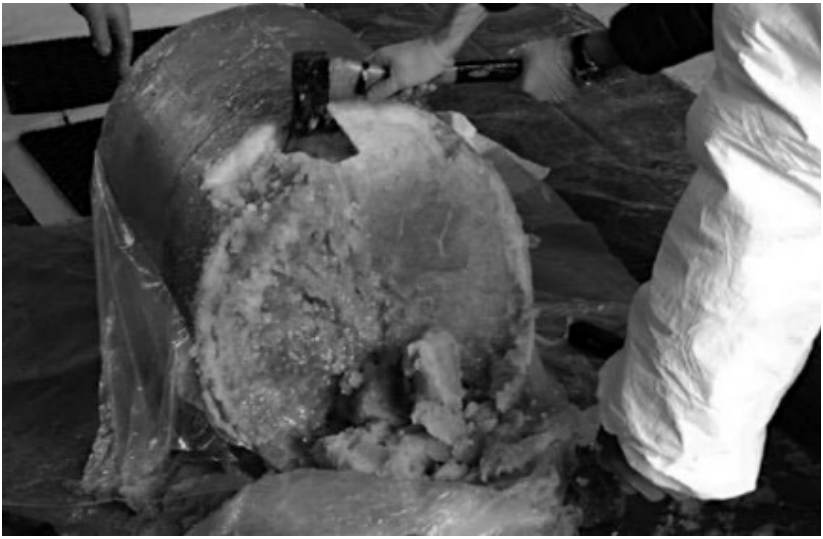

Kokainę ukrytą w zamrożonej pulpie ananasowej wysłano z Ekwadoru przez Hamburg do Polski

foto CBŚP

25 kg kokainy ukryto w agregacie kontenera chłodniczego
foto KAS

Przemytnicy potrafią wykorzystać każdą szczelinę
foto KAS

Rozdział 5
Fajki ponad wszystko

Przejście graniczne w Korczowej. Druga w nocy. Trwa nocna zmiana na „jamie” – to budynek kontroli szczegółowej, nazywany także w skrócie BKS-em. Czyli miejsce, gdzie trafiają samochody wytypowane do rewizji. Tutaj uzbrojeni w śrubokręty, wkrętarki, wiertarki i inne narzędzia funkcjonariusze KAS starają się zajrzeć we wszystkie możliwe zakamarki pojazdów. Najpierw jednak kierowca musi przygotować auto – wyjąć bagaże, otworzyć maskę i bagażnik. Dopiero wtedy do pracy ruszają funkcjonariusze.

Najpierw zaglądają w dostępne bez trudu schowki, by sprawdzić, czy nie ukryto czegoś w przestrzeniach fabrycznych pojazdu. Odchylają boczki w drzwiach, tapicerkę, odkręcają śrubki i zaglądają w nadkola. To ulubione miejsca przemytników.

Potem są podłogi, podsufitki, zderzaki, progi i deski rozdzielcze, miejsca na poduszki powietrzne i przerobione baki, tak by mogły pomieścić dwojaką zawartość. Wlew służy do paliwa, a drugi otwór można znaleźć po odkręceniu zderzaka. Zdarza się, że zapakowane szczelnie kartony pływają w paliwie, a nawet są zatopione w beczkach ze smołą.

Pakiety gotowe do ukrycia są owijane czarną folią lub wkładane w czarne rajstopy. Dzięki temu nie niszczą się podczas upychania w wąskich szczelinach konstrukcyjnych i są mniej widoczne w trakcie pobieżnej, standardowej kontroli.

Podczas sprawdzania boków bagażnika czy innych zakamarków przydają się celnikom lusterka rewizyjne. Wyglądają jak nieco większe lusterka dentystyczne. Mają też małe podręczne

wideoendoskopy, dzięki którym można dotrzeć do najbardziej niedostępnych miejsc.

Przerzut papierosów to bardzo intratny biznes, na którym Skarb Państwa może tracić rocznie nawet 2-3 mld złotych.

– Towary akcyzowe jadą z Europy Wschodniej, Armenii, Mołdawii, Ukrainy, Białorusi, bo tam są dużo tańsze – wyjaśnia jeden z celników. – Narkotyki przechwytujemy rzadziej, ale papierosy wpadają niemal codziennie. To zupełnie inna skala – podkreśla.

Paczka papierosów ze Wschodu drożeje prawie dwukrotnie już w chwili przekroczenia granicy z Polską i rośnie – im dalej na zachód, by w Wielkiej Brytanii osiągnąć cenę 5-6 funtów, czyli połowę tego, co trzeba zapłacić w sklepie np. za Marlboro z angielską banderolą. Kalkulacja przemytników jest więc prosta.

Istnieją nawet marki, których przeznaczeniem jest głównie nielegalny obieg, jak Jin Ling. Wygląd paczki jest inspirowany znaną marką z wielbłądem na pierwszym planie. „Koziołki", bo tak nazywają je handlarze i przemytnicy, są produkowane w rosyjskich zakładach w Kaliningradzie z przeznaczeniem na czarny rynek. Celnicy przyznają, że najczęściej są przechwytywane w dużych partiach. Przed pandemią, gdy przejścia graniczne funkcjonowały normalnie, można je było dostać także w przygranicznych sklepach wolnocłowych. Miały bardzo atrakcyjną cenę – około 4 złote. Na warszawskich bazarach papierosy z przemytu sprzedawane są po około 7 złotych.

Przemytnikom opłaca się podejmować ryzyko, bo zarobek jest wysoki, a kary stosunkowo niskie. Jeśli nie uda się udowodnić udziału w grupie przestępczej, sądy wymierzają oskarżonym grzywny. Nawet jeśli są wysokie, gangi stać na wykup swoich ludzi. Śledczy wyliczają, że za jednego przemyconego tira z tytoniową krajanką można wybudować niewielką willę. Gdy w grę wchodzą duże ładunki papierosów, zyski osiągane z ich sprzedaży mogą być porównywalne do zysków z handlu narkotykami.

Przebitka gangów jeszcze wzrasta, kiedy postawią na produkcję podrabianych papierosów znanych marek. To istotny

trend wśród polskich grup przestępczych. Początkowo fabryki tworzono w kraju. Z czasem manufaktury zaczęto przenosić w głąb Unii, bliżej punktów docelowych. Fabryki zarządzane przez naszych krajowych mafiosów, a doglądane także przez Ukraińców, były likwidowane już w Hiszpanii, w Niemczech, we Francji czy w Irlandii, a nawet w Danii. Szukając lokalizacji, często przestępcy koncentrują się na starych, ustronnie położonych gospodarstwach rolnych. Tworzą tam prężnie działające fabryki wyposażone w specjalistyczne maszyny o bardzo dużej wydajności. Są w stanie wytwarzać kilka milionów papierosów tygodniowo. Potem tirami są przerzucane do kolejnych krajów. Po drodze trafiają do magazynów mafii, skąd ruszają w dalszą drogę, najlepiej do Wielkiej Brytanii.

Tylko w 2019 roku KAS zatrzymała 253 637 155 sztuk nielegalnych papierosów. Najwięcej jechało tirami, bo aż 85 537 255. Na drugim miejscu były samochody osobowe, z których wyciągnięto 66 404 565 sztuk. Na podium znalazły się także pociągi. Wynik w tym przypadku to 11 720 945 sztuk. Na kolejnych miejscach plasowały się autokary, paczki kurierskie i samoloty.

Najwięcej papierosów jest zatrzymywanych na przejściach granicznych z Ukrainą, to ponad połowa wszystkich ujawnień. Na swoim odcinku (włączając także granicę z Białorusią) najwięcej pracy ma Izba Administracji Skarbowej w Lublinie, która od kilku lat niezmiennie zajmuje czołową pozycję, rekwirując około 40 proc. tytoniowego przemytu przejętego w Polsce przez KAS. Do prób przemytu na przejściach granicznych z Ukrainą dochodzi też prawie dwukrotnie częściej niż na granicy z Białorusią. Bo białoruskie „fajki” jadą również przez Ukrainę. Wpada też towar bez żadnych znaków akcyzy. Podrobione banderole są przerzucane oddzielnie i na paczki trafiają w miejscu docelowym.

Przemyt w taflach szkła i przęśle mostu

Drogowym przejściem, na którym notuje się najwięcej ujawnień, jest Dorohusk-Jagodzin. Tędy wjeżdża prawie połowa pojazdów ciężarowych w ruchu handlowym z Ukrainą. Celnicy wytaczają przeciwko przemytnikom najsilniejsze działa, m.in. skanery umożliwiające dokładne prześwietlanie nie tylko bagaży, lecz także samochodów osobowych, ciężarowych czy pociągów towarowych. Skaner w ciągu kilku minut dokładnie prześwietli tira z podwójna naczepą. Na obrazie komputera widać jak na dłoni zawartość pojazdu i wszelkie anomalie. Jest jednym z bardziej wydajnych urządzeń – w ciągu doby można prześwietlić minimum 200 ciężarówek.

W kwietniu 2019 roku na tym przejściu granicznym wpadł jeden z większych przemytów – 96 tys. paczek papierosów o wartości rynkowej ponad 1,3 mln złotych. Uwagę funkcjonariuszy zwrócił ciężarowy DAF przewożący tafle szkła. Trafił na prześwietlenie urządzeniem rentgenowskim. Obraz, który pojawił się na monitorze, skłonił celników do dalszej kontroli. W paczkach pomiędzy taflami odkryto papierosy.

Rok później na ten sam patent – ale na jeszcze większą skalę – natknęli się funkcjonariusze w pobliżu polsko-litewskiej granicy w Budzisku. Do kontroli skierowali polską ciężarówkę. W naczepie znajdowały się drewniane skrzynie z taflami szkła. Jednak pomiędzy deklarowanym szkłem, ukryto przemycane papierosy. W sumie 250 tys. paczek wartych ponad 4,5 mln złotych.

Przemyt ukryty w ciężarówkach pomiędzy towarem deklarowanym w dokumentach przewozowych to bardzo powszechna praktyka dużych grup przestępczych. Przemytnicy zadają sobie naprawdę dużo trudu, by zmylić służby i przygotować idealne skrytki. Najciekawsze są te przygotowane na etapie fabrycznym, jak np puszki z kawą, w których były paczki papierosów obsypane ziarnami kukurydzy. Dzięki temu – potrząsane – wydawały oczekiwany grzechot.

Papierosy są też szmuglowane w transporcie drewna, drzwi, artykułów spożywczych, mebli, a nawet przęśle mostu. W 2005 roku wątpliwości celników z Korczowej wzbudziła waga

ukraińskiej ciężarówki, która do Francji wiozła 80 lodówko-zamrażarek. Oprócz nich były także nielegalne papierosy warte ponad pół miliona złotych.

– Z każdą kolejną próbą przemytnicy ewoluują i wymyślają coraz nowsze sposoby, by nas oszukać. Staramy się jednak być krok przed nimi. Każda kontrola to dla mnie kolejne doświadczenie zawodowe – mówi jeden z funkcjonariuszy z Korczowej.

W 2018 roku znalazł papierosy w belach papieru, które przewoził 38-letni kierowca ukraińskiej ciężarówki. Osiem bel z papierem używanym w produkcji tektur miało trafić do odbiorcy w jednym z krajów UE. Pojazd został prześwietlony i natychmiast trafił do szczegółowej kontroli. Sprawa nie była prosta, bo każda z bel ważyła 2,5 tony. W ruch poszły piły mechaniczne. Celnicy musieli rozcinać nimi ścisłe warstwy papieru. Cała akcja trwała niemal dobę i wymagała dużego wysiłku fizycznego. W końcu udało się wydobyć ponad 1,5 mln sztuk papierosów, których rynkową wartość oszacowano na ponad 1 mln złotych.

Po prześwietleniu na celniczy warsztat w Koroszczynie trafiła jesienią 2019 roku białoruska ciężarówka przewożącą metalowe drzwi. Każda para była fabrycznie zapakowana. Ale zdjęcie rentgenowskie ujawniło nietypowe wypełnienie. Drzwi okazały się jedynie atrapami – opakowaniem dla 450 tys. paczek papierosów bez polskich znaków akcyzy. Kontrabanda była warta ponad 6,3 mln złotych. To jeden z większych i bardziej zuchwałych przerzutów.

Gangi, „mrówki” i okazjonalni szmuglerzy

Duże przemyty są ukrywane także w przerobionych ciężarówkach. Najczęściej w podwójnej podłodze lub za ścianką, która kryje dodatkową przestrzeń. Za tymi przerzutami stoją gangi przemytnicze.

– To one posiadają środki finansowe, ludzi i możliwości, żeby np. wyposażyć wagon kolejowy w dodatkową konstrukcję pod

składem, gdzie ukrywane są papierosy. Budują podwójne ściany w naczepach albo chowają kontrabandę w specjalnie wydrążonych na potrzeby przemytu deskach – wyjaśnia Michał Deruś, rzecznik prasowy lubelskiej KAS i wskazuje jeszcze dwie z podstawowych grup przemytniczych.

To „mrówki" przemycające regularnie małe partie towaru oraz „okazjonalni przemytnicy", którzy próbują przerzucić stosunkowo niewielkie ilości towarów, np. podczas wyjazdów turystycznych czy służbowych. Jeden z kierowców ciężarówki ukrył papierosy w 19-calowym telewizorze. Telewizor nie działał, bo zamiast kineskopu było 280 paczek papierosów.

Do szmuglu są wykorzystywane też schowki w konstrukcji aut, np. skrytki w elementach układu wydechowego ciężarówek, w których przemytnikowi udało się upchnąć 1300 paczek papierosów z białoruską akcyzą. Podejrzany wydał się celnikom także dostawczy DAF, który w 2013 roku wjechał na przejście graniczne w Dorohusku. Pojazd miał bowiem zaspawane tylne drzwi. Dostęp do części ładunkowej był możliwy jedynie przez wejście boczne. Gdy funkcjonariusze tam weszli, zorientowali się, że tylne drzwi od środka są jedynie atrapą. Między nią a fabrycznym wejściem znajdowała się skrytka na kontrabandę. Pomieściła prawie 8 tys. paczek papierosów. Kierowca przekonywał, że samochód nie należy do niego i nie miał pojęcia o przeróbkach.

W 2017 roku na przejściu granicznym w Hrebennem podczas rewizji naczepy samochodu ciężarowego na ukraińskich numerach rejestracyjnych funkcjonariusze wytypowali do kontroli przesyłki, w których zgodnie z opisem miały się znajdować używane felgi tytanowe. W trzech paczkach zamiast nich były papierosy. Przestępcy wyłożyli pudełka metalowymi płytami oraz folią aluminiową i posypali pieprzem. Liczyli, że w ten sposób towar stanie się niewidoczny dla skanera i nie do wyczucia dla psich nosów. Przejęto wówczas 3,2 tys. paczek papierosów o wartości 41 tys. złotych.

Przemytnicy wciąż, choć coraz rzadziej, sięgają po folię aluminiową, wierząc, że odbije promienie rentgena. To mit.

Nowoczesne urządzenia badają gęstość prześwietlanego materiału. Służby dysponują skanerami zarówno stacjonarnymi, jak i mobilnymi, które na monitorach pokazują kolorowy, trójwymiarowy obraz. Wielkogabarytowe sprzęty pozwalają skanować pojazdy w dwóch technologiach. Prześwietlany jest cały lub z pominięciem kabiny kierowcy. Oprócz ciężarówek można zbadać także osobówki, autobusy, busy czy kontenery.

Mimo rozwoju technologii na przejściach wciąż pracują psy. Dobrze sprawdzają się podczas kontroli autokarów rejsowych. Duży pojazd skrywa wiele zakamarków. Czworonogi szybko i skutecznie radzą sobie na tym froncie. Kontrabanda jest znajdowana w siedzeniach, luku bagażowym, baku, szafce przy toalecie czy kole zapasowym. W obliczu wpadki kierowcy zwykle przyznają się do przemytów. Chociaż zdarza się, że zrzucają winę na pasażerów – udają, że nie wiedzieli o dodatkowym balaście.

Przemytnicy szmuglują wszystko, co można drożej sprzedać. Nie zawsze skupiają się na jednolitym asortymencie. Dotyczy to zwłaszcza przerzutów na drobniejszą skalę.

Tak było w listopadzie 2020 roku, gdy rzeczniczka prasowa Izby Administracji Skarbowej w Rzeszowie Edyta Chabowska poinformowała o ciekawym i bardzo różnorodnym trafieniu w jednym autobusie, który z Ukrainy zmierzał do Szczecina. W kontroli pomagały właśnie służbowe psy. Lucy i Cedra w różnych skrytkach – w luku bagażowym, podłodze, za siedzeniem kierowcy – znalazły w sumie prawie 35 tys. sztuk papierosów, 1,8 tys. saszetek z preparatem na potencję oraz 31 zabytkowych książek i dwie mapy. Do szmuglu przyznali się ukraińscy kierowcy.

Skrytki z fantazją

Funkcjonariusze KAS niechętnie opowiadają, w jaki sposób typują pojazdy osobowe do szczegółowej kontroli w „jamie”. Podobnie jak na lotniskach czy w portach analizują częstotliwość podróży i historię przemytniczych wpadek podróżnych. Bacznie obserwują

także ich zachowanie, szukając oznak zdenerwowania czy zniecierpliwienia. Wiele można też wyczytać ze sposobu poruszania się czy ubioru.

– Posiadamy wiele systemów informatycznych, z których korzystamy przy takim typowaniu. Ważne są również własne spostrzeżenia i zachowania podróżnych. Funkcjonariusze Służby Celno-Skarbowej są też szkoleni z psychologii, co pomaga nam „przeczytać" podróżnego, zrozumieć go i cel jego podróży. Dodajmy do tego spostrzegawczość i zdolności analityczne. Wszystkie te aspekty połączone razem składają się na „nos celnika" – mówi jeden z funkcjonariuszy.

Szmuglerzy, zwłaszcza ci drobniejsi, kontrabandę upychają pod ubraniem. Podczas kontroli osobistej spod zbyt obszernej garderoby wyciąga się po kilkanaście sztang papierosów wsuniętych w nogawki, rękawy, pod kalesony czy przyklejone taśmą do ciała.

Hitem w celniczych kartotekach okazał się w 2014 roku 26-letni Rosjanin, który wpadł w Grzechotkach. Próbował wwieźć do Polski ważącą niemal 1,5 kg bryłę bursztynu o wartości ponad 33 tys. złotych. Ukrył ją… w majtkach.

Papierosy wyciągano także ze specjalnie przerobionej garderoby. Tak na przejściu w Kuźnicy przed świętami Bożego Narodzenia w 2019 roku wpadł Białorusin. Najpierw funkcjonariusze zainteresowali się jego nieco już wyeksploatowanym autem. Sztangi wyciągnięto z przerobionej podłogi, bagażnika i zbiornika paliwa. Aby dostać się do towaru, musieli rozkręcić pojazd. Zmieściło się w nim 3 tys. paczek. Kolejne łupy wpadły w ręce celników podczas kontroli osobistej. Mężczyzna założył przerobione spodnie z podwójnymi nogawkami i kurtkę, w której zaszył kolejne paczki. Zmodyfikowana garderoba pomieściła 150 paczek.

Kreatywność, pomysłowość i fantazja – to kluczowy oręż w starciu przemytników ze służbami. Do rangi symbolu nieszablonowego postępowania urósł przypadek z Terespola – 72-letnia Rosjanka, która ukryła papierosy w kilkudziesięciu motkach

włóczki. Jechała z Rosji do Niemiec, jak twierdziła, do syna. Włóczką owinęła ponad 2 tys. paczek.

Nielegalne papierosy wyciągano także z książek. Tytuł nie ma tu znaczenia – ważne, by tomiszcze miało twardą okładkę i było jak najbardziej słusznych rozmiarów.

Towary wyjmowano także z termosów, wersalki, nagrobka, betonowych figur łabędzi, a nawet ze słoika z bigosem. W 2019 roku bank rozbiła 48-letnia Ukrainka, pasażerka międzynarodowego pociągu relacji Zdołbunów–Chełm. 20 paczek papierosów zapiekła w sporej rozmiarów bułce, która pozornie wyglądała jak pokaźna drożdżówka. I prawdopodobnie właśnie rozmiar zainteresował kontrolerów. Kobieta tłumaczyła, że pieczywo oraz kilka innych artykułów spożywczych wiezie dla córki znajomej.

Na podobny pomysł kilka lat wcześniej wpadła 39-letnia Białorusinka. Wytypowano ją do wyrywkowej kontroli na „zielonym pasie" dla podróżnych, którzy nie mają nic do zgłoszenia. Na tylnym siedzeniu auta wiozła tort. Jak wyjaśniła, miał być niespodzianką dla znajomej z Białegostoku. Pech przemytniczki polegał na tym, że kontrolujący ją funkcjonariusz z zamiłowania był cukiernikiem i natychmiast zainteresował się wypiekiem. Zwrócił uwagę na podejrzanie lekką wagę ciasta – wewnątrz zamiast biszkoptu i kremu nafaszerowany był papierosami. W sumie zmieściło się w nim 70 paczek papierosów z białoruskimi znakami akcyzy. Przemytniczka przyznała się do winy, ciasto straciła, a z granicy odjechała z mandatem w wysokości 1200 złotych.

Skandalem w 2009 roku zakończył się wypad na mecz do Polski młodzieżowej drużyny piłkarskiej z Grodna. Na przejściu granicznym w Kuźnicy Białostockiej, gdzie kontrolowano autokar, celnicy zainteresowali się z pozoru oczywistymi rekwizytami w przypadku sportowców. Poszło o worek z piłkami treningowymi. Podczas rewizji okazało się, że część futbolówek oklejono bezbarwną taśmą. Szybko wyszło na jaw, że 10 z kilkunastu wypchano kontrabandą. Była także ukryta w jednej z toreb

sportowych w luku bagażowym. W sumie naliczono pół tysiąca paczek nielegalnych papierosów. Do przemytu przyznał się 39-letni trener.

Papierosową kontrabandę wyciągano też z gaśnic, ambulansu, pianina, chleba czy laptopa. Z tego ostatniego skorzystał przemytnik, który wpadł w 2020 roku na przejściu granicznym w Dorohusku. Podróżujący autokarem z Kijowa do Poznania 49-letni obywatel Ukrainy w obudowie laptopa – po wcześniejszym usunięciu płyty głównej i twardego dysku – schował 442 monety z XVII-XIX wieku. Prawda wyszła na jaw podczas prześwietlania bagażu podręcznego. Z obudowy wyciągnięto naprawdę ciekawe okazy. Najbardziej wartościowe okazały się talary holenderskie (zwane lewkowymi) z 1648 roku. Ale były też XVII-wieczne szelągi (m.in. Gustawa Augusta) półtoraki, orty i grosze z okresu panowania Zygmunta III Wazy, Stefana Batorego i Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Nie trudził się zbytnio kierowca busa, którego skontrolowano w listopadzie 2020 roku na polsko-ukraińskim przejściu granicznym Budomierz-Hruszew. W portfelu Ukraińca znaleziono cenne srebrne monety carskie, m.in. z wizerunkiem Katarzyny II czy Piotra I. Był też rubel familijny o nominale 10 zł z 1836 roku z wizerunkiem Mikołaja I. Na awersie monety przedstawiono głowę cara zwróconą w prawo, na rewersie – głowę carycy otoczoną siedmiorgiem dzieci pary carskiej. Na rynku numizmatycznym takie monety osiągają zawrotne ceny – 350 tys. złotych, a nawet 650 tys. euro.

W 2011 r. w Terespolu przejęto 130 podrabianych zegarków, które przemytniczka ukryła w jedzeniu. Hermetycznie owinięte folią roleksy 49-letnia Białorusinka ukryła w jogurtach, bigosie, galaretce wołowej, termosie z herbatą oraz w kanapkach z salami i pod odzieżą, m.in. w biustonoszu. Przekonywała, że towar nie należał do niej. Miała go dostać od znajomej z Moskwy i przewieźć do Polski. Twierdziła, że za przysługę obiecano jej 130 dolarów.

Zamęt na „jamie”

Gdy pojazd zostanie skierowany do BKS-u, cały czas jest obserwowany przez funkcjonariuszy, by nie doszło do przeładunku lub wyrzucenia nielegalnej zawartości. Są też samochody, jakby wymarzone przez przemytników, bo fabrycznie wyposażone w podwójną podłogę.

– Wtedy wystarczy wyciąć dziurę, by włożyć tam 180-centymetrowej długości pakiety powstałe z posklejanych kartonów papierosów. A potem my wyciągamy je na „jamie” – mówi funkcjonariusz. Dlatego schodzą też do kanału, by obejrzeć podwozie, gdzie odkrywają czasem nieszablonowe skrytki. Zdarzały się sytuacje, gdy auta z napędem na cztery koła miały np. odpiętą tylną oś, a w miejscu wału był schowek.

Z jednej skrupulatnie przygotowanej osobówki można wyciągnąć kilka tysięcy paczek papierosów, najczęściej – kilkaset. Ale były przypadki, że naliczono 5 tys., a nawet ponad 7 tys., jak w 2013 roku w Hrebennem. Rozładunek forda mondeo trwał kilka godzin. W sumie wydobyto 7307 paczek papierosów z ukraińskimi znakami akcyzy. Ukryte były m.in. w drzwiach, siedzeniach, podłodze, tunelu zmiany biegów, przerobionym zbiorniku na paliwo i zderzaku.

Te przemytnicze skrytki na kółkach są wielokrotnie przerabiane i wręcz faszerowane „fajkami”. Celnicy bez trudu docierają do wielokrotnie używanych skrytek, które zdradzają poluzowane śruby czy chybotliwe elementy.

– Czasami na pierwszy rzut oka widać, że auto jest przerobione lub było rozbierane – mówi funkcjonariusz i wyjaśnia, że towar jest chowany nie tylko przez właścicieli aut, lecz także przez wynajętych mechaników, którzy za drobną opłatą konstruują skrytki w pojazdach. – Papierosy są również spryskiwane intensywnymi zapachami, by zmylić psy – wylicza funkcjonariusz. – Na darmo, bo psi węch jeszcze trudniej zmylić niż doświadczonego celnika.

Przemytnicy zachowują się różnie, czasem bardzo agresywnie. Zawsze od początku przekonują, że jadą na pusto. Dopiero gdy prawda wychodzi na jaw, zmieniają retorykę.

– Niektórzy się denerwują i próbują swoją agresją wpłynąć na naszą kontrolę, niektórzy płaczą, często tłumacząc się nagłymi sytuacjami rodzinnymi czy przewlekłymi chorobami – wyjaśnia celnik.

Zdarzają się także sytuacje niebezpieczne. Dochodzi do gróźb.

– Podróżni pod wpływem emocji grożą nam lub naszym rodzinom. Nie wiemy, z kim mamy do czynienia, jak zachowają się kierowca, pasażer… Dlatego obowiązuje zasada, by przy kontroli zawsze obecnych było co najmniej dwóch funkcjonariuszy.

Celnik wspomina też groźne chwile w BKS-ie, gdy podczas przeszukania osobistego podróżny wyciągnął nóż.

– Nie wiem, jakie miał zamiary, ale obecność drugiego funkcjonariusza w tej sytuacji zdecydowanie mi pomogła – wspomina.

Brudne i śmierdzące metody

Przestępcy na różne sposoby próbują zniechęcić celników do skutecznego przeszukania. Liczą, że przerzucając nielegalny towar ukryty w śmierdzącym samochodzie, wyprowadzą służby na manowce. Po taki fortel sięgnięto podczas próby przemytu w naczepie chłodni, w której wcześniej były przewożone ryby. Papierosy ukryto w ścianach naczepy. Ale prawdziwą zasłoną dymną miały być brud i potworny fetor pochodzący z psujących się resztek. To także nie odstraszyło celników.

Grupy przestępcze próbują czasami zachęcić funkcjonariuszy do współpracy. I niekiedy to się udaje. Jedną z takich spraw rozpracowywał Podkarpacki Wydział Zamiejscowy Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej. W efekcie rozbito jeden z podkarpackich gangów, który w latach 2011-2014 przemycał papierosy z Ukrainy do Polski.

Grupa skorumpowała 12 celników pracujących na przejściach w Medyce i Korczowej. Za przymykanie oczu brali po 3-4 złote od każdego przeoczonego kartonu. Nieuczciwi funkcjonariusze przekazywali członkom gangu szczegóły swoich grafików. W zamian informowano ich, kiedy w jakich autach będzie jechała kontrabanda. Czasem kurierzy, wjeżdżając na przejście, podawali ustalone hasło. Zapłata za taką pomoc szła z ręki do ręki przy cmentarzu w Medyce lub na wskazanych parkingach.

W ciągu czterech lat przemytnicy przerzucili prawie mln paczek papierosów. A przynajmniej tyle udało się ustalić śledczym. Kupowali je hurtowo na Ukrainie i chowali w skrytkach samochodowych. Nafaszerowane tytoniem auta jechały w konwojach po kilka. I tak nie niepokojeni przez służby kurierzy przejeżdżali przez granicę. Potem towar trafiał do garaży i magazynów w Medyce, z których był odbierany przez kolejne ogniwo przestępczego łańcucha.

Haszysz w progach

Na te same samochodowe skrytki stawiał boss jednego z ukraińskich gangów, który z Hiszpanii na Ukrainę przerzucał haszysz. Schyłek jego kariery przypadł na 2017 rok, gdy pogranicznicy z Terespola i Korczowej zatrzymali troje ukraińskich kurierów poruszających się luksusowymi autami – BMW X6 i BMW X5.

Przygotowane w progach samochodów schowki pomieściły w sumie prawie 240 kg haszyszu, wartego ponad 9 mln złotych. Śledczy ustalili, że towar jechał z Maroka do Rosji. Za 45-letnim mózgiem operacji wydano list gończy, europejski nakaz aresztowania i tzw. czerwoną notę Interpolu. Przez kilka lat był jednak nieuchwytny. Wiele wskazywało na to, że zadekował się w Hiszpanii. Ale w Polsce już żadnej więcej wpadki nie zaliczył. Został ujęty na początku 2020 roku na lotnisku w Barcelonie.

Litewska fantazja

Granica polsko-litewska to bardzo trudny teren dla służb. 104 km wewnętrznej granicy UE. Nie ma punktów kontroli, ale nadal intensywnie patrolują ją pogranicznicy. Tędy przerzuca się migrantów, kradzione auta i wielkie ilości „fajków", jak mówią funkcjonariusze. Według nich właśnie Litwini uchodzą za najbardziej kreatywnych w przygotowywaniu przemytniczych aut.

– Jeszcze niedawno nie było dnia, byśmy nie rozkładali kolczatki i nie strzelali w powietrze, żeby zatrzymać pojazd, bo ktoś nie zatrzymał się kontroli – mówi jeden ze strażników.

Pandemia nieco zmieniła trend. Czasowo wprowadzono kontrole na przejściach w Budzisku i Ogrodnikach. Inne drogi były blokowane przez wojsko, więc szmuglerzy stracili na chwilę otwartą bramkę. Mimo to wciąż trwały kontrole prowadzone przez patrole mobilne. I wciąż dochodziło do niebezpiecznych akcji Straży Granicznej i pościgów za kierowcami, którzy zignorowali polecenie do zatrzymania pojazdu.

W 2016 roku miało miejsce aż 13 takich akcji. O jedną więcej funkcjonariusze Straży Granicznej przeprowadzili rok później. Przy czym większość tych pościgów dotyczyła przemytu ludzi i kradzionych samochodów. W 2019 roku tendencja się odwróciła: na 12 pościgów aż 9 prowadzono za przemytnikami papierosów. Oszacowano, że wszystkie nielegalne transporty „fajków", przechwycone w 2019 roku na tym odcinku przez Straż Graniczną, były warte w sumie około 18 mln złotych.

Metalowe kolce i zasłony dymne, czyli pułapki na celników

Przemytnicy przykładają dużą wagę do wyposażenia swoich pojazdów w różnego rodzaju oręż, po który można sięgnąć podczas wpadki czy ucieczki przed kontrolą. Są zdeterminowani i brutalni. Taranują auta Straży Granicznej i Służby Celno-Skarbowej.

Przejeżdżają po rozłożonych na drodze kolczatkach. Aby nie tracić opon, wypełniają je specjalnymi piankami, dzięki którym przebite koło nadal zapewnia mobilność.

W 2014 roku podlascy celnicy i pogranicznicy zasadzili się na szmuglera po tym, jak ustalono, że w okolicach miejscowości Rutka-Tartak ma dojść do dużego przerzutu. Wkroczyli do akcji, gdy obserwowany passat na litewskich numerach rejestracyjnych wjechał na terytorium naszego kraju. Rozstawiono blokadę. Kierowca ją sforsował i rzucił się do ucieczki, wypuszczając z auta zasłonę dymną. Pościg trwał dalej. Zakończył się w polu kukurydzy, gdzie zatrzymano 35-letniego Polaka, który próbował przemycić kontrabandę wartą ponad 125 tys. złotych.

Jego auto było wypełnione papierosami aż po sufit. To specyfika przemytów na tym odcinku granicy. Tu nikt nie bawi się w ukrywanie kontrabandy w skrytkach. Licząc na łut szczęścia, przemytnicy jadą busami i osobówkami pękającymi w szwach od nielegalnego towaru.

W 2019 roku w konsternację wprawiło funkcjonariuszy dodatkowe wyposażenie fiata ducato, który stał na poboczu w powiecie sejneńskim. Podczas kontroli okazało się, że paka jest wypełniona po brzegi papierosami z białoruskimi znakami akcyzy. Znacznie ciekawszego odkrycia dokonali, badając podwozie auta. W jego tylnej części umieszczono bowiem skrytki, w których znajdowały się metalowe kolce. Wysypywały się na drogę po uruchomieniu zapadni, a przyciski, które ją uwalniały, znajdowały się w kabinie kierowcy tuż przy kierownicy. Kolce składały się z czterech elementów, tak by okazały się skuteczne bez względu na to, jak ułożą się na drodze. Na pakę załadowano papierosy o wartości 1,7 mln złotych.

Z kolei towar wart ponad 3,5 mln złotych jechał w dwóch busach, które w lutym 2019 roku funkcjonariusze Straży Granicznej próbowali zatrzymać na drodze z Suwałk do Olecka. Kierowcy widząc patrol, gwałtownie zawrócili i zaczęli uciekać w stronę Suwałk. W okolicy Orłowa ustawiono blokadę i rozłożono kolczatkę. Busy staranowały radiowóz, potrącając stojącego za nim

funkcjonariusza. Także w tych pojazdach znajdowały się skrytki z kolcami. Z jakiegoś jednak powodu przemytnicy nie zdecydowali się ich użyć.

W listopadzie 2020 roku podczas pogoni za audi prowadzonym przez Litwina doszło do próby zepchnięcia z drogi samochodu Straży Granicznej. Jednak wykonując ten manewr, kierowca stracił panowanie nad pojazdem i wypadł z drogi. Wtedy został ujęty.

Ale rekordowe trafienie podlaskich służb odbyło się niejako przez przypadek. Straż Graniczna i KAS szukały w tirach nielegalnych imigrantów, a odkryły gigantyczny transport fajek. To największy w historii nielegalny transport papierosów przewożonych w ciężarówce, przechwycony przez podlaską Straż Graniczną i KAS. Do zatrzymania doszło na początku grudnia 2020 roku. W naczepach miały być urządzenia wentylacyjne i płyty termoizolacyjne, a znaleziono białoruskie papierosy. Zapakowano je w metalowe obudowy i drewniane skrzynie. W sumie podczas jednej akcji przejęto towar wart 18 mln złotych.

Pociąg do lewych papierosów

Walka z przemytem to klasyczna zabawa w kotka i myszkę. Przemytnicy wymyślają nowe metody przerzutu towaru, sposoby jego ukrycia, trasy i kanały przerzutów, ale służby wykazują nie mniejszą kreatywność w ukróceniu zapędów przestępców, inwigilują grupy, śledzą ich ruchy i poczynania, robią wszystko, by nadążać za trendami.

Nadkomisarz Marzena Siemieniuk z Izby Administracji Skarbowej w Lublinie podaje, że od końca lat 90. do 2004 roku na podległym jej odcinku granicy notowano w ciągu miesiąca nawet po kilka wpadek pojazdów ciężarowych. Papierosy przemycano w sodzie kaustycznej, smole, zwojach drutu, deskach itp.

– W ostatnich latach zorganizowanych przemytów z wykorzystaniem ciężarówek jest relatywnie mniej, co nie znaczy,

że się nie zdarzają. Tylko do listopada 2020 roku na granicy w województwie lubelskim udaremniliśmy około 10 dużych zorganizowanych przemytów z wykorzystaniem właśnie pojazdów ciężarowych – mówi, podkreślając, że rok pandemiczny zmienił trendy, bo doszło przecież do zamknięcia granic i ruch osobowy okresowo zamierał.

W normalnych czasach przejście graniczne z Ukrainą w Dorohusku przekraczało nawet 4 tys. osób dziennie. Natomiast w 2020 roku, podczas epidemii, przejeżdżało tędy średnio zaledwie 100 samochodów na dobę. Pojawił się więc nowy stary kanał.

– Uaktywnił się transport nielegalnych papierosów z wykorzystaniem pociągów towarowych. Może to wynikać z faktu, że z uwagi na pandemię zamknięto przejścia dla ruchu osobowego i przemytnicy szukają nowych sposobów i dróg przemytu – mówi rzecznik lubelskiej IAS Michał Deruś.

Nielegalny towar jest ukrywany pod ładunkiem, np. drewna, drewnianej zrębki czy rudy żelaza, czasami też pod innymi towarami przykrywkowymi, takich jak np.: tłuczeń, węgiel, rzepak czy kukurydza. Pakunki zabezpiecza się nieprzemakalną czarną folią. Aby wydobyć je z dna, np. spod ton rudy żelaza, konieczny jest rozładunek niemal całej zawartości wagonu. A to zajmuje wiele godzin.

Kartony z „fajkami” wyciągano w Terespolu spod metrowej warstwy drewnianej zrębki, którą były wypełnione wagony pociągu towarowego relacji Brześć–Małaszewicze. Dużo więcej pracy mieli funkcjonariusze w pociągu relacji Brześć-Kobylany. Przemytnicy ukryli papierosy w wagonie typu węglarka wiozącym surówkę niestopową.

Papierosy są wyjmowane też z elementów konstrukcyjnych wagonów – podłużnic, skrzynek reflektorów, osłon prądnic czy z bloku silnika. Podczepiane są za pomocą magnesów pod sufitem wagonów. Pomalowane farbą pakiety na pierwszy rzut oka wyglądają jak konstrukcja dachu. Aby osiągnąć cel, przemytnicy nie wahają się nawet przed upychaniem kontrabandy w niebezpiecznych miejscach. Zdarzały się bowiem przemyty w

konstrukcji cysterny z gazem propan-butan, pod grzybkami zaworów czy w ramie cysterny.

Idealną skrytką miał być kilkusetlitrowy zbiornik na fekalia w pociągu relacji Kijów–Berlin. Przemyt odkryto w 2005 roku na polsko-ukraińskim przejściu w Dorohusku. Kartony z papierosami zapakowane w foliowe worki pływały w zbiorniku na fekalia. W ten sposób przemytnicy ukryli ponad 2 tys. paczek.

Do ich porażki przyczyniła się skrupulatność kontroli. Teraz o wykrycia jeszcze łatwiej, bo od 2019 roku w Dorohusku znajduje się najbardziej nowoczesny skaner RTG do prześwietlania wagonów towarowych, jakim obecnie dysponuje Krajowa Administracja Skarbowa.

Skanery pracują także na kolejowych przejściach granicznych w Hrubieszowie i Terespolu. To ważne punkty, bo tędy przekraczają granicę pociągi towarowe jadące z Chin. Zdarzają się tu spektakularne wpadki – ze składów wiozących kontenery są wyciągane takie, które nawet w całości są wypełnione papierosami bez żadnych znaków akcyzy.

Gdy w 2016 roku z pompą oddawano do użytku skaner w Terespolu, podkreślano, że jest największym tego typu urządzeniem w Europie. Był pierwszym skanerem, który obejmował zasięgiem aż trzy tory kolejowe.

Postępy na budowie śledzili także przestępcy. Spieszyli się z przerzutami, by zdążyć przed inauguracją. Celnicy zmagali się wówczas ze wzmożoną aktywnością grup, które szły na całość. Dwa miesiące przed oddaniem skanera do użytku, podczas nocnej akcji celników i pograniczników, przejęto 367 tys. paczek o wartości prawie 5 mln złotych. Była to największa w 2016 roku nielegalna przesyłka przechwycona w składzie towarowym. Kontrabandę znaleziono w pociągu jadącym z Białorusi do Polski. „Fajki” zapakowano do ponad 700 kartonowych pudeł i ukryto w dwóch wagonach.

Wykorzystanie skanera od razu ukróciło nielegalny proceder, a celnicy częściej mogli się pochwalić sukcesem. W transporcie 66 ton wodorowęglanu sodu odkryto 100 tys. paczek papierosów o

wartości 1,3 mln złotych. Anomalię zaważono także w kolejnych ładunkach – drewna czy płyt meblowych. W końcu przestępcy, kalkulując ryzyko wpadki, zaczęli odpuszczać ten kanał. Trend ponownie odwróciła dopiero pandemia i zamknięte przejścia osobowe.

„Przemytnik" relacji Kijów–Warszawa

Warszawski Dworzec Wschodni. Kilkanaście minut po godzinie 6 rano na peron wjeżdża pociąg z Kijowa. Wsiadają do niego ubrani na czarno celnicy. To funkcjonariusze specjalnych grup do zwalczania przestępczości. Nie będą sprawdzać dokumentów. Mają za zadanie szukać nielegalnych towarów, m.in. akcyzowych. Ich praca polega na zwalczaniu przestępczości. Pasażerowie nerwowo przesuwają się w stronę wyjścia. Na korytarzu funkcjonariusze zaglądają do toreb podróżnych.

– Panowie, co może mieć w torbie taka stara kobieta jak ja? – pyta poruszona Ukrainka.

Faktycznie, w jej bagażu nie znajdują niczego podejrzanego. Pociąg pustoszeje. Gdy rusza, zaczyna się przeszukanie wagonów. W przedziałach leżą na siedzeniach kartony papierosów porzuconych na widok służb. Kiedy skład dociera do Dworca Zachodniego, na peronie czeka grupka handlarzy. Pytają o coś ukraińskiego konduktora. Przecząco kręci głową.

– Z torbami nas puścicie – rzuca jeden z mężczyzn w stronę „czarnych".

Tak nazywają ich przemytnicy. Za chwilę to właśnie „czarni" ze śrubokrętami w rękach rozmontują cały pociąg w poszukiwaniu kontrabandy.

Na bocznicy w Odolanach w pociągu przebywają już tylko pracownicy ukraińskiej kolei. Nie przyznają się do towaru. Zaczyna się skrupulatne przeczesywanie składu. Krok po kroku celnicy zaglądają we wszystkie zakamarki. Są ostrożni.

– Zdarzało się, że pod sufitem ukryto pojemnik ze żrącą substancją. Po otwarciu elementu ciecz wylała się na funkcjonariusza – opowiada jeden z kontrolujących.

Choć ta sytuacja miała miejsce w 2004 roku – krótko po tym, jak Polska przystąpiła do Unii Europejskiej i wówczas zawartość przemytniczych skrytek służby przypisywały ukraińskiej mafii – to metody ukrywania kontrabandy do dzisiaj się nie zmieniły.

Papierosy utykane są w ścianach i podłodze, nawet w niewielkich szczelinach pod sufitem. Można je dojrzeć dopiero po zdemontowaniu osłon i użyciu specjalnego lusterka kątowego. Kartony są łączone taśmą klejącą tak, by powstały długie bele. Łatwiej je wsuwać i wyciągać ze szczelin. W podłodze pod siedzeniami wycina się schowki i przykrywa je wiekami. Każde ma wywierconych po kilkanaście otworów na śruby, ale trzymają się na dwóch. Liczy się czas. Podłoga w tym miejscu wygląda jak dawno niesprzątana. Ale to tylko zasłona dymna – w schowku mieści się prawie 40 kartonów papierosów.

„Fajki” trafiają też w ścianki wagonów, gdzie nie ma izolacji. Aby je wyjąć, trzeba odkręcić cały element. Papierosy zapakowane w czarne rajstopy są podwieszane w różnych zakamarkach. Były przypadki, że przemytnicy zabezpieczali skrytki np. watą szklaną, co utrudniało kontrolę i narażało funkcjonariuszy na skaleczenia. Ale towar wyciąga się też ze skrzynek wysokiego napięcia. Obkładane są nim także ręczne hamulce bezpieczeństwa (wątpliwe, by zadziałały, gdyby zaszła taka potrzeba), a nawet rozgałęzienia przewodów elektrycznych. Trzeba przeszukać każdy centymetr składu.

Pociągi, którymi jeżdżą przemytnicy, wewnątrz wyglądają na bardzo wyeksploatowane. Wiele elementów jest pogiętych i zniszczonych od ciągłego rozkręcania i skręcania. Nocnym pociągiem relacji Kijów–Warszawa zwykle podróżuje ponad 100 pasażerów. Kontrole na przejściu kolejowym w Dorohusku są trudne i stresujące, bo funkcjonariuszy goni czas. Z toreb podróżnych – oprócz papierosów ponad limit – jest wyciągana także żywność pochodzenia zwierzęcego, której nie wolno wwozić

do UE ze względu na zagrożenie rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych zwierząt. W trakcie pandemii kursy tego składu zostały zawieszone.

Dzięki międzynarodowym umowom celnicy otrzymali ważny oręż – prawo wyłączenia podejrzanych wagonów ze składu. To była olbrzymia operacja logistyczna, która wiązała się z przygotowaniem transportu zastępczego. Kilka takich akcji przed kilkoma laty zorganizowano na ukraińsko-polskiej granicy właśnie w przypadku „przemytnika" relacji Kijów–Warszawa. Skład na bocznicy rozkręcano co do śrubki. Konfiskowano po 30 tys. paczek. Były wszędzie – w łóżkach, podłodze, sufitach i toaletach.

Takie naloty były straszakiem i na pewien czas zniechęciły szmuglerów. Ale to żywy organizm. Poczynania służb są na bieżąco śledzone. I jeśli tylko pojawi się luka, przemytnicy natychmiast wracają na swoje tory.

I tak, po krótkim czasie względnego spokoju, w maju 2019 roku funkcjonariusze wzięli na cel pociąg relacji Kijów–Wrocław. Dokładnie skontrolowali trzy wagony. Z dwóch wyciągnięto prawie 7 tys. paczek papierosów. O przemyt podejrzewano osoby opiekujące się wagonem podczas jazdy.

Papierosy są przerzucane też w pociągach krótko-bieżnych, zaczynających i kończących swą trasę przy granicy. Wsiadają do nich głównie mieszkańcy pobliskich miejscowości, gdzie przemyt „mrówkowy" – jak określają to śledczy – jest bardzo popularny. Stworzono nawet rys potencjalnej „mrówki". To na ogół mężczyzna w wieku około 30 lat, mieszkający we Lwowie, w Iwano-Frankowsku, Mościskach, Odessie, Czerniowcach czy Kijowie. Sprawca najczęściej pozostaje nieuchwytny, bo towar upychany jest w ogólnodostępnych przestrzeniach konstrukcyjnych wagonów oraz przedziałów pasażerskich.

Wielki demontaż zaczyna się od razu, gdy skład rusza z peronu. Swoje usługi oferują w pociągach także „rozkręcacze", którzy wiedzą, jak i gdzie szybko schować towar. Na granicy celnicy mają niewiele czasu na szczegółową kontrolę. To, czego

nie znajdą zaraz po przekroczeniu przejścia, jest wyciągane przez „mrówki”.

Zniszczone wyposażenie pociągów i opóźnienia w kursowaniu spowodowane przeciągającymi się kontrolami przyczyniały się do likwidacji niektórych kursów, jak pociągów z Zagórza do ukraińskiego Chyrowa. Z kolei w przypadku połączeń do Grodna przewoźnik zdecydował o zmianie wagonów z przedziałowych na bezprzedziałowe, bo w tych drugich przemyt ma być trudniejszy.

Przesyłki pod specjalnym nadzorem

Pandemia przyniosła wiele ograniczeń także w ruchu pociągów pasażerskich i tym samym ograniczyła działalność drobnych szmuglerów. Na popularności jeszcze bardziej zyskały więc przesyłki pocztowe i kurierskie.

I tak przed świętami Bożego Narodzenia w białostockich oddziałach dwóch firm kurierskich funkcjonariusze KAS natknęli się na siedem paczek zawierających łącznie 88 kg tytoniu bez polskich znaków skarbowych. Według opisu nadawcy miały zawierać ozdoby choinkowe i artykuły ogrodnicze. Ale prześwietlono je mobilnym skanerem RTG. Wtedy warte ponad 50 tys. złotych szydło wyszło z worka.

Na skaner nie ma rady, ale przemytnicy wciąż też walczą z psimi nosami, które również są wykorzystywane w sortowniach i magazynach. Wciąż zdarzają się przypadki spryskiwania paczek np. gazem pieprzowym lub innymi preparatami chemicznymi, które mają odstraszać zwierzęta (tzw. antydog).

Według danych KAS papierosy i tytoń zza wschodniej granicy są przemycane także w przesyłkach kurierskich. Adresowane są do Polski lub od razu dalej – do Europy Zachodniej. Kontrole takich paczek odbywają się nie tylko w magazynach. Prowadzą je także mobilne grupy administracji skarbowej, które sprawdzają samochody na drogach i parkingach. W jednym z busów jadących

z Sejn do Wielkiej Brytanii odkryto 20 podejrzanych paczek, z których wyciągnięto w sumie prawie 16 tys. paczek papierosów.

Jacek Fundowicz, wiceprezes IPAG, wskazuje, że od 2015 roku, kiedy do Polski przemycono papierosy warte ponad 5 mld złotych, szmugiel wyrobów tytoniowych powoli spada. – Mają na to wpływ zmiany przepisów, które łatają dziury wykorzystywane przez przemytników, ograniczona skala podwyżek podatków w ostatnich latach, a także bogacenie się społeczeństwa, które nie musi sięgać po nielegalny towar, a także coraz lepszy nadzór KAS – mówi ekonomista i podkreśla, że wskazują na ten trend liczne badania. Między innymi firmy, która zajmuje się wyciąganiem paczek ze śmietników i liczeniem tych legalnych, przemyconych i podrobionych. W raporcie IPAG wartość luki podatkowej związanej z szarą strefą na rynku wyrobów tytoniowych (obejmującej poza przemytem także nielegalne wytwórstwo) oszacowano na kwotę przekraczającą 3 mld złotych strat ponoszonych przez budżet państwa.

Bursztyn w butelkach po napojach. Pakuje się go też w rajstopy, aby łatwiej było wepchnąć w skrytki konstrukcyjne pojazdów
foto KAS

2 tys. nielegalnych paczek w motkach włóczki w Terespolu
foto KAS

Podczas pościgu przemytnik staranował samochód Straży Granicznej, zanim sam wylądował w rowie
foto SG

Papierosy w silniku lokomotywy. To wynik kontroli pociągu towarowego wjeżdżającego z Białorusi do Polski
foto SG

55 paczek w głośnikach przejęte na granicy w Terespolu
foto KAS

Skrytkę w suficie pociągu towarowego zabezpieczono gwoździami i śrubami z uciętymi główkami, co znacznie utrudniło mundurowym demontaż
foto KAS

Papierosy w płycie nagrobkowej
foto KAS

Papierosy pod podwoziem
foto KAS

Przemytników ogranicza tylko wyobraźnia. Papierosy w zabawkach
foto KAS

Naczepa nafaszerowana tytoniową kontrabandą
foto KAS

Nielegalny ładunek ukryto w pociągu towarowym pod drewnianą zrębką
foto SG

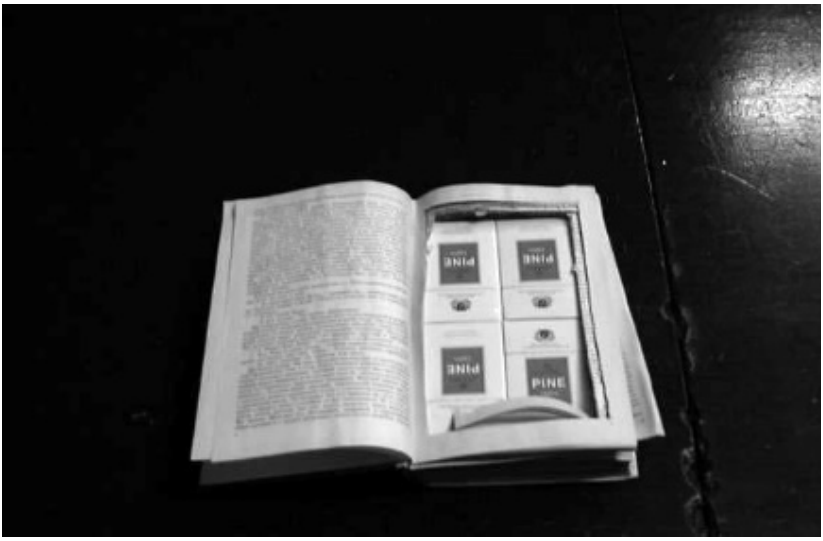

Na taką skrytkę natknęli się celnicy w Terespolu
foto KAS

Schowek w oponach do kombajnów
foto KAS

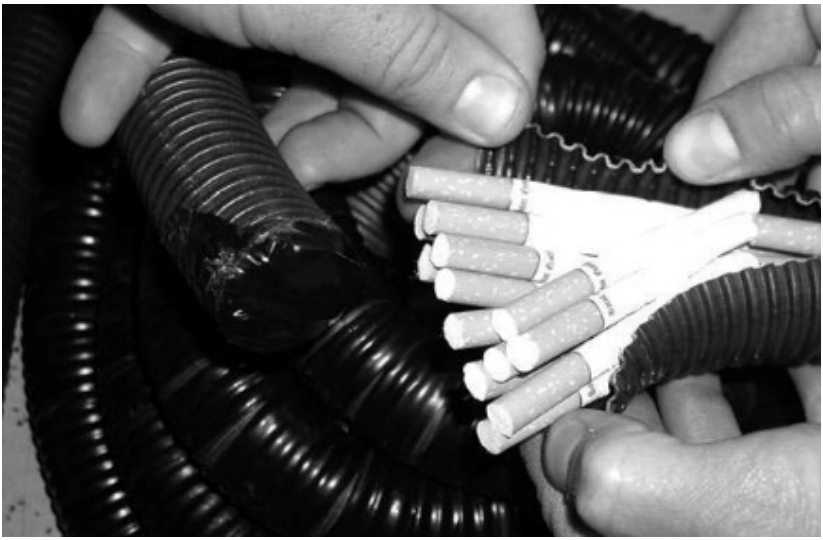

Luzem w rurze od odkurzacza w Dorohusku
foto KAS

Wafle z nadzieniem tytoniowym
foto KAS

Kilogramowe bryły nieobrobionego jantaru zmieściły się pod akumulatorem. Ukraińscy przemytnicy wpadli w Dorohusku
foto KAS

11 paczek w laptopie w Hrebennem
foto KAS

Akcja na przejściu w Kuźnicy w pociągu osobowym relacji Grodno–Kraków
foto KAS

Papierosy zapieczone w bułce – przejście kolejowe w Dorohusku
foto KAS

11,5 tys. paczek w podwójnych dnach łodzi sportowych w Dorohusku foto KAS

Rozdział 6
Wojna o Bug

Rzeka jest szeroka, wartka i dzika. Mogłoby się wydawać, że będzie stanowić naturalną przeszkodę dla przemytników. Okazuje się, że wcale nią nie jest. Spora liczba przerzutów papierosów trafia do Polski właśnie przez rzeczny odcinek naszej wschodniej granicy. Działają tu duże grupy przestępcze, które mogą sobie pozwolić na specjalistyczny sprzęt, łodzie, drony, nawet samoloty czy przebudowane i wzmocnione pojazdy, którymi dosłownie rozjeżdżają samochody Straży Granicznej. Przerzut nielegalnego towaru na polską stronę czasem zabiera tylko trzy minuty.

– Tu, na Bugu, trwa wojna – mówią pogranicznicy. – Ta graniczna rzeka stanowi atrakcyjne miejsce przerzutu, bo po obu jej stronach są liczne kanały dojazdowe: utwardzone lub wręcz asfaltowe drogi, którymi szybko i sprawnie można dojechać do wody, wypakować towar, przełożyć go do łodzi, przepłynąć na drugi brzeg, wrzucić do czekającego tam samochodu, wrócić na Ukrainę i szybko się ulotnić.

Gangi działające po obu stronach granicy dogadują się, ściśle ze sobą współpracują, dzielą zadaniami i zarobkiem. Organizują akcje na dużą skalę. To nie jest miejsce dla przypadkowych, drobnych przestępców. Stawiają głównie na przerzut papierosów.

Przemytnicze pancerniki

Funkcjonariusze wskazują, że newralgiczne miejsca przybrzeżne, najczęściej wybierane przez przestępców, znajdują się tam, gdzie droga asfaltowa biegnie blisko nurtu. Są oczywiście także odcinki,

gdzie do wody trzeba dojechać polną drogą, ale do tego przemytnicy również są bardzo dobrze przygotowani. Dysponują terenówkami lub kombi z mocnymi silnikami i napędem na cztery koła. To prawdziwe pancerniki. Wewnątrz mieści się jedynie siedzenie dla kierowcy, by powstała jak największa przestrzeń ładowna. Szyby są przyciemnione, rejestracje fałszywe lub w ogóle ich nie ma. Grubą blachą okuwa się podwozie, żeby chronić silnik i układ napędowy, oraz wzmacnia przód, aby taki pancernik mógł taranować samochody Straży Granicznej. Towar jest przywożony pod osłoną nocy. Na czatach stoją kompani. Przy brzegu czekają ludzie, którzy kryją się w krzakach lub udają wędkarzy – ich zadaniem jest przerzucenie paczek do łodzi pontonowych. Po polskiej stronie z otwartym bagażnikiem czeka odbiorca – kierowca nawet nie wysiada z auta. Pontonami płyną tragarze. Ich rola po polskiej stronie polega na przepakowaniu kartonów.

– Gdy papierosy są już przeładowane, samochód odjeżdża natychmiast – mówi por. Dariusz Sienicki z Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej.

Zdaniem śledczych cała procedura trwa nie więcej niż kwadrans. Ale mówi się też o ekspresowych, wręcz kilkuminutowych akcjach.

Zapewnienie łodzi leży w gestii osób dostarczających towar do granicy. Bywa, że przemytnicy tracą je podczas nalotu Straży Granicznej. Akcje przypominają sceny z filmów sensacyjnych. Spłoszeni przemytnicy salwują się ucieczką. Niejednokrotnie płyną wpław na drugą stronę granicy. Wszystkie chwyty dozwolone. Determinacja jest wielka, podobnie jak zarobek. Wszak jednorazowo można przerzucić towar o wartości 200-300 tys. złotych.

Potem towar trafia do magazynów w głębi kraju, z których jest rozwożony do innych miejsc – im dalej, tym wyższą zyska cenę, a grupa ma lepszy zarobek.

Sezon dla przemytników trwa od wiosny do późnej jesieni. W tym czasie nie ma tygodnia bez akcji, pościgu czy zatrzymania. Dlatego granica jest ciągle obserwowana przez patrole piesze,

samochodowe i na quadach. Wykorzystuje się też statki powietrzne, łodzie, kamery noktowizyjne i fotopułapki. Nie ma utartego schematu. Każda ze stron stara się przechytrzyć i zaskoczyć przeciwnika. Z nastaniem zimy, gdy spadnie śnieg, Bug staje się praktycznie nie do przebycia. Przemytnicy mają wtedy wolne.

Tytoniowy desant

W 2020 roku do sądu trafił akt oskarżenia przeciwko bossowi gangu i jego współpracownikom, którzy właśnie pontonami przerzucali przez Bug nielegalne papierosy z Ukrainy do Polski. W ciągu pięciu miesięcy przewieźli tak co najmniej 160 tys. paczek. Na brzegu po polskiej stronie pakunki odbierali członkowie grupy. Towar ładowano do pojazdów terenowych i wywożono w głąb kraju. Często prosto do odbiorców. Przemytnicze samochody miały podrasowane silniki, a przestępcy podczas akcji byli wyposażeni w noktowizory. W trakcie śledztwa ustalono, że gangowi pomagał skorumpowany funkcjonariusz Straży Granicznej. Dostawał łapówki od 6 tys. do 12 tys. złotych.

To zaledwie odprysk dużej sprawy z 2018 roku, gdy zarzuty usłyszały 32 osoby, głównie mieszkańcy powiatów chełmskiego, hrubieszowskiego i łukowskiego, żołnierze zawodowi oraz skorumpowani funkcjonariusze Straży Granicznej – za kilka tysięcy złotych informowali przestępców o rozmieszczeniu patroli w terenie. Ustalono, że grupa działała w latach 2015-2017. W tym czasie przemyciła prawie 2,4 mln paczek papierosów. Straty Skarbu Państwa oszacowano na prawie 50 mln złotych. Przestępcy transportowali towar z Ukrainy nie tylko na pontonach, lecz także wykorzystywali samolot typu An-2. Maszyna lądowała po naszej stronie lub zrzucano z niej kontrabandę. To rekiny przestępczości.

Ale w wojnie o Bug każdy kiedyś stracił towar. Zdarza się, że zaskoczeni przemytnicy porzucają kontrabandę i uciekają. We wrześniu 2018 roku patrol Straży Granicznej z Dorohuska

zauważył łódź pontonową dryfującą po Bugu. Była wypełniona nielegalnymi papierosami. Kartony spakowano w pakiety po 50 i zawinięto w foliowe worki. Takie paczki w przemytniczym slangu są nazywane „jaszczykami”, po ukraińsku „pudełko”. Kiedy przemytnicy zauważyli zbliżający się patrol, porzucili towar. W sumie 9 tys. paczek papierosów o wartości 120 tys. złotych.

Kontrabanda idzie z dymem

Stawka jest wysoka, więc i wojna staje się coraz bardziej zażarta. Porucznik Dariusz Sienicki zwraca uwagę, że w ostatnim czasie obserwuje się brutalizację grup przemycających papierosy. Wzmacnianymi pojazdami taranują wozy Straży Granicznej lub próbują rozjechać funkcjonariuszy, którzy stają im na drodze. Gra toczy się o wielkie pieniądze. A przestępcy pracujący w nocy nierzadko sięgają po narkotyki, które mają wzmóc ich aktywność i skuteczność. Adrenalina, stres oraz środki odurzające potęgują agresję. Nie ma zahamowań.

Podczas pościgów kierowcy zagonieni w kozi róg nierzadko porzucają samochód i uciekają pieszo. Wówczas funkcjonariuszom pomagają psy tropiące. W starciu z ich możliwościami szanse przestępców drastycznie maleją. Choć wydawałoby się, że dziki teren daje nieograniczone możliwości ukrycia się, to z pomocą psich nosów pogranicznicy wyciągają ściganych z lasu, szuwarów i wody. Pewien Polak – uciekając przed naszymi służbami – przepłynął na ukraińską stronę. Został później zatrzymany na przejściu granicznym, gdy próbował wrócić do kraju.

Aby zatrzeć ślady, zniszczyć dowody i nie dać służbom zbyt wielu informacji o sobie, przestępcy podczas pościgów niszczą własne pojazdy, polewając je benzyną i podpalając. Buduje się nawet specjalne instalacje, które mają ułatwić szybkie wzniecenie ognia w porzuconym aucie – w konstrukcję maszyny wkomponowuje się np. sieć rurek, które doprowadzają paliwo do

przestrzeni bagażowej, gdzie znajduje się nielegalny towar, i dochodzi do zapłonu.

Motolotnie i drony

Choć jednorazowo za pomocą motolotni czy drona można przerzucić mniej towaru, to przestępcy i tak chętnie sięgają po te metody działania, tym bardziej że motolotnią można latać nocą, na bardzo małych wysokościach.

W kwietniu 2020 roku funkcjonariusze Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej z placówki w Dorohusku wypatrzyli taki statek powietrzny, a dzięki noktowizorom dokładnie widzieli kilka podczepionych „jaszczyków". Śledząc obiekt, patrol dotarł w okolice Dorohuska. Tam zrzucono ładunek, na który czekał samochód. Wtedy funkcjonariusze wkroczyli do akcji. Podczas pościgu zatrzymano dwóch mężczyzn. Byli już dobrze znani Straży Granicznej. Motolotniarz zdołał uciec za Bug. Przechwycony wówczas towar wyceniono na 5 tys. złotych.

Więcej szczęścia mieli pogranicznicy w 2016 roku. Wówczas pakunki z motolotni spadły w okolicach Wierszczycy w powiecie tomaszowskim. Wartość przejętych papierosów wynosiła ponad 119 tys. złotych.

Dużo mniejszą ładowność mają oczywiście drony, które przenoszą zaledwie jeden czy dwa „jaszczyki". Mimo to w ostatnich latach bezzałogowce stały się bardzo popularne wśród przemytników. Są szczególnie przydatne do przenoszenia lekkich ładunków, takich jak właśnie papierosy. Dzięki temu przestępcy ryzykują mniej, bo nie przekraczają granicy. A gdy zostaną zatrzymani przez służby, zawsze mogą powiedzieć, że sprzęt znaleźli w lesie.

W czerwcu 2020 roku podczas nalotu ukraińskich funkcjonariuszy na podejrzaną posesję odkryto nielegalne papierosy i ponad 10 różnych bezzałogowych maszyn latających. Część z nich służyła do rozpoznania terenu, inne przystosowano do

przenoszenia kontrabandy. Były różnej wielkości i ładowności. Zdaniem pograniczników jednorazowo mogły zabrać od kilku do nawet kilkunastu kilogramów ładunku.

Parę miesięcy wcześniej polska Straż Graniczna przejęła prawie 130 tys. sztuk papierosów zrzuconych na terytorium naszego kraju właśnie z dronów. Gdy funkcjonariusze zauważyli przelatujące przez granicę maszyny, rozpoczęli śledzenie. „Jaszczyki" o wartości 90 tys. złotych zrzucono niedaleko granicy. Odbiorcą był 28-letni mieszkaniec Chełma. Ale wpadają też legalnie przebywający u nas Ukraińcy, którzy nawiązują współpracę ze swoimi krajanami.

Wpław przez granicę

Tę niebezpieczną i zdradliwą drogę do wolności wybierają także ci, którzy próbują nielegalnie dostać się do Europy. I nie jest ich mało. Wpada kilkadziesiąt osób rocznie. Ilu się udaje?

W październiku 2020 roku funkcjonariusze Straży Granicznej z placówki w Horodle podczas nocnego patrolu zauważyli w Bugu człowieka. Walcząc z nurtem, osłabł. Kurczowo trzymał się wystającego z wody konara. To była zimna noc. Temperatura powietrza wynosiła zaledwie kilka stopni. Lodowata woda potęgowała wychłodzenie. Patrol ruszył na pomoc. Do łodzi wciągnięto 27-letniego obywatela Syrii. Najpierw udzielono mu pierwszej pomocy, potem dostał suche ubranie, a następnie przekazano go służbom granicznym Ukrainy. Twierdził, że do naszych wschodnich sąsiadów dotarł legalnie.

Decydując się na drogę wpław, imigranci zabierają niewielki bagaż – szczelnie pakują w foliowe worki ubranie na zmianę, telefon i dokumenty. Po wyjściu z rzeki przebierają się i ruszają dalej. Starają się nie rzucać w oczy. Podczas zatrzymań mają na sobie czystą, suchą odzież i… białe adidasy. Zdaniem funkcjonariuszy ten sposób forsowania granicy wybierają najczęściej mężczyźni. Ale nie tylko.

Na początku października 2020 roku nasze służby dostały sygnał od Ukraińców, że doszło do nielegalnego przekroczenia granicy na Bugu. Tym razem udało się zatrzymać uciekinierów jeszcze na terenie przygranicznym, choć zdążyli się już przebrać. Byli to kobieta i mężczyzna z Armenii oraz obywatel Turcji. Następnego dnia w Hrubieszowie wpadli Syryjczycy, którzy mieli ich odebrać i przewieźć w głąb Europy. Ale obcy samochód na niemieckich numerach rejestracyjnych nie mógł zostać niezauważony w niedużym mieście. Szybko zainteresowała się nim Straż Graniczna.

Po wpadce migranci musieli ruszyć w drogę powrotną. W ramach umowy o readmisji uproszczonej trafili z powrotem na Ukrainę, bo w gestii tego państwa leży zorganizowanie powrotu do ich rodzinnego kraju. Syryjczycy zaś za przygotowanie nielegalnego przekroczenia granicy państwowej zostali aresztowani.

W styczniu 2020 roku, tuż po północy, na pasie drogi granicznej z Ukrainy do Polski patrol z Horyńca-Zdroju natrafił na ślady przekroczenia granicy. Do pomocy zaangażowano śmigłowiec Straży Granicznej oraz psy tropiące. Po kilku godzinach zatrzymano dwóch obywateli Turcji poruszających się autami na niemieckich numerach rejestracyjnych. Okazali się kurierami, którzy przyjechali do Polski odebrać imigrantów.

Akcja nadal trwała, aż w okolicy miejscowości Wierzchowiska Drugie natknięto się na kolejnych pięciu obywateli Turcji. Wśród nich było trzech nielegalnych imigrantów, którzy kilkanaście godzin wcześniej pieszo przekroczyli granicę z Ukrainy do Polski, oraz dwóch tureckich studentów, organizatorów przerzutu. Obcokrajowcy poruszali się dwoma samochodami wynajętymi w Polsce, zmierzali do Niemiec. Trzej tureccy imigranci w ramach readmisji zostali przekazani z powrotem na Ukrainę. Natomiast studenci oraz „goście” z Niemiec, którzy czekali na imigrantów, usłyszeli zarzut organizowania przerzutu nielegalnych imigrantów.

Z pomocą Indian Nawaho

Funkcjonariusze Straży Granicznej bardzo często przechodzą różnego rodzaju specjalne szkolenia, m.in. poznają techniki tropienia, uczą się dostrzegać znaki i ślady na przemytniczych ścieżkach. Kursy są prowadzone m.in. przez Indian Nawaho, którzy sami przez lata pracowali w służbach granicznych Stanów Zjednoczonych, choćby na granicy z Meksykiem. Amerykańscy tropiciele tłumaczą, jak odróżnić trop pozostawiony przez zwierzę od pozostawionego przez człowieka, a także – jak korzystać z tych znaków, by odnaleźć zbiega.

Choć żyjemy w cyfrowym świecie monitoringu, noktowizorów i dronów, taka wiedza jest bezcenna. Dzięki umiejętnościom nabytym podczas kursów funkcjonariusze wiedzą, jak – po ilości wygniecionej trawy – ocenić wielkość przemytu papierosów, które tędy przerzucono. Są też w stanie oszacować, ile osób brało udział w akcji. Niezwykle cenne jest także doświadczenie. Na niewiele się zdadzą wtedy próby zamaskowania śladów, choć przemytnicy zawsze się o to bardzo starają. Niekiedy przerzucają specjalne kładki przez zaorany pas graniczny. Te prowizoryczne pomosty do lepszego życia porzucają potem w krzakach czy szuwarach. Albo polewają wodą odciski swych butów.

Wśród pograniczników krążą anegdoty o imigrantach, którzy przyczepiali do butów racice lub szli tyłem po pasie granicznym, by zasugerować, że zmierzali w odwrotnym kierunku. Porucznik Sienicki wspomina też pomysłowość polskich przemytników papierosów, którzy przebrali się za hutników. Mając na sobie specjalistyczne kombinezony, które chronią przed wysoką temperaturą i jej nie przepuszczają, liczyli, że będą nieuchwytni dla noktowizorów. Mylili się. Bo nasi pogranicznicy są wyposażeni w bardzo czułe, wysokiej klasy urządzenia i nie tak łatwo wywieść ich w pole.

Nie udało się również woźnicy, który przejęte nad Bugiem papierosy próbował przewieźć na furmance pod sianem.

Papierosy warte ponad 50 tys. złotych ujawniono w skrytkach konstrukcyjnych pojazdu
foto SG

Ponton porzucony przez przemytników
foto SG

Kontrabanda porzucona na Bugu
foto SG

Ładunek porzucony przez przemytników dryfował po Bugu
foto SG

Papierosy warte ponad 50 tys. złotych w skrytkach konstrukcyjnych pojazdu
foto SG

2600 paczek papierosów ukryto w przerobionym tłumiku i zbiorniku na płyn AdBlue ciężarówki, Bobrowniki

foto KAS

Przy motolotni zatrzymano obywatela Ukrainy i 8 tys. paczek wartych ponad 112 tys. złotych
foto SG

Pudła z papierosami zrzucone z motolotni
foto SG

Samochód przemytników zatrzymany po pościgu nad Bugiem
foto SG

W przemytniczym aucie jest miejsce tylko dla kierowcy. Resztę zajmuje ładunek
foto SG

18 kg bursztynu z Ukrainy na granicy w Dołhobyczowie
foto SG

Efekt rutynowej kontroli w Dorohusku
foto SG

Straż Graniczna z Dorohuska na zielonej granicy natknęła się na przemytniczy tandem – dwóch rowerzystów
foto SG

Przemytnicy podpalili swoje auto i próbowali uciekać pieszo
foto SG

Rozdział 7
Przemyt bez granic

Śledczy, którzy rozpracowują w Polsce grupy przestępcze zajmujące się przemytem, wskazują, że od czasu, gdy nasz kraj przystąpił do UE, nie mają już tak dużego kontaktu z celnikami jak wcześniej. Funkcjonariusze KAS w swojej pracy koncentrują się bowiem na zewnętrznej granicy Unii, czyli naszej wschodniej – tutaj właśnie ogniskują się ich działania. Tymczasem polskie gangi wykorzystują fakt, że nie ma granic wewnątrz Unii. Minimalizują ryzyko wpadki, organizując działalność wewnątrz Wspólnoty.

Hiszpańska baza

Atrakcyjnym kierunkiem jest Hiszpania.

– Łatwy język przydatny w wielu krajach Ameryki Południowej i bliskość Maroka, gdzie prowadzi się wiele plantacji marihuany – wymienia ekspert, jeden z prokuratorów rozpracowujących gangi narkotykowe w Polsce. I dodaje, że w przypadku marihuany tamtejsze służby są stosunkowo pobłażliwe, co tworzy podatny grunt dla rozwoju narkotykowego biznesu. Wykorzystała to grupa przestępcza związana z łódzkimi pseudokibicami. Na jej czele stanęło trzech mężczyzn. Jeden założył legalną firmę transportową w Polsce, drugi wziął na siebie organizację procederu na miejscu w Hiszpanii, a trzeci skupił się na kontaktach z pseudokibicami i rozprowadzaniu towaru po kraju. To były zawodnik MMA – w 2020 roku wciąż ukrywający się przed organami ścigania. Szacuje się, że w latach 2014-2018 przerzucili do Polski 4 tony marihuany.

Sposób działania był prosty. Z naszego kraju jechały na południe busy z jabłkami i gruszkami. Wracały wyładowane arbuzami, bananami lub mandarynkami. Jednak część palet zawierała nielegalny towar. Na dnie układano paczki z narkotykami. Przykrywano je materiałem w odpowiednim kolorze (np. w przypadku transportu mandarynek był to pomarańczowy), a na wierzchu układano owoce. Początkowo do Polski wysyłano po 40-50 kg marihuany. Później transporty zabierały nawet po 200 kg nielegalnego towaru. Narkotyki kupowano od miejscowych plantatorów. Rezydent odpowiadał za nawiązywanie kontaktów z właścicielami upraw usytuowanych we wsiach wysoko w górach. Kupował towar, magazynował i organizował załadunek. Nic nie mogło się zmarnować. Owoce, które służyły jako przykrywka, lądowały na podwarszawskiej giełdzie Bronisze lub jej łódzkim odpowiedniku.

Pieniądze na narkotykowe zakupy przywozili do Hiszpanii członkowie grupy, którzy przylatywali na miejsce samolotami rejsowymi. I przez wszystkie lata działalności gangu żaden z nich nigdy nie został skontrolowany na lotnisku, a bywało, że mieli przy sobie nawet po 100 tys. euro. Oni też zajmowali się załadunkiem transportu i po kilku dniach spędzonych pod Madrytem, bo tam początkowo działał rezydent, wracali do kraju.

Narkotyki pozyskiwane od plantatorów dzielono na trzy grupy jakości – w zależności od warunków, w jakich była prowadzona uprawa (pod gołym niebem, pod folią lub w pomieszczeniach wyposażonych w aparaturę i specjalne lampy). Do każdej kilkukilogramowej partii była dołączona specyfikacja, ile i jakiej jakości towar zawiera. Metki pisano ręcznie. I to właśnie one przyczyniły się do klęski siatki przestępczej. W drodze z Łodzi do Torunia wpadł kurier z 10 kg towaru. Znaleziono przy nim właśnie taką metkę. Potem były kolejne kartki. Na ich podstawie partie marihuany powiązano z tą konkretną sprawą i grupą. W 2016 roku doszło do wpadki. Hiszpańska Gwardia Cywilna przyłapała na gorącym uczynku – podczas załadunku – trzech członków grupy i

dwóch kierowców. Mężczyzn aresztowano i skonfiskowano 212 kg towaru.

Gdy po kilku miesiącach grupa wylizała rany i ponownie zwarła szyki, zdecydowano się zmienić region działalności, a owoce – na wełnę mineralną. Rezydent przeniósł się pod Sewillę. Bale z wełną cięto na pół. Do środka wkładano narkotyki i ponownie zamykano, wkładając do specjalnie przygotowanych kartonów, które obklejano etykietami. Przestępcy zrezygnowali też ze swoich samochodów i zaczęli korzystać z usług różnych firm transportowych, co miało mylić służby.

Gang współpracował z kilkoma grupami pseudokibiców. Największą sztamę trzymał z kibolami Widzewa Łódź. Ale narkotyki trafiały też do pseudokibiców z Torunia, Krakowa czy Chorzowa. Śledczy sprawdzali kontakty grupy z bojówkami Ruchu Chorzów, Wisły Kraków i Elany Toruń. W 2018 roku gang rozbito.

Krakowskie biznesy

Na przemyt postawił też krakowski gang Wisła Sharks, którego działalność ostatecznie pogrążyły m.in. zeznania jego skruszonego herszta. Paweł M., pseudonim Misiek, został tzw. sześćdziesiątką (art. 60 k.k. pozwala na nadzwyczajne złagodzenie kary wobec podejrzanego, jeśli ten ujawni całą swą działalność przestępczą i osoby biorące udział w procederze) i opowiedział o kulisach działania grupy, która miała na koncie wiele przestępstw. Gang zajmował się także handlem i przemytem narkotyków – głównie marihuany i kokainy – z Holandii i Czech do Polski. W akcie oskarżenia znalazły się przestępstwa narkotykowe dotyczące 2 ton marihuany, prawie 2,5 tony amfetaminy i niemal 50 kg kokainy.

Olbrzymią, sprawnie działającą machinę stworzyła także konkurencyjna grupa pseudokibiców Cracovii. Druzgocącym uderzeniem w gang była wspólna akcja wielu służb (CBŚP, Straż Graniczna, Prokuratura Krajowa, hiszpańscy i brytyjscy koledzy, przy wsparciu Europolu, Eurojustu, Komendy Głównej Policji i

KAS) przeprowadzona jesienią 2020 roku. Zatrzymano wówczas pięć osób, pięć doprowadzono z aresztów śledczych lub zakładów karnych, a w ręce hiszpańskich służb wpadły kolejne trzy osoby. Grupa podejrzana jest o przemyt 15 ton marihuany o wartości 440 mln złotych.

Narkotyki były przemycane przez kolejne granice w specjalnie skonstruowanych skrytkach w pojazdach lub ukrywano je w przewożonym towarze. Trafiały do Polski z Hiszpanii, Niemiec czy Niderlandów. Towar był także przemycany z Hiszpanii do Włoch, Belgii, Niemiec oraz Wielkiej Brytanii. Następnie rozprowadzano go na czarnym rynku. Według śledczych w latach 2011-2017 gang dokonał co najmniej 162 przemytów. O sprawie szeroko pisał dziennikarz portalu tvp.info Rafał Pasztelański. Ustalił, że rezydenci gangu zakładali w Hiszpanii firmy, które miały być przykrywką dla narkotykowych transakcji – były więc komisy samochodowe, agencje nieruchomości, wynajem łodzi czy handel diamentami.

Świadek koronny ze szczegółami opowiedział śledczym, jak organizowano przemyt marihuany oraz wykorzystywano firmy transportowe i spedycyjne. Mówił o podrabianych pieczęciach i wskazał miejsca, gdzie ładowano i wyładowywano narkotyki. Śledczy dowiedzieli się z jego zeznań, jak kontaktowali się ze sobą członkowie gangu.

Przestępcy okazali się sprytni i elastyczni. Błyskawicznie reagowali na potrzeby rynku. W trakcie nalotu na podziemny magazyn domu, z którego korzystał jeden z liderów narkogangu, odkryto ogromną liczbę maseczek medycznych oraz szybkich testów na COVID-19. Śledczy podejrzewają, że towar przemycono z Chin.

Wśród zatrzymanych był również policjant, który usłyszał zarzut udziału w międzynarodowej zorganizowanej grupie przestępczej. Do sprawy dokonano konfiskaty rozszerzonej na ponad 12 mln złotych oraz zabezpieczono majątek, w tym 14 nieruchomości – działki, domy i apartamenty oraz samochód marki BMW X5 (wart około 130 tys. złotych).

Wcześniej do sądu trafiły już akty oskarżenia wobec 18 osób wchodzących w skład tej samej grupy. Śledztwo ruszyło w lipcu 2017 roku po zatrzymaniu na gorącym uczynku osób, które z Niemiec do Polski przemyciły 123 kg marihuany.

Grupa nie ustawała w poszukiwaniu nowych branż, w których mogłaby rozwinąć przestępcze skrzydła. Dywersyfikując źródła dochodów, poszerzyła swą działalność o przemyt ludzi m.in. z Bliskiego Wschodu, Azji i Afryki. Ale o tym sektorze ich aktywności będzie jeszcze mowa.

Holenderski interes Teresy

Wejście Polski do Unii otworzyło przed przemytnikami nowe możliwości. Początki były skromne. Rozpoznawano rynek, wydeptywano ścieżki i zacieśniano kontakty. Interes coraz bardziej się rozkręcał. Przemytnicy szybko się zorientowali, że sporą przebitkę mogą uzyskać, sprzedając narkotyki w Wielkiej Brytanii. Początkowo przewozili po kilkaset gramów towaru, który chowano w samochodzie, np. w obudowie filtra powietrza. Na nieco większą skalę przerzucano narkotyki w mleku modyfikowanym dla dzieci. Puszkę otwierano od dołu, wymieniano mleczny proszek na inny, również biały, który ruszał nad Tamizę w transporcie żywności dla sklepów oferujących jedzenie z Polski. Amfetaminę pakowano też do pojemników z jogurtem.

Od początku XXI wieku powstawały nowe, wyspecjalizowane gangi, jak np. „holenderski interes Teresy”. Teresa B. (później Teresa J.), zwana „Teresą z Rotterdamu”, wyjechała do Holandii pod koniec lat 90. Zanim do tego doszło, zapisała się w policyjnych kartotekach jako sprawczyni sklepowych kradzieży. Na Zachodzie rozwinęła skrzydła. Poznała pewnego Pakistańczyka – prywatnie stanowili parę, ale spełniali się też na polu biznesowym.

Ściągnęli z Polski mechanika samochodowego i pod Rotterdamem otworzyli warsztat, który był przykrywką dla ich przestępczej działalności. W ciągu dnia warsztat działał zgodnie ze

swoim przeznaczeniem, zaś nocą szykowano tam samochody do przemytu narkotyków. Marihuanę i kokainę umieszczano głównie w bocznych ścianach pojazdów, w baku lub pod deską rozdzielczą. Średnio za jednym zamachem przemycano 7-10 kg narkotyków, maksymalnie kilkanaście. Rano wszystko było gotowe do drogi. Kurierzy inkasowali 1-2 tys. złotych oraz zwrot kosztów.

Wkrótce kobieta miała się stać jednym z ważniejszych dostawców marihuany dla grup przestępczych z Warszawy, Olsztyna i Częstochowy. Wieść niesie, że wejście do narkobiznesu utorowała jej dawna znajomość z pruszkowskim gangsterem „Słowikiem". Śledczy ustalili, że Teresa miała udział w przerzucie ponad tony marihuany i 56 kg kokainy. Zaledwie w ciągu dwóch lat, od 2000 roku, Teresa i jej wspólnicy zorganizowali około 30 przerzutów narkotyków. W sumie kobieta miała działać w Holandii przez kilkanaście lat. Po wpadce, po której uniknęła jednak aresztowania, zniknęła. Nie wyklucza się, że przeniosła się do Wielkiej Brytanii.

Obrotna kobieta i jej partner życiowy, Farooq A., wiedli z pozoru skromne życie. Udało im się nawet uzyskać mieszkanie socjalne, bo Teresa przywiozła ze sobą z Polski dzieci. Przynajmniej jedno z nich zaangażowało się w biznes rodzicielki. Podobnie jak inni członkowie jej rodziny. W Częstochowie wpadła kuzynka Teresy, przewoziła marihuanę. Zapakowany w płaskie paczki susz przykleiła do ciał własnych dzieci. Ona także miała odpowiadać za to przestępstwo z wolnej stopy. Wywinęła się służbom. I drugi raz nie dała się złapać.

„Rympałek" w akcji

Na narkobiznes i przemyt papierosów stawiał też osławiony boss warszawskiego półświatka „Rympałek". Gdy wyszedł z więzienia w 2006 roku, założył kolejną grupę i – dywersyfikując źródła dochodów – nawiązywał liczne kontakty oraz szukał sposobów pozyskiwania marihuany, kokainy i heroiny oraz amfetaminy i

tabletek ecstasy. Podczas przerzutów papierosów z Ukrainy do Polski współpracował z grupą przestępczą z Włocławka. Marihuanę ściągał głównie z Holandii przez Niemcy. Centrum dystrybucyjne na Europę Centralną zorganizowano w Akwizgranie.

Narkotyki najczęściej były przewożone samochodami. W tamtym okresie przestępcy chwalili sobie głównie citroëny picasso, które fabrycznie miały podwójną podłogę ułatwiającą ukrycie kontrabandy. Nie było więc konieczności przerabiania pojazdów. Ale nie ograniczano się tylko do tego środka transportu. Kurierzy podróżowali także pociągami. Gdy jeden z nich wpadł w ręce policji, w dwóch walizach taszczył 18 kg suszu.

Żyłę złota znalazł „Rympałek" w Ameryce Południowej dzięki kontaktowi, który nawiązał, będąc w więzieniu. Poznał człowieka, który sprowadzał dla niego czystą heroinę i kokainę. Były to kilkukilogramowe przerzuty, ale o jakości niespotykanej na naszym czarnym rynku. Towar trafiał do grupy pruszkowskiej.

Na przemyt przestępcy szukają superpatentów. Zdaniem śledczych najbardziej finezyjne skrytki są przygotowywane na etapie fabrycznym, gdy towar zostaje zamknięty np. wewnątrz jakiegoś urządzenia. Dekonspiracja jest zwykle bardzo bolesna dla gangu. I trafia na czołówki gazet oraz portali.

Mandarynki z marihuaną

Niektóre gangi przemytników korzystają ze starych, sprawdzonych przez poprzedników metod. Narkotyki przemycają drogą lądową w transportach owoców. W kwietniu 2020 roku do Sądu Okręgowego w Sieradzu trafił akt oskarżenia przeciwko grupie przestępczej, która postawiła właśnie na tę metodę.

Kosztowną wpadkę zaliczyli pod koniec listopada 2018 roku na parkingu przy drodze krajowej S8 w okolicach Zduńskiej Woli. CBŚP zatrzymało wówczas kierowcę samochodu ciężarowego, który z Hiszpanii wiózł mandarynki. I – jak się wkrótce miało okazać – nie tylko. W lukach technicznych naczepy znaleziono 32

czarne plastikowe worki. Wszystkie były wypełnione suszem roślinnym. W sumie w ręce służb wpadło wówczas 95 kg marihuany o wartości ponad 3,8 mln złotych. Na parkingu narkotyki miały być przepakowane do samochodów dostawczego oraz osobowego i ruszyć do hurtowników. Prokurator ustalił, że nielegalny towar kupiono w Hiszpanii, następnie ukryto w naczepie samochodu ciężarowego, a potem przewieziono przez Francję i Niemcy do Polski.

133 tys. paczek papierosów próbowano przerzucić przez przejście w Koroszczynie w opakowaniach z keramzytem
foto KAS

Podejrzenia wzbudził obraz uzyskany po przeskanowaniu pojazdu
foto KAS

Papierosy w bębnach na kabel elektryczny przejęte w Budzisku
foto KAS

Papierosy w zestawach szachów odkryte w Białymstoku
foto KAS

Papierosy ukryte w karoserii samochodu osobowego zarekwirowano w Budzisku
foto KAS

Efekt kontroli autokaru młodzieżowej drużyny piłkarskiej z Grodna
foto KAS

Białorusinka z 21 paczkami wpadła w Bobrownikach. Uwagę kontrolujących zwróciło bardzo staranne opakowanie
foto KAS

Sześć kolumn głośnikowych przewożono w osobowym mercedesie na bułgarskich numerach rejestracyjnych
foto KAS

Silnik przerobiony na skrytkę
foto KAS

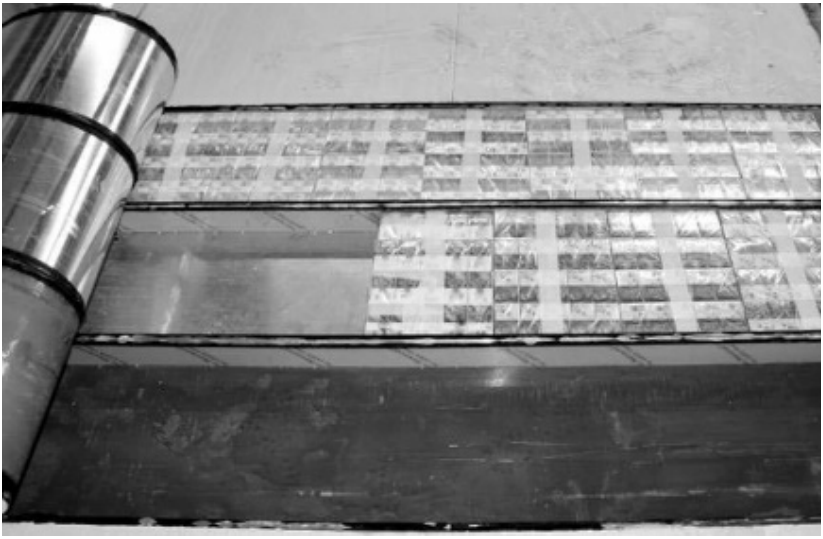

Papierosy w przerobionym dachu naczepy tira
foto KAS

Podczas kontroli w Bobrownikach między deskami znaleziono ponad 16,5 tys. paczek papierosów
foto KAS

Pakiety w ładunku węgla drzewnego. Aby je wyjąć, trzeba było przeszukać 1600 worków
foto KAS

Spreparowane pakiety węgla drzewnego mieściły po 2-4 paczki papierosów

foto KAS

Rozdział 8
Psychoaktywne paczki

Przesyłki, zwłaszcza nadawane w USA, od lat są wykorzystywane do przerzutu niedużych ilości amunicji czy pojedynczych sztuk broni. Testują ją również przemytnicy narkotyków. Na przykład z Brazylii wysłano pół kilograma kokainy w paczce z brulionami i broszurami. Sprasowany narkotyk wsunięto pomiędzy strony książki. Przesyłkę najpewniej już w sortowni namierzyli policjanci. Odebrał ją 29-latek z Augustowa. Przerzuty za pośrednictwem firm kurierskich i pocztowych bardzo rozwinęły się w dobie pandemii i zamkniętych granic. Prekursory i narkotyki idą „dyskretnymi" przesyłkami.

Persy utkane heroiną

Majstersztykiem miał być przerzut, jaki podczas wspólnej akcji odkryli w styczniu 2014 roku mazowieccy funkcjonariusze celni i agenci Centralnego Biura Śledczego Policji. 15 kg czystej heroiny o wartości 15 mln złotych tkwiło w trzech perskich dywanach wysłanych do Polski z Iranu. Każdy z persów zawierał około 5 kg narkotyku, który w specjalny sposób wetknięto w materiał – heroina była umieszczona w plastikowych rurkach, a te z kolei maszynowo wszyto w strukturę dywanu. Do sprawy zatrzymano 44-letniego Andrzeja P., który był odbiorcą przesyłki.

W tym samym czasie niemieccy celnicy na lotnisku w Lipsku przejęli podobną kontrabandę. W ich ręce trafiło 45 kg heroiny ukrytej w dziewięciu dywanach także z Iranu. Wartość rynkową narkotyku oszacowano wówczas na kilka milionów euro.

Wszystkie dziewięć dywanów skonfiskowano w ciągu pięciu dni. W pierwszej chwili uwagę służb zwróciło to, że dywany były bardzo ciężkie. Narkotyki wykryto po prześwietleniu ich rentgenem. Trzy miały trafić do Polski.

Przemyt na niemowlaka

W lutym 2015 roku podczas kontroli opla vivaro, którym podróżowało osiem osób i przewożono nim przesyłki z Holandii do Polski, funkcjonariusze zdecydowali, że dokładnie przejrzą zarówno bagaże podróżnych, jak i paczki kurierskie. Jedna z nich zawierała dziecięce ubranka, kosmetyki, pieluchy oraz kartkę z gratulacjami z okazji urodzin dziecka.

Z treści wynikało, że brat świeżo upieczonej mamy przesyła jej prezenty i życzenia. Ale pieluchy wydały się funkcjonariuszom dziwnie ciężkie. Prześwietlenie urządzeniem RTG rzuciło nowe światło na zawartość. Pieluchami owinięto pakunki, które dodatkowo szczelnie zabezpieczono taśmą. W każdym znajdowało się od 120 do 160 g marihuany.

Pisma kokainą pisane

Na prawdziwy przemytniczy hit natrafiono w styczniu 2017 roku w oddziale pocztowym w Warszawie. Celnicy zainteresowali się przesyłką z Brazylii, która według opisu miała zawierać dokumenty. Wewnątrz znajdowała się książka napisana alfabetem Braille'a oraz dwa bruliony przeznaczone dla osób niewidomych. Kontrolerom wydało się jednak dziwne, że oba zeszyty nie zawierają żadnych notatek. Dodatkowo ich kartki były niejednolicie zabarwione i miały zacieki. Dlatego użyto narkotestu, który wykazał zawartość kokainy. Nasączono nią także książkę.

W ten sposób próbowano ukryć około pół kilograma narkotyku bardzo wysokiej jakości. Wówczas jego wartość wyceniono na 100 tys. złotych. Sprawę przejęli funkcjonariusze

CBŚP. Ich zdaniem z tej ilości narkotyku po dołożeniu wypełniaczy i rozcieńczeniu towaru można uzyskać nawet do 2 kg kokainy. Dopiero w takiej formie towar trafia na ulice.

Eksperci z KAS uważają, że zastosowana w tym przypadku metoda przemytu jest jedną z trudniejszych do wykrycia. Liczą się doświadczenie i intuicja funkcjonariuszy. Służbom udało się zatrzymać adresata przesyłki. Nie był to bynajmniej pierwszy ani jedyny taki przypadek…

W marcu 2012 roku podczas kontroli w jednej z firm kurierskich na Cargo w porcie lotniczym celnicy wzięli na warsztat przesyłkę nadaną w Argentynie. Zainteresowano się nią m.in. dlatego, że przybyła z kraju o podwyższonym ryzyku, jeśli chodzi o przemyt narkotyków. Odbiorcą był Polak. W paczce znajdowały się cztery czasopisma, znowu napisane alfabetem Braille'a.

Podstęp polegał na tym, że magazyny wykorzystujące pismo punktowe dla niewidomych mogą mieć liczne, różnorodne przebarwienia i zabrudzenia na kartkach, które powstają w wyniku dotykania ich palcami. Przestępcy liczyli więc, że zacieki nie wzbudzą podejrzeń. Ale nasi celnicy na bieżąco śledzą światowe trendy przemytnicze – znali te sztuczki, choć były u nas spotykane stosunkowo rzadko.

Czasopisma zawierały ponad 1 kilogram kokainy.

Wiertło w prezencie

W lipcu 2009 roku na warszawskim lotnisku przechwycono paczkę, w której miał się znajdować prezent – wiertło kamieniarskie. Dla zmylenia organów ścigania wybrano zawiłą trasę podróży do Polski. Z Urugwaju narkotyki wędrowały m.in. przez USA, Brazylię i Francję. Gdy dotarły do naszego kraju, policjanci i celnicy zorganizowali zasadzkę. Dokładne oględziny i częściowe rozmontowanie metalowego cylindra urządzenia ujawniło jego nieoczywistą zawartość: ponad 8 kg białego proszku. Czarnorynkową wartość kokainy oszacowano na 3 mln złotych –

można było z niej wyprodukować 30 tys. porcji. Przy okazji wpadł jeden z organizatorów. Twierdził, że oferował swoje usługi także „Rympałkowi”. Ale tego nie udało się dowieść.

Nie tylko w butach

Paczki kurierskie chętnie wybierają też przemytnicy dopalaczy. Latem 2020 roku labrador Dolar ze stołecznego lotniska chwycił trop w magazynie przesyłek kurierskich w Warszawie. W pewnym momencie zainteresował się paczką, która przyszła z Holandii. Miała zawierać buty sportowe. Jednak w środku było 5 kg kryształków. To substancja psychotropowa 4-CMC (klefedron) – jeden z podstawowych składników dopalaczy. Produkuje się ją także w Polsce. W połowie 2017 roku w miejscowości Bożepole Małe na Pomorzu CBŚP zlikwidowało jedną z największych fabryk klefedronu w Europie. Przejęto wówczas 135 kg szkodliwych substancji. Ze względu na ich wysokie stężenie funkcjonariusze dopiero po dwóch dniach mogli bezpiecznie wejść do hali produkcyjnej. Wywożenie towaru trwało kilka dni.

W ostatnich latach polskie służby co roku likwidują około 20 wytwórni narkotyków syntetycznych, w 2020 roku – aż 31.

Z zestawień CBŚP wynika, że prekursory, preprekursory i chemia potrzebna do produkcji syntetyków są eksportowane z Polski do producentów w krajach Beneluksu. Staliśmy się zarówno producentem, jak i pośrednikiem dla substancji sprowadzanych z Indii, Chin i Hongkongu. Z Azji do Polski i Unii Europejskiej są importowane nowe substancje psychoaktywne.

Olbrzymi wzrost przemytu tych substancji odnotowano w 2016 roku – w samym tylko oddziale pocztowym w Warszawie celnicy przejęli ponad 130 kg środków psychoaktywnych. Trzykrotnie więcej niż w roku poprzednim. Wtedy najczęściej rekwirowano 4-CEC, 4-CMC, DMC, N-etylopentylen i Hexen. Przesyłano je jako detergenty, sól do kąpieli, przyprawy kuchenne,

zupki w proszku lub środek do czyszczenia głowic drukarek – zawsze zamknięte w hermetycznych opakowaniach.

W tamtym czasie walka z dopalaczami i ich przemytem była trudna, bo wiele z tych środków nie figurowało w wykazie substancji zabronionych. A gdy po wielu miesiącach wykryte przez służby związki chemiczne w końcu trafiały na listę (co umożliwiało ich konfiskatę), w nielegalnych laboratoriach zmieniano nieco ich skład i w ten sposób wyprowadzano służby w pole. Dzięki wielu zmianom w przepisach, także międzynarodowych, walka z dopalaczami stała się skuteczniejsza. I wciąż trwa. Substancje wykorzystywane przy ich produkcji nadal są wyciągane z listów czy paczek.

Z raportu przygotowanego w 2020 roku przez Europejskie Centrum Monitorowania Narkotyków i Narkomanii (EMCDDA) wynika, że – choć tempo wprowadzania nowych substancji psychoaktywnych do obrotu w ostatnich latach ustabilizowało się – to jednak każdego roku wykrywa się w Europie ponad 50 nowych substancji psychoaktywnych.

Substancje śmiercionośne

Jedną z najgroźniejszych jest fentanyl wykorzystywany w medycynie jako syntetyczny środek przeciwbólowy i anestezjologiczny. Powoduje bardzo silne uzależnienie i – jak pokazują statystyki – jest jedną z najbardziej śmiercionośnych substancji na świecie. Kilkudziesięciokrotnie silniejszy od heroiny syntetyczny fentanyl zbiera żniwo w USA, gdzie w 2017 roku odnotowano ponad 28 tys. zgonów z powodu przedawkowania syntetycznych opioidów. W większości to właśnie ofiary fentanylu i substancji pokrewnych – wynika z danych amerykańskich Centrów Kontroli i Prewencji Chorób.

Jako głównego producenta fentanylu amerykańskie służby wskazują Chiny. W 2019 roku za jego przemyt do USA chiński sąd skazał dziewięć osób, w tym jedną na karę śmierci w zawieszeniu i

dwie na dożywocie. Ale fentanyl trafia także do Europy i Polski. W 2018 roku w Łodzi i Bełchatowie zabił dziewięć osób. Z szacunków służb wynika, że w ostatnich latach w całej Polsce po zażyciu dopalaczy zawierających fentanyl zmarło nawet kilkadziesiąt osób.

Król dopalaczy

Niechlubną rolę w tym procederze odegrał Jan S. nazywany „królem dopalaczy". Wpadł na początku 2020 roku. Ocenia się, że jego gang w ciągu kilku lat sprzedał nawet tonę tych zakazanych substancji. Mężczyzna został oskarżony też o zlecenie zabójstwa Zbigniewa Ziobry, a także prokuratora i policjantów, którzy rozpracowywali kierowaną przez niego grupę. Zdaniem śledczych gang działał od marca 2014 do stycznia 2020 roku. Niebezpieczne środki importowano z Chin oraz Holandii. Śledczy wyliczyli, że do marca 2018 roku z samej Holandii przestępcy sprowadzili ich ponad 800 kg. W Chinach zamawiano 100 kg prekursorów miesięcznie. Paczki dostarczano za pośrednictwem firm pocztowych. To droga przetestowana przez tego rodzaju grupy. Przesyłki zamawia się bezpośrednio u producenta i idą opisane jako mleko w proszku, suplementy diety w postaci naturalnego proszku proteinowego albo sól do kąpieli. Tu ograniczeniem jest tylko wyobraźnia.

Po przepakowaniu gotowy towar sprzedawany był w sklepach internetowych. Przesyłki wysyłano do klientów z Polski, Europy, a także Meksyku, USA, krajów Ameryki Południowych oraz Azji. Prokuratura oceniła, że towar tej grupy mógł trafić nawet do 16 tys. odbiorców. Niektórzy klienci przypłacili to życiem, bo grupa sprzedawała też środki zawierające m.in. śmiercionośny fentanyl. Z danych zabezpieczonych w bazie jednego ze sklepów prowadzonych przez grupę wynika, że przez 14 miesięcy był w stanie wygenerować przychód w wysokości niemal 17 mln złotych.

Krajowa Administracja Skarbowa podaje, że w krytycznym 2016 roku udaremniła 625 przerzutów środków zastępczych. Rok później było ich o ponad połowę mniej. W 2018 roku, gdy zaostrzono przepisy, funkcjonariusze KAS zarejestrowali 551 ujawnień, a w 2019 roku w ich ręce wpadły tylko 92 nielegalne przerzuty. Natomiast w pierwszym półroczu 2020 roku zaledwie sześć.

Kilkadziesiąt gramów heroiny ukryto w salcesonie, który w przesyłce kurierskiej miał trafić do Hiszpanii
foto KAS

W warszawskiej rozdzielni poczty z paczki nadanej w Meksyku wyszedł ptasznik. W podróży spędził pięć dni
foto KAS

16 przesyłek kurierskich z tytoniem to żniwo celników po kontroli dwóch białostockich firm kurierskich

foto KAS

W urzędzie pocztowym w Koluszkach po analizie dokumentów i prześwietleniu wytypowano do kontroli jedną z paczek. Zawierała dopalacze
foto KAS

Zakazane substancje często są nadawane dyskretnymi przesyłkami
foto KAS

Od stycznia do października 2016 roku tylko w jednym pocztowym oddziale celnym w Warszawie przechwycono ponad 130 kg substancji psychoaktywnych
foto KAS

Dopalacze są zamknięte w hermetycznych opakowaniach
foto KAS

Dopalacze w opakowaniach proszku do prania
foto KAS

Dopalacze jako sól do kąpieli
foto KAS

Zabronione substancje w przyprawach kuchennych lub jako zupki w proszku
foto KAS

Marihuana ukryta w puszkach z kawą. 16 przesyłek ważących 76 kg miało trafić do Polski i Wielkiej Brytanii
foto KAS

Rozdział 9
Chemicy made in Poland

Polska do niedawna była uważana za potęgę w produkcji np. amfetaminy. Na początku lat 2000 naszej policji udawało się likwidować kilkanaście manufaktur rocznie. Potem zaczęły się pojawiać także wytwórnie innych związków chemicznych. W 2020 roku zlikwidowano ich w sumie aż 31. Na kartach polskiej przestępczości zapisują się tacy chemicy jak Krzysztof J., który podczas organizowania laboratoriów amfetaminy korzystał z policyjnych opracowań na ten temat, przygotowanych na potrzeby adeptów szkolących się w Szczytnie. Próbując uniknąć wpadki, organizował w ciężarówkach mobilne fabryczki i co kilka dni zmieniał miejsce postoju. Choć w 2018 roku usłyszał zarzut wyprodukowania 275 kg amfetaminy, śledczy uważają, że było tego znacznie więcej – co najmniej kilka ton. To tylko przykład, ale pokazuje determinację półświatka. Proceder wciąż kwitnie. Niektórzy przenoszą laboratoria poza granice naszego kraju.

W lipcu 2020 roku międzynarodowe służby rozbiły grupę, której członkowie przemycali prekursory niezbędne do produkcji metamfetaminy, amfetaminy i tabletek ecstasy do Europy Zachodniej. Zlikwidowano dwa olbrzymie laboratoria substancji psychotropowych pracujące na skalę przemysłową. W Polsce zatrzymano siedem osób. Podczas akcji przejęto kilkadziesiąt kilogramów narkotyków. Na ten trop wpadli policjanci z Bydgoszczy, gdy podczas kontroli przejęli substancje chemiczne. Sprawę prowadzili ponad dwa lata. Ustalili, że transporty jeździły cyklicznie i trafiały w zupełnie inne miejsce, niż wskazywano w dokumentach przewozowych.

Finalnie na terenie Niderlandów zlikwidowano dwa duże laboratoria narkotyków syntetycznych. Wytwarzano je przy użyciu prekursorów z Chin i Polski. Na jednej z linii powstawała metamfetamina – substancja czterokrotnie silniejsza w działaniu od amfetaminy. Inne linie służyły do produkcji amfetaminy oraz MDMA, czyli głównego składnika tabletek ecstasy. Przejęto ponad 300 kg narkotyków. Śledczy ustalili, że do laboratoriów dostarczono około 80 ton prekursorów i substancji chemicznych. Na terenie Polski zatrzymano podejrzanych o kierowanie procederem – obywatela Niderlandów oraz jego partnerkę Magdalenę B.

Zagłębie metamfetaminy

Na europejskim czarnym rynku króluje głównie metamfetamina wyprodukowana przez czeskie laboratoria, które zdążyły już wyrobić sobie dobrą markę. Potwierdza to raport EMCDDA. W 2015 roku u naszych południowych sąsiadów zlikwidowano ponad 250 laboratoriów. Nadal wiodą prim w przerabianiu leków z pseudoefedryną na metamfetaminę.

W łańcuchu dostaw ważną rolę zaczęły odgrywać polskie gangi, a ich działalność dokładnie opisali reporterzy „Superwizjera”. Biznes ten na niewiarygodnie wielką skalę rozwinął się w Bogatyni położonej między granicami Polski, Czech i Niemiec. To właśnie stąd leki na bazie pseudoefedryny, np. na kaszel czy katar, w hurtowych ilościach przerzucano przez granicę. Do produkcji kilograma narkotyku potrzeba co najmniej 4 kg leków. Gram „tiny” czy „piko”, jak nazywana jest „meta” kosztuje około 100 euro.

Wyłuskane z blistrów tabletki ukrywano w samochodowych schowkach czy skrytkach w ubraniach i przy ciele. Funkcjonariusze opowiadają o hałdach opakowań po lekach, na które można napatoczyć się w lasach wzdłuż granicy. Bo problem dotyczy wielu przygranicznych terenów. W 2016 roku przemyscy

funkcjonariusze CBŚP oraz Straży Granicznej wpadli na trop międzynarodowego konglomeratu przestępczego, który trudnił się tym procederem. Rozpoczął się w Przemyślu na Podkarpaciu, gdzie leki zawierające pseudoefedrynę wyprowadzano z aptek i punktów aptecznych poprzez fikcyjne dowody sprzedaży. Leki te były odbierane przez „kurierów", którzy przewozili jednorazowo nawet kilkadziesiąt tysięcy opakowań. Potem na terenie Polski i Słowacji tabletki wyjmowano z opakowań, skąd trafiały do czeskich i ukraińskich laboratoriów. Tylko do tej sprawy w połowie 2017 roku zatrzymano kilkadziesiąt osób, w tym aptekarzy. Przy tej okazji przejęto ponad 200 tys. opakowań leków oraz około 100 kg wyłuskanych z blistrów tabletek. To pokazuje skalę zjawiska.

Chińskie torebki z metą

17 kwietnia 2015 roku na warszawskim lotnisku uwagę funkcjonariuszy zwrócił nietypowy obraz na monitorze urządzenia RTG. Prześwietlali bagaż 49-letniego Polaka, który przyleciał z Chin. Postanowili bliżej przyjrzeć się zawartości walizki. W środku znajdowały się 22 damskie torebki. Niby nic nadzwyczajnego w bagażu kogoś, kto wraca z Azji i wiezie towar na handel. Użycie torebek okazało się jednak sprytnym fortelem – miały bowiem podwójne ścianki, które skrywały podejrzane zawiniątka. W każdej z torebek ukryto po około 200 gramów metamfetaminy – w sumie 4 kg. Wezwano policję. Funkcjonariusze byli zaskoczeni wynikiem testu. Przemyt tego typu narkotyków z Chin do Europy nie jest częstym zjawiskiem.

Gołąbki faszerowane amfetaminą

Kreatywnością wykazał się 69-letni warszawiak, który we wrześniu 2015 roku próbował autobusem rejsowym przemycić narkotyki do Wielkiej Brytanii. Miał przy sobie torbę podróżną, a w niej opakowania z produktami spożywczymi, m.in. słoiki z gołąbkami

w sosie pomidorowym oraz alkohol. Na cel wzięto weki, bo zatrzymanie mężczyzny było wynikiem śledztwa w sprawie grupy, która autobusami przemycała narkotyki na Wyspy. Towar najczęściej ukrywano właśnie w opakowaniach z produktami spożywczymi, takimi jak słoiki z flakami czy fasolką. Tym razem po otwarciu weków okazało się, że gołąbki są nafaszerowane amfetaminą, natomiast butelkę alkoholu wypełniono płynną wersją tego narkotyku. W sumie funkcjonariusze zabezpieczyli około 1,5 kg narkotyków. Kilka miesięcy wcześniej do tej sprawy zatrzymano 61-letniego kuriera.

250 kg haszyszu przejęto na przejściu granicznym w Korczowej. Towar jechał dwoma bmw
foto SG

Miejsce ukrycia towaru wskazał pies służbowy
foto SG

Marihuanę przemycano z Hiszpanii w kołach transportowanych na pace busa
foto Policja

Płynna amfetamina jechała do Szwecji w butelkach z etykietami śliwowicy
foto CBŚP

4,5 kg marihuany i ponad 3 kg amfetaminy ukryto w używanych telewizorach, które przywieziono samochodem z Holandii

foto KAS

46 kg metamfetaminy jechało z Ukrainy w ładunku węgla drzewnego
foto KAS

3 kilogramy 3-MMC ukryto w zbiorniku paliwa w hermetycznie zamkniętych workach foliowych.
foto KAS

Dwaj Rosjanie wieźli w swoich autach ponad 200 kg haszyszu o szacunkowej wartości ponad 10 mln złotych
foto SG

Narkotyki w kawie rozpuszczalnej
foto SG

30 kg kokainy w bananach sprowadzonych z Ekwadoru.
Przesyłka trafiła do
dojrzewalni w Zgorzelcu
foto Policja

Rozdział 10
Kłopotliwe pamiątki z wakacji

Sery, butelka z okazem węża czy skorpiona, solona skóra wilka – to tylko przykłady egzotycznych suwenirów, które mogą przysporzyć podróżnym wielu kłopotów. Celnicy mają zatem pełne ręce roboty nie tylko przez przemytników, którzy z premedytacją przerzucają przez granicę kontrabandę. Nielegalne towary są wyciągane również z walizek opalonych turystów, którzy wracają z zagranicznych wojaży. Bo okazuje się, że nie zawsze to, co można kupić legalnie, np. w sklepie w Egipcie, będzie można zgodnie z prawem przywieźć do domu. Nagminnie więc wyciągają z walizek turystów koralowce, muszle oraz paski i portfele ze skóry węża. I nie działają tu tłumaczenia, że koralowce czy muszle leżały na plaży, a skorupa żółwia to pozostałość po zupie zjedzonej w chińskiej restauracji. W ręce celników wpadają też dość duże fragmenty rafy koralowej. Pewien Wietnamczyk miał przy sobie okaz ważący prawie 10 kg. Twierdził, że to na użytek własny, do domowego akwarium. Koralowce przewoził w kartonie z artykułami gospodarstwa domowego.

Aby przejechać przez granicę z rośliną, zwierzęciem lub produktami z nich wykonanymi, trzeba najpierw sprawdzić, czy można to zrobić, i ewentualnie uzyskać odpowiednie zezwolenie. Bez tego możemy trafić w ręce celników i napytać sobie biedy. Za łamanie przepisów grozi grzywna nawet do kilkunastu tysięcy złotych lub kara pozbawienia wolności od trzech miesięcy do nawet pięciu lat.

Wpadają także przemytnicy, którzy próbują wyprowadzić służby w pole. Ale jak na przemytników przystało, nie chwalą się

celnikom swoimi zdobyczami, tylko wymyślają dla nich różnorodne skrytki i sposoby, by np. uciszyć przemycane zwierzęta. Papugi wciskają do plastikowych butelek albo ciasnych tekturowych pudełek. Żółwie oklejają taśmą izolacyjną, by nie mogły wysunąć łap spod skorupy i skrobać pazurami, i tak skrępowane upychają w pończochy. Na czas transportu zwierzęta są też często usypiane.

Przewóz przez granicę zwierząt i roślin reguluje Konwencja o międzynarodowym handlu dzikimi zwierzętami i roślinami gatunków zagrożonych wyginięciem, zwana także konwencją waszyngtońską lub w skrócie CITES. Powstała, by chronić dziko występujące populacje zwierząt i roślin z gatunków zagrożonych wyginięciem. Dlatego wprowadzono kontrolę i ograniczanie międzynarodowego handlu nimi, a także produktami z nich wytworzonymi.

Przepisy konwencji odnoszą się więc do: żywych okazów gatunków zagrożonych, trofeów myśliwskich, wyrobów wykonanych z gatunków zagrożonych czy leków i innych produktów leczniczych (np. wyrobów medycyny wschodniej). Plastry z piżmem, maść ze sproszkowanych kości tygrysa czy przetworzone koniki morskie to tylko przykłady specyfików, które na granicy mogą się stać źródłem kłopotów.

Turyści wprawdzie coraz więcej wiedzą o CITES i raczej unikają przewozu zabronionych pamiątek, ale nadal zdarzają się tacy, którzy mają nadzieję, że im się to uda.

Głowy krokodyli

Kiedyś funkcjonariusze przejęli też dwie ususzone głowy krokodyli, które dwa rosyjskie małżeństwa przywiozły z Wietnamu tranzytem przez Paryż. Wycieczki wykupiono w polskim biurze turystycznym. Rosjanie tłumaczyli, że zamówili w restauracji danie z mięsa krokodyli, a głowy zwierząt – pozostałość po wykwintnej kolacji – otrzymali w prezencie od restauratora. Jednak zgodnie z

przepisami, możliwy jest przywóz do UE z państw trzecich, bez wymaganych zezwoleń CITES, do czterech martwych przetworzonych okazów krokodylowatych *Crocodylia spp.* (z wyjątkiem mięsa i trofeów myśliwskich). Zwolnienie to dotyczy jedynie ruchu osobowego. Głowy owych gadów nie były jednak w żaden sposób przetworzone, lecz jedynie podsuszone, nie spełniały więc definicji okazu przetworzonego. W związku z tym zostały zatrzymane jako dowód rzeczowy w sprawie karnej.

Nie tylko wilk, miś i nosorożec

Zdarzają się pamiątki, którymi turyści zaskakują nawet wieloletnich funkcjonariuszy. Tak było na katowickim lotnisku, kiedy natknęli się na przywiezioną z Mongolii soloną skórę wilka szarego i jego czaszkę. Jedna z takich spraw trafiła do sądu. Okazało się, że są to trofea myśliwskie z zagranicznej wyprawy, na których przewóz do UE nie było zezwolenia. Sprowadzający je do kraju mężczyzna tłumaczył, że za przesyłkę odpowiedzialny był organizator wyprawy myśliwsko-traperskiej.

W 2007 roku uwagę celników wzbudził z kolei opis przesyłki „wypchany miś". Wewnątrz znaleźli wypchanego baribala – czarnego niedźwiedzia amerykańskiego, który żyje na wolności w Ameryce Północnej i Środkowej.

Natomiast turysta wracający z Afryki chciał przewieźć świeży róg nosorożca. Wyjaśnił, że planował go sproszkować i sprzedawać jako afrodyzjak. W tym przypadku zapadł wyrok więzienia w zawieszeniu na dwa lata.

Do innych celów miało służyć osiem wysuszonych gruczołów skórnych bobra europejskiego, na które natknięto się na drogowym przejściu granicznym w Kuźnicy. Właściciel towaru wyjaśniał, że ważące niemal kilogram organy wewnętrzne tego chronionego ssaka miały być jako medykament prezentem dla znajomego. Sprawa nie była taka prosta, ponieważ bóbr europejski jest objęty

w Polsce częściową ochroną gatunkową. Dlatego służby przejmują także skóry z tego zwierzęcia.

W ostatnim czasie w Bobrownikach wykryto próbę przemytu skóry wydry europejskiej, a na granicy z Białorusią zatrzymano podróżnego, który próbował wwieźć do Unii Europejskiej ponad 400 skór zwierząt z rodziny łasicowatych. Z kolei trzy czaszki niedźwiedzia brunatnego wykryto podczas kontroli przesyłek zagranicznych w Przemyślu. W Terespolu zaś z bagażu podróżnego wyjęto kieł oraz 27 zębów morsa, a także krąg walenia.

Na łut szczęścia liczył zapewne Rosjanin, który na polsko-białoruskim przejściu w Połowicach wpadł ze spreparowanymi owadami. Na tylnym siedzeniu jego busa leżało pięć gablot, a w nich chrząszcze i motyle. Wśród 181 owadów znajdowały się okazy zagrożone wyginięciem i objęte ochroną gatunkową, których przewóz przez granicę może się odbywać jedynie na podstawie odpowiednich zezwoleń. Były to prawdziwe perełki, m.in. trzy okazy motyla z gatunku niepylak apollo (wymieniony również w „Polskiej czerwonej księdze zwierząt". Niepylak apollo ma w niej status gatunku skrajnie zagrożonego natychmiastowym wymarciem. Wśród przejętych okazów znajdowały się również chrząszcze: tęcznik liszkarz (*Calosoma sycophanta*) i biegacz pomarszczony (*Carabus intricatus*). Gatunki te są objęte w Polsce ochroną częściową.

Szczęście nie dopisało także Ukraińcowi, który podróżował szynobusem relacji Zdołbunów–Chełm. Na przejściu kolejowym w Dorohusku w jego bagażu odkryto 15 rodzin pszczelich, które przewoził w plastikowych pudełkach. Dostał mandat i razem z owadami musiał wrócić na Ukrainę.

Podróż żółwi stepowych

Tylko przypadek sprawił, że wpadł przemytnik żywych zwierząt. Gdy czekał na odprawę graniczną, silnik jego samochodu cały czas pracował. Procedury przedłużały się, kolejka rosła i celnicy

poprosili go o wyłączenie silnika. Nie chciał. Wyjaśnił, że ma zepsuty rozrusznik i później nie odpali auta. W końcu, gdy funkcjonariusze obiecali, że po skończonej odprawie popchną pojazd, nie miał już wymówki i zgasił silnik.

Po chwili jeden z celników usłyszał dziwne dźwięki dochodzące z samochodu, jakby chrobotanie… Okazało się, że hałasowały żółwie wciśnięte pod karoserię, w boku samochodu. Aby zminimalizować drapanie, ich skorupy obklejono taśmą tak, by zwierzęta nie mogły wysunąć nóg. W sumie było to 200 żółwi stepowych, których trudna podróż zakończyła się szczęśliwie na przejściu w Medyce.

Podobnie skrępowane gady wyciągnięto na tym samym przejściu z przerobionego zbiornika na paliwo. Niewykluczone, że schowek służył także do przerzutu papierosów. Wówczas przejęto 121 żółwi.

Wśród celników krąży anegdota także o pijanej kozie, którą na tylnym siedzeniu osobówki przewoził obywatel Ukrainy. Historia sięga podobno lat 90. Prawda wyszła na jaw, gdy celniczka zajrzała do auta i uderzył ją silny zapach alkoholu. Na tylnej kanapie spał ktoś przykryty kurtką i kapeluszem. Okazało się, że przemytnik napoił kozę procentami, by nie hałasowała podczas kontroli.

Pół tony koralowca

Dużym zainteresowaniem niezmiennie cieszą się koralowce, które są zagrożone wyginięciem. Turystom są rekwirowane pojedyncze sztuki, ale można też się natknąć na większe przemyty. Prawie 2,5 kg znaleziono w jednym bagażu na warszawskim lotnisku. Wyjaśnienia zawsze są podobne: „Nie wiedziałem, że pamiątka z podróży jest pod ścisłą ochroną”.

Kobieta, która wysiadła z samolotu w podlubelskim Świdniku i wiozła siedem fragmentów zwapnionych szkieletów koralowca rafotwórczego ważących 450 gramów, tłumaczyła celnikom, że znalazła je na plaży na Florydzie.

Ale zdarzają się także duże strzały, jak ten z 2013 roku, gdy przejęto ponad pół tony zagrożonych wyginięciem koralowców rafotwórczych. Był to największy tego typu przemyt wykryty na terenie Polski. I pierwszy tak różnorodny, jeśli chodzi liczbę gatunków.

Na jego ślad wpadli funkcjonariusze Służby Celnej na granicy z Ukrainą w Dorohusku. Koralowce ukryto wśród innych towarów przewożonych w tranzycie z Chin na Ukrainę. Dokumenty wskazywały, że w ciężarówce są kosmetyki, przedmioty medyczne, akcesoria do szycia, biżuteria, sztuczne kwiaty, galanteria skórzana, meble, elementy elektroniczne itp. – w sumie ponad 20 ton towaru. Jednak w tej masie celnicy odkryli 120 podejrzanych worków, w których ukryto właśnie koralowce. Rewizja zawartości ciężarówki trwała kilka dni. W sumie wyjęto z niej 556 kg szkieletów koralowców rafotwórczych z rzędu *Scleractinia*. Najcięższy ważył około 34 kg, najlżejszy – 15 dag. Sposób transportu spowodował, że wiele z tych koralowców zostało uszkodzonych.

Mrówki na kwarantannie

W czerwcu 2020 roku na lotnisku w Pyrzowicach funkcjonariusze z katowickiej Izby Administracji Skarbowej skontrolowali paczkę nadaną w Chinach, która zmierzała do odbiorcy w Polsce. Według dokumentów miała zawierać plastikowy bębenek wart kilka dolarów. „Dziwna sprawa” – uznali celnicy i wzięli przesyłkę na tapet.

Podczas rewizji w plastikowym bębenku odkryto fiolki z żywymi mrówkami. W sumie 77 pojemników, które zawierały prawie 120 żywych owadów. Okazało się, że wszystkie przeżyły kilka tysięcy kilometrów podróży.

O przemycie żywych stworzeń z Chin – zwłaszcza w dobie pandemii koronawirusa – zawiadomiono powiatowego lekarza weterynarii w Tarnowskich Górach, który zdecydował o kwarantannie. Bo przywóz zwierząt spoza Unii Europejskiej

podlega szczególnym rygorom. Zgodnie z przepisami Ustawy o ochronie zdrowia zwierząt oraz zwalczaniu chorób zakaźnych kto przywozi zwierzęta z naruszeniem przepisów weterynaryjnych, podlega karze grzywny, karze ograniczenia wolności lub pozbawienia wolności do roku.

Wcześniej przejęto paczkę nadaną w Wielkiej Brytanii. Znajdowały się w niej tysiące mrówek, które – według entomologa z Uniwersytetu Śląskiego – pochodziły z kilku różnych kontynentów. Po zbadaniu owadów lekarz weterynarii zdecydował o zwolnieniu przesyłki, która trafiła do odbiorcy z Małopolski. Ale nie zawsze tak się dzieje.

W 2018 roku funkcjonariusze KAS w Oddziale Celnym Pocztowym w Zabrzu wykryli 11 szklanych probówek z mrówkami. Paczka została nadana na Ukrainie i miała trafić do mieszkańca Wrocławia. Do przesyłki nie dołączono jednak pozwolenia oraz świadectwa zdrowia owadów wystawionego przez urzędowego lekarza weterynarii z Ukrainy. Polski powiatowy lekarz weterynarii nakazał natychmiastowe odesłanie paczki do nadawcy.

Bezcenny węgorz

Naprawdę celne trafienie zaliczyła KAS w styczniu 2020 roku na polsko-ukraińskim przejściu granicznym Budomierz-Hruszew. W bagażniku rutynowo kontrolowanego autokaru polscy celnicy zauważyli 10 kartonów. Okazało się, że nie zostały zgłoszone do kontroli. Znajdowało się w nich 50 plastikowych pojemników. Wszystkie zawierały żywy, wijący się i bardzo cenny ładunek. Węgorze europejskie zwane węgorzami szklistymi – w sumie 150 kg. Właścicielem ryb okazał się jeden z pasażerów – 40-letni obywatel Ukrainy. Nie miał zezwolenia na legalny transport. To rekordowy przypadek w skali kraju. Także ze względu na wartość kontrabandy. Za kilogram takiego węgorza trzeba zapłacić nawet

2,5 tys. euro. A to oznacza, że cały przerzut wart był około 1,5 mln złotych.

Węgorz szklisty dociera do wybrzeży Europy niesiony prądami morskimi z Morza Sargassowego, w którym zwierzęta te się rozmnażają. Jest odławiany w Portugalii, Hiszpanii i we Francji, by trafić na stoły lub do reintrodukcji w całej UE.

Od lat 70. XX wieku populacja węgorza europejskiego zmalała o ponad 90 proc. Przyczyniły się do tego zanieczyszczenie wód, nadmierne odławianie czy zapory na zbiornikach. W takich jak ten przypadkach zwierzęta na czas postępowania trafiają do specjalnych zakładów, w których zapewnia się im potrzebne warunki do życia.

Kłujący bagaż i papugi w butelkach

Ponad 150 sadzonek roślin kaktusowatych zagrożonych wyginięciem ujawnili 29 listopada 2014 roku mazowieccy celnicy w walizce podróżnego na lotnisku w Warszawie.

Nielegalny towar odkryli w „zagubionym” bagażu, który kilka dni wcześniej przyleciał z Chile przez Amsterdam. Natychmiast namierzono właściciela. Był nim Polak, który jednak nie posiadał odpowiednich zezwoleń CITES na przywóz okazów chronionych konwencją waszyngtońską. W związku z tym wszczęto wobec niego postępowanie karne. Zatrzymane kaktusy, które łącznie ważyły 4,6 kg, trafiły do ogrodu botanicznego.

W 2002 roku na przejściu granicznym w Chałupkach zatrzymano z kolei mężczyznę z Mysłowic, który w samochodzie ukrył dwie papugi – rozellę białolicą i aleksandrettę obrożną. Aby je schować i zagwarantować sobie ciszę, wcisnął ptaki do plastikowych butelek po wodzie mineralnej, które ukrył w kole zapasowym samochodu. Gdy celnicy znaleźli papugi, mężczyzna wyjaśnił, że kupił je za 100 złotych na targu w Czechach. Stracił ptaki, bo nie miał specjalnego zezwolenia Ministerstwa Środowiska na ich przewóz.

Krwiopijcza kontrabanda

Przemycane są też pijawki. Do jednego z większych zatrzymań doszło w październiku 2014 roku na polsko-ukraińskim przejściu granicznym w Medyce podczas kontroli ukraińskiego busa, który wjeżdżał do Polski. W środku było tysiąc pijawek. Ukryto je w woreczkach z materiału i poutykano w bagażu. Każdy pakunek zawierał gąbki nasączone wodą, dzięki którym zwierzęta miały przetrwać podróż. Pijawki są pod ochroną, a 44-letni Ukrainiec tłumaczył, że o tym nie wiedział. Zwierzęta trafiły do Ogrodu Zoologicznego w Zamościu, gdzie poddano je kwarantannie i obserwacji.

Z kolei w 2016 roku z pijawkami wpadł ukraiński kierowca autobusu w Hrebennem. Celnicy zauważyli podejrzane zawiniątka, sprawdzając bagaż kierowcy. Owinięte były w mokre gazety. Wewnątrz znajdowały się materiałowe worki wypełnione wilgotnymi gąbkami, pomiędzy którymi wiły się pijawki. W sumie 1030 sztuk. Okazało się, że należą do gatunku objętego ochroną (CITES). Kierowca przekonywał, że nie był tego świadomy. Twierdził, że kupił je przez internet na własny użytek, bo w jego rodzinie tradycją jest leczenie pijawkami nadciśnienia. I właśnie tak zamierzał je wykorzystać.

Pijawkowy rekord padł trzy lata wcześniej, gdy celnicy przechwycili niemal 7 tys. żywych osobników, które nielegalnie próbowano wwieźć do Polski przez przejście graniczne w Korczowej.

Jeśli chodzi o tego typu zwierzęta, specjaliści zwracają również uwagę na aspekt zdrowotny.

Stosowanie do zabiegów pijawek pochodzących z nielegalnych połowów, a nie hodowanych w izolowanych warunkach laboratoryjnych oraz żywionych w kontrolowany sposób, zamiast przynieść poprawę zdrowia, może być przyczyną wielu kłopotów. Zwierzęta pochodzące z naturalnego środowiska mogą bowiem wprowadzić do naszego organizmu wirusy, bakterie czy pasożyty.

Egzotyki za grubą kasę

Celnicy wskazują, że handel zwierzętami to jedna z bardziej dochodowych działalności grup przestępczych (po handlu bronią i narkotykami). We wrześniu 2019 roku w Korczowej przejęto egzotyczne gady i płazy, których wartość oszacowano na około 50 tys. euro. W ukraińskim busie w klatkach i workach przemycano 69 pytonów królewskich (*Python regius*), 18 pytonów siatkowych (*Python reticulatus*), 14 boa dusicieli (*Boa constrictor*), dziewięć jaszczurek biczogonów (*Uromastyx*), cztery warany kolczastoogonowe (*Varanus acanthurus*), dwa boa madagaskarskie (*Sanzinia madagascariensis*) oraz inne okazy gadów i płazów. Spośród 166 przemycanych zwierząt aż 116 okazów figuruje na liście konwencji waszyngtońskiej.

Sezon na raki

Tylko w 2016 roku celnicy przechwycili prawie tonę żywych zwierząt. W listopadzie na granicy w Dorohusku w ich ręce wpadły raki. Podróżowały w wiadrze z wodą, które umieszczono w bagażniku osobowego audi na litewskich numerach rejestracyjnych. Naliczono wówczas 47 skorupiaków z gatunku raka błotnego. Jak mówiła wówczas Marzena Siemieniuk z Izby Celnej w Białej Podlaskiej, był to pierwszy przypadek na tym odcinku granicy – główny kanał przerzutowy wiódł bowiem przez Podkarpacie.

Edyta Chabowska z Izby Celnej w Przemyślu wskazywała, że 2016 rok był prawdziwym sezonem na raki. Tylko na tym odcinku granicy odebrano ich 800. Największy przemyt liczył ponad 200 egzemplarzy. 27-letni obywatel Ukrainy, który wpadł w Dorohusku, nie chciał zdradzić, dokąd wiózł raki, jednak funkcjonariusze podejrzewali, że do jednej z warszawskich restauracji.

Proceder trwa nadal. Ale gdy zwierzęta wpadają w ręce służb, ich droga – zamiast na talerz – wiedzie do ogrodu zoologicznego. Bo raki objęte są ochroną gatunkową na podstawie Ustawy o ochronie przyrody i rozporządzenia ministra środowiska w sprawie ochrony gatunkowej zwierząt. Ich legalny transport przez granicę możliwy jest tylko wtedy, gdy posiadamy zezwolenie Generalnego Dyrektora Ochrony Środowiska.

Sfinksy w torbach

W 2017 roku dwójka Ukraińców podróżujących osobówką na czeskich numerach rejestracyjnych próbowała wwieźć do Polski przez przejście w Medyce 17 kociąt upchniętych w torbach. Już wstępna kontrola zdradziła miauczący ładunek.

Koty rasy sfinks miały od 2 do 6 miesięcy. Opiekunowie nie zaopatrzyli się jednak w wymagane dokumenty, na podstawie których zwierzęta mogłyby zostać przewiezione przez granicę. Zresztą w Medyce nawet z dokumentami byłoby to niemożliwe, bo nie ma tu kontroli weterynaryjnej. Ukraińcy nie zostali wpuszczeni.

Zwierzęta domowe towarzyszące, takie jak koty, fretki czy psy, mogą podróżować przez granice pod warunkiem, że posiadają elektroniczny identyfikator, są zaszczepione przeciwko wściekliźnie, a właściciel potrafi to udokumentować. Dodatkowo jednorazowo można przewieźć maksymalnie pięć zwierzaków. Natomiast jeśli zwierzę jedzie spoza Unii i lekarz weterynarii dopatrzy się jakiś nieprawidłowości, np. zbyt odległych terminów szczepień, może zapaść decyzja o kwarantannie.

Tygrysy utknęły na granicy

Jesienią 2019 roku głośna była sprawa tygrysów, które utknęły na granicy polsko-białoruskiej. Ciężarówkę z dziesięcioma zwierzętami zatrzymano, bo – według Białorusinów – przewoźnik nie dopełnił formalności. Kierowcy nie mieli wiz i dokumentów

weterynaryjnych zwierząt. Tygrysy kilka dni spędziły na przejściu granicznym w Koroszczynie. Jeden z nich, niestety, padł na postoju w terminalu granicznym.

Według dokumentacji ciężarówka z tygrysami wyruszyła spod Rzymu 22 października. Zwierzęta miały dojechać do Dagestanu, republiki Federacji Rosyjskiej. Wiadomo, że transportowano je w bardzo złych warunkach w ciężarówce z napisem „Horses". 10 drapieżników – każdy o wadze około 200 kg – w ciasnocie spędziły ponad tydzień.

Specjaliści, którzy przyjechali przeprowadzić sekcję zwłok, orzekli, że padły osobnik był wycieńczony i nosił wiele ran. Podejrzewano, że powstały, gdy zwierzę próbowało się wydostać. Tygrys miał poraniony nos, odarty pysk i łapy. Do jego śmierci miało się też przyczynić zaczopowanie przewodu pokarmowego. Bo – zdaniem specjalistów – zwierzęta były karmione wyłącznie kurczakami.

– To nie jest dobra dieta dla tygrysa. Jego przewód pokarmowy był w strasznym stanie – relacjonowała wówczas cytowana przez TVN24 Małgorzata Chodyła, rzeczniczka zoo w Poznaniu.

Zdaniem lekarzy stan pozostałych tygrysów też był zły.

W tej sprawie pojawiło się wiele niejasności. Nie wiadomo, dokąd zwierzęta tak naprawdę jechały: czy do prywatnego zoo, czy padły ofiarą mody na duże drapieżniki, które – gdy dorosną – są sprzedawane na skóry lub leki medycyny naturalnej i afrodyzjaki.

Zarzut znęcania się nad tygrysami usłyszeli Rosjanin odpowiedzialny za organizację transportu oraz dwóch kierowców, którzy mieli przewieźć tygrysy do Rosji. Zarzut niedopełnienia obowiązków służbowych usłyszał także graniczny lekarz weterynarii. Kilka z uratowanych osobników trafiło do hiszpańskiego azylu.

Ponad pół tony koralowców rafotwórczych próbowano przemycić w towarze z Chin, Dorohusk
foto KAS

Amazonki pąsowe przewożono w drewnianych małych klatkach, schowanych w torbach podróżnych

foto KAS

Kurtka ze skóry węża zatrzymana na przejściu w Terespolu
foto KAS

Głowę żubra europejskiego zarekwirowano w Koroszczynie. Jechała z Rosji do Wielkiej Brytanii, jako mienie przesiedleńcze
foto KAS

Nalewka na kobrze i skorpionie
foto KAS

Ponad tysiąc pijawek w workach owiniętych gazetami wiózł kierowca autobusu. Wpadł w Hrebennem
foto KAS

Ptasznika odkryto na granicy w Hrebennem. Jechał w bagażu 44-letniej Ukrainki
foto KAS

Na przewóz przez granicę spreparowanej skóry wilka są potrzebne specjalne zezwolenia CITES
foto KAS

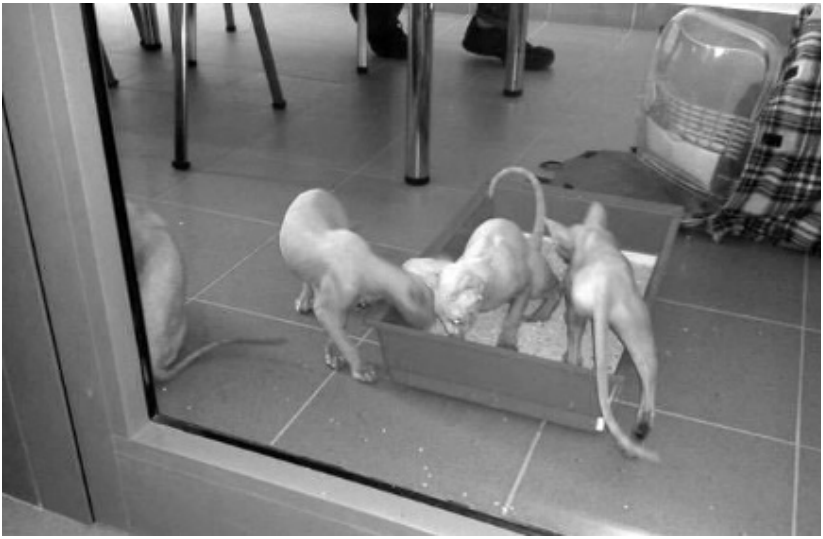

Sfinksy zatrzymane na granicy w Dorohusku
foto KAS

Spreparowany pawian żółty zatrzymany w Koroszczynie. Właściciel bagażu tłumaczył, że to trofeum myśliwskie
foto KAS

Żywy okaz zatrzymany na granicy w Hrebennem
foto KAS

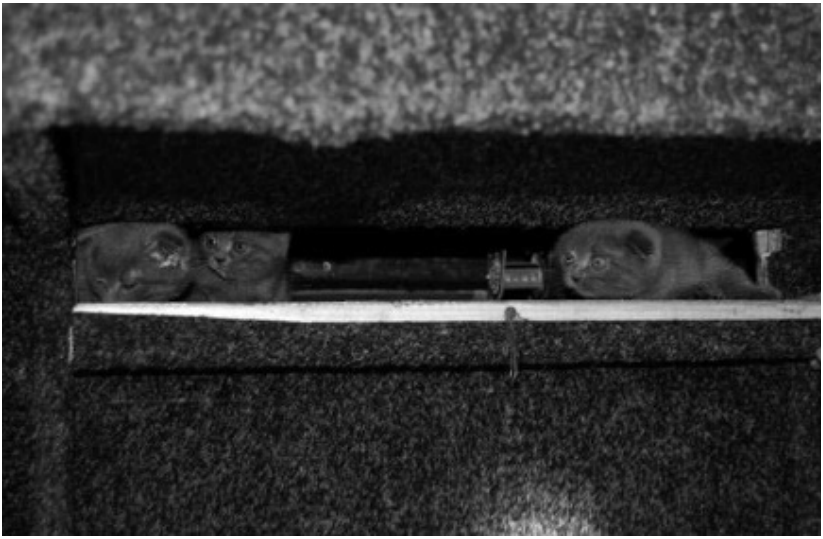

Pięć młodych kociąt ukryto w ścianie busa
foto KAS

Pijawki w materiałowych woreczkach podróżowały w autokarze w zbiorniku na wodę
foto KAS

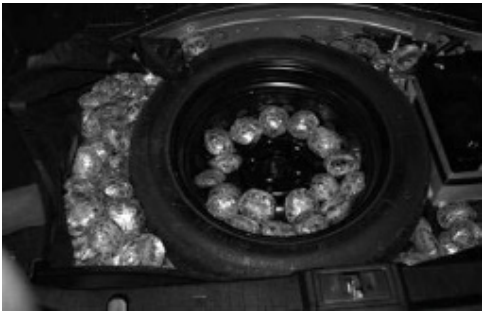

Prawie 200 żółwi ukryto w bagażniku i kole zapasowym. Były oklejone taśmą, która uniemożliwiała zwierzętom poruszanie się
foto KAS

Wędzone mięso małpy. Podróżna z Kamerunu twierdziła, że to gatunek szczura, który żyje pod ziemią
foto KAS

Pasażer na gapę zatrzymany na granicy w Hrebennem
foto KAS

Rozdział 11
Leki i inne podróbki

Suplementy diety, sterydy, leki psychotropowe, przeciwbólowe, czy na potencję, środki na padaczkę – są przemycane na potęgę. Według danych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) aż 10 proc. globalnego rynku leków mogą stanowić podróbki, na które Polacy wydają około 100 mln złotych rocznie. Jak wynika z raportu Europolu, większość fałszywych leków trafiających do Unii Europejskiej pochodzi z Chin i Indii, skąd docierają przez Turcję i Ukrainę. Eksperci uważają, że przez Polskę przebiega szlak przemytu leków z Azji do Europy Zachodniej.

Gdy specyfiki wpadną w ręce celników, natychmiast trafiają do supernowoczesnego laboratorium KAS. Okazuje się, że często nie mają w swoim składzie oryginalnej zawartości ani takich ilości substancji czynnych, które mogą wpływać na poprawę zdrowia. Od reszty składników włos jeży się na głowie. To cement, gips, pasta do podłogi czy trutka na szczury. Bywa, że są skażone, zanieczyszczone lub zawierają substancje toksyczne czy wycofane z obrotu, takie jak sibutramina stosowana na odchudzanie, a od kilku lat zakazana w UE. W przypadku podrabianych leków nigdy nie wiadomo, jaka jest ich prawdziwa zawartość.

Justyna Pasieczyńska z mazowieckiej KAS mówi, że niektóre badane w laboratorium dawki czy stężenia mogłyby po dłuższym czasie zażywania doprowadzić nawet do śmierci. Ale udowodnienie wpływu takich leków na zdrowie nie jest proste, bo skutki ich działania często są rozłożone w czasie. Szacuje się, że przez ten proceder umiera na świecie aż 200 tys. osób rocznie. W

Nigerii w latach 90. po przyjęciu podrobionych szczepionek życie straciło 2,5 tys. pacjentów.

Najwięcej podrobionych leków pochodzi z Dalekiego Wschodu – tam są najniższe koszty produkcji i tania siła robocza. Nie wiadomo jednak, w jakich warunkach są produkowane i przechowywane. Podróbki medykamentów sprzedaje się głównie na bazarach i przez internet. Niektórzy eksperci uważają Wólkę Kosowską za jedno z największych w Europie Środkowej centrów dystrybucji wszelkich podróbek przemycanych z Azji. Handlem podróbkami zajmują się całe grupy przestępcze, choć w mediach najczęściej słyszymy jedynie o drobnych wpadkach kurierów.

Wprowadzenie do obrotu lub przechowywanie w celu wprowadzenia do obrotu produktu leczniczego bez posiadanego pozwolenia podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do dwóch lat.

Wózek nafaszerowany środkami na potencję

Pomysłowością wykazało się pewne małżeństwo, które w grudniu 2013 roku przyleciało do Wrocławia z wakacji w Egipcie. W stelażu dziecięcego wózka ukryli podróbki Viagry. Zauważył to celnik obsługujący skaner urządzenia RTG. Od razu dał znać kolegom, którzy kontrolowali bagaże turystów wracających z urlopu w Szarm el-Szejk.

Po wózek zgłosiła się kobieta. Posadziła w nim córkę i ruszyła do wyjścia dla pasażerów, którzy nie mają nic do oclenia. Zaczepiona przez funkcjonariusza zapewniła, że nie przewozi niczego, co powinna zgłosić. Podjęto decyzję o rewizji. Do aluminiowych profili wózka funkcjonariusze zajrzeli za pomocą wideoendoskopu. Znaleźli tam 846 niebieskich tabletek preparatu Virecta (sildenafil citrate) o wartości 22 tys. złotych. Pasażerka nadal twierdziła, że nie wiedziała o zawartości wózka.

Niebieskie tabletki zatrzymano także w maju 2019 roku na warszawskim Lotnisku Chopina. Znaleziono je w bagażu

obywatela Indii, który przyleciał ze swojego kraju przez Ukrainę. Próbował przemycić do Polski 1623 tabletki na potencję.

Farmaceutyki niewiadomego pochodzenia

Z kolei ponad 4 tys. nielegalnych ampułek o wartości rynkowej ponad 18 tys. złotych wyciągnięto z bagażu Ukraińca, który wylądował w Warszawie we wrześniu 2019 roku. Medykamenty niewiadomego pochodzenia zawierały wyciąg z krwi zwierzęcej. Podobne legalne preparaty stosowane są w leczeniu zaburzeń krążenia czy gojeniu ran. Ale mężczyzna nie posiadał wymaganych zezwoleń, dlatego stracił specyfiki.

Zgodnie z prawem farmaceutycznym bez zezwolenia można przywieźć z zagranicy produkt leczniczy na własne potrzeby w liczbie nieprzekraczającej pięciu najmniejszych jego opakowań. Funkcjonariusze nie mogli więc przyjąć tłumaczenia, że podróżny przeznaczy leki na własne potrzeby.

Podejrzane medykamenty odebrano także obywatelce Wietnamu, która do Polski przyleciała z Hanoi przez Moskwę. W jej walizkach znajdowały się różne farmaceutyki: 150 butelek zawierających po 100 kapsułek, 55 saszetek po 100 gramów oraz czterokilogramowe torebki foliowe. Kobieta przekonywała, że przywiozła produkty na własne potrzeby. Nie dano temu wiary.

Żarówki do iniekcji

W lipcu 2020 roku na przejściu granicznym w Bobrownikach wpadł 36-letni kierowca tira z Białorusi. Nielegalny ładunek odkryto podczas rewizji kabiny ciężarówki. Pod materacem i w schowkach szoferki znaleziono 25 opakowań z preparatami do iniekcji o wartości 10 tys. złotych. Początkowo przemytnik przekonywał, że to żarówki. Ale w środku znajdowały się ampułki. W końcu opowiedział, że botoks miał przekazać odbiorcy na jednym z podwarszawskich parkingów. Twierdził, że o transport

przez granicę poprosiła go nieznajoma kobieta. Przekonywała, że przewóz jest legalny.

Kapsułki na metabolizm

Również w Bobrownikach przejęto 6,3 tys. kapsułek ze środkiem przyspieszającym metabolizm. 41-letni Białorusin ukrył towar w różnych miejscach swojego dostawczaka, m.in. w skrzynce na narzędzia. Wartość kontrabandy to ponad 21 tys. złotych.

Kosmetyki na erekcję

Przemytnicy przerzucają nielegalny towar różnymi drogami. Chętnie wykorzystują firmy kurierskie lub po prostu pocztę. Na trop takiego kanału wpadli funkcjonariusze w trakcie rutynowej kontroli przesyłek w poznańskiej sortowni Poczty Polskiej, gdzie zwrócili uwagę na 11 paczek adresowanych do dwóch odbiorców z terenu Wielkopolski. Przesyłki szły z Chin. To także wskazywało na ryzyko. Według deklaracji paczki zawierały kosmetyki o łącznej wartości 300 dolarów amerykańskich. Jednak w środku były Viagra, Kamagra oraz Cialis – stosowane przy zaburzeniu erekcji. Łącznie przejęto 8848 sztuk farmaceutyków w postaci tabletek i żelu w saszetkach oraz ponad 1,8 tys. dodatkowych opakowań leków. Ich wartość wyniosła niemal 190 tys. złotych.

Długa droga anabolików

Na koncie służb są też duże trafienia, jak to z lutego 2020 roku, gdy francuska żandarmeria poinformowała, że rozbiła międzynarodowy gang przemytników sterydów anabolicznych pochodzących z Chin. Śledztwo trwało dwa lata. Zaczęło się od sklepów z rejonu Tuluzy, które oferowały odżywki. Po nitce do kłębka – tak służby doszły aż do Europy Wschodniej. Odkryto, że

zabronione przez prawo sterydy anaboliczne sprowadzane z Chin trafiały do centrali gangu na Słowacji i stąd rozprowadzano je po całej Europie. Zatrzymania miały miejsce na Słowacji, Ukrainie i w Polsce. Wpadło 21 Słowaków, dwóch Ukraińców i dwóch Polaków. Przy okazji skonfiskowano ponad 2 mln euro.

Szacuje się, że przemyt i handel sterydami anabolicznymi przynosi polskim grupom przestępczym dziesiątki milionów euro zysku rocznie. Sprowadza się je nie tylko z Azji, lecz także m.in. z Grecji, Rumunii, Mołdawii czy Litwy.

Podróbki są produkowane także w Polsce, gdzie regularnie są odkrywane hurtownie i manufaktury, w których nielegalnie powstają głównie sterydy anaboliczne oraz środki na potencję. Jedną z grup rozbito w wakacje 2018 roku. Dwie linie produkcyjne odkryto w piwnicy domu w okolicach Poznania. Przestępcy wytwarzali sterydy w tabletkach. Na wysyłkę za granicę czekało 150 tys. pigułek. Z przygotowanych składników można było wyprodukować kolejne 2,5 mln tabletek.

Duży wybór medykamentów

W dobie pandemii COVID-19 są fałszowane też testy na obecność koronawirusa, maski, środki dezynfekujące i leki antywirusowe. Na przełomie lat 2020/2021, podczas międzynarodowej operacji CBŚP, francuskiej i włoskiej policji, zatrzymano 13 osób zajmujących się produkcją i sprzedażą leków, m.in. psychotropowych, onkologicznych, sterydów anabolicznych i środków na potencję. Grupa miała sprowadzić z Azji ponad pół tony substancji czynnych różnych farmaceutyków, które przerabiano w fabrykach gangu, a sprzedawano w internecie.

Celnicy przechwytują także przemyty materiału biologicznego, takiego jak komórki macierzyste, przewożone bez certyfikatów dla jednego z laboratoriów, lub nasienie wykorzystywane do *in vitro*. – W tym wypadku bardzo popularny

jest kierunek ukraiński. Materiał transportowano w specjalnych kapsułach – wyjaśnia funkcjonariusz.

W zwykłych kartonach są przewożone z kolei ludzkie włosy. W 2017 roku taki nietypowy przemyt udaremnili funkcjonariusze Krajowej Administracji Skarbowej na przejściu granicznym w Medyce. Wpadł 22-letni obywatel Ukrainy, który próbował wwieźć towar do Polski. Kartonowe pudło wypełnione pasmami włosów o różnych kolorach i długościach (40-70 cm) schowano w bagażniku busa, którym podróżował mężczyzna. Wartość towaru oszacowano na ponad 22 tys. złotych. Mógłby je wwieźć legalnie, gdyby dokonał zgłoszenia i zapłacił należności przywozowe w kwocie ponad 5,6 tys. złotych. A tak skończyło się postępowaniem karnoskarbowym.

Toksyczne zabawki

Groźne dla zdrowia mogą być również ubrania, buty czy zabawki zawierające rakotwórcze ftalany. To estry kwasu ftalowego, które służą do zmiękczania plastiku i nadają mu elastyczność. Według norm w zabawkach nie może być ich więcej niż 0,1 proc.

Wszystko ponad to jest niebezpieczne dla zdrowia i może prowadzić do zaburzeń płodności, uszkodzeń nerek lub wątroby, przyczyniać się do rozwoju astmy, a nawet nowotworów.

Ftalany najczęściej wykorzystuje się do produkcji miękkich, plastikowych zabawek, takich jak lalki, kaczuszki do kąpieli lub maski karnawałowe, piłki, gryzaki czy modne wśród dziewczynek gumki do robienia bransoletek. Specjaliści, badając w laboratorium zarekwirowane podróbki, nie mogą czasem uwierzyć w wyniki. W głowie jednej z lalek, która w ramach wspólnej akcji KAS i UOKiK trafiła do laboratorium, stężenie ftalanu wyniosło aż 29 proc.!

W 2018 roku w ramach tej akcji polscy celnicy skontrolowali prawie 1,5 mln zabawek zgłaszanych do odprawy na granicy. W

efekcie około 700 tys. zabawek nie zostało dopuszczonych do obrotu w Polsce.

Sprawa jest poważna, jeśli spojrzeć na skalę sprowadzanych do naszego kraju podrobionych zabawek lub wyprodukowanych bez uwzględniania norm.

Ale jeden z niechlubnych rekordów padł w październiku 2014 roku, gdy do odprawy w oddziale celnym w Rzeszowie zgłoszono 300 zestawów do robienia bransoletek gumowych z Chin. Badania laboratoryjne wykazały, że zestawy zawierają rakotwórcze ftalany. Dopuszczalna norma ftalanów di-2-etyloheksylu (DEHP) została przekroczona 120 razy.

W tym wypadku jedynie zawieszki zawierały toksyczne substancje. W gumkach nie stwierdzono przekroczenia normy. Innym razem w podobnym zestawie do robienia gumowych bransoletek zawartość ftalanów została przekroczona aż 400 razy.

Z raportów Urzędu UE ds. Własności Intelektualnej (EUIPO) wynika, że podróbki zalewają Europę. Co roku przechwytuje się ich tony, a kolejne tony – niestety – docierają do odbiorców. W latach 2013-2017 w Unii zarekwirowano 438 mln podrobionych przedmiotów o wartości ok. 12 mld euro, a to oznacza, że na jednego Europejczyka w wieku powyżej 15 lat przypada jedna podróbka.

Perfumy z podpałki i puder z gipsu

Niebezpieczne mogą być także kosmetyki z przemytu. W laboratorium KAS odkrywano w nich wiele toksycznych substancji: w perfumach – alkohol z podpałki do grilla, w pudrze – gips budowlany, a w kremach – pleśń i bakterie. Były też metale ciężkie, m.in. ołów i miedź. Takie towary często wpadają w ręce służb podczas nalotów na bazary czy centra handlowe prowadzone przez Azjatów.

Jedną z takich akcji opisano na portalu tvp.info w 2018 roku. Podczas nocnej akcji w Wólce Kosowskiej 200 funkcjonariuszy z

wydziału do walki z przestępczością gospodarczą i z Izby Administracji Skarbowej w Warszawie przejęło ponad 54 tys. sztuk podrabianych ubrań, butów, biżuterii i kosmetyków o wartości około 10 mln złotych. Zatrzymano 12 osób, głównie cudzoziemców pochodzących z Azji i krajów byłego ZSRR.

W październiku 2017 roku w czasie nalotu na jedną z prywatnych posesji w Wólce Kosowskiej służby zabezpieczyły 216 busów wypełnionych podróbkami wartymi około 52 mln złotych. Zatrzymano 11 osób narodowości: indyjskiej, ukraińskiej, tureckiej, armeńskiej, bułgarskiej i polskiej. Takie akcje są przeprowadzane tu regularnie. Bo centrum handlowe w Wólce Kosowskiej niezmiennie, mimo ciągłego nękania przez służby, jest areną kolejnych śledztw.

W połowie grudnia 2019 roku centrum znowu znalazło się na celowniku skarbówki. Do akcji wkroczyło kilkuset funkcjonariuszy, którzy zatrzymywali samochody na drogach dojazdowych do centrum i kontrolowali faktury. W ciągu dwóch tygodni grudnia Krajowa Administracja Skarbowa przeprowadziła tam 1,5 tys. kontroli. Wystawiono 155 mandatów, które opiewały na 583 tys. złotych. Przy okazji ściągnięto część zaległych podatków. Poprzez konfiskatę towaru lub zajęcie środków na kontach bankowych udało się odzyskać 625 tys. złotych. Kontrola ujawniła brak zaksięgowania transakcji na ponad 2,5 mln złotych. W ręce KAS wpadły też nielegalne towary, np. 7040 podrobionych zabawek, o wartości około 690 tys. złotych.

Podczas kontroli w firmie kurierskiej podlascy funkcjonariusze KAS ujawnili paczkę z Węgier, w której znajdowały się 483 sztuki podrabianych perfum
foto KAS

Straż Graniczna z czeskimi służbami rozbiła grupę przerzucającą do Czech tabletki na przeziębienie i kaszel, w których skład wchodzi pseudoefedryna
foto KAS

Ponad 2600 tabletek z lekami m.in. poprawiającymi metabolizm 29-letni Rosjanin ukrył w głośniku swojego auta. Wpadł w Bobrownikach
foto SG

Ampułki z botoksem 36-letni Białorusin ukrył w kabinie ciężarówki, którą przekraczał białorusko-polską granicę
foto KAS

W Hrebennem zatrzymano Ukrainkę, która wiozła 56 sztuk kremów i balsamów, w tym z ekstraktem z pijawki lekarskiej i pszczelim jadem
foto KAS

Bus z podrobionymi perfumami wartymi 1 mln zł
foto KAS

Prawie 2 tys. blistrów z pseudoefedryną schowano w opakowaniach po proszku do prania
foto SG

Podlascy celnicy zatrzymali 800 sztuk chińskich zabawek, w których wykryto wielokrotnie przekraczające dopuszczalne normy stężenie

ftalanów.
foto KAS

Rozdział 12
Nielegalna migracja

Na lotniskach rzadko wykrywa się przemyt ludzi, choć zdarzają się i takie przypadki. W maju 2015 roku w Tangerze zatrzymano 19-latkę, która dziwnie się zachowywała. Nie chciała otworzyć walizki. Celnicy podejrzewali, że szmugluje narkotyki. Prawda była znacznie bardziej szokująca. W walizce zamknięto… ośmiolatka. Za przerzut dziecka do Europy szmuglerce zapłacił ojciec chłopca.

Tak spektakularnych przypadków na Lotnisku Chopina do tej pory nie zanotowano. Nie znaczy to jednak, że ludzie nie próbują tam nielegalnie przekraczać granicy. Funkcjonariusze opowiadają o kontrolach, podczas których porównywali zdjęcie w paszporcie i twarz przybysza z Azji czy Afryki i widzieli, że nie jest to ta sama osoba.

– Podróżny upierał się, że na zdjęciu jest on i że paszport należy do niego. Poszedłem więc do Straży Granicznej i dowiedziałem się, że dopóki dokument nie jest podrobiony, zagubiony, skradziony czy poszukiwany, a jego właściciel nie jest ścigany, to paszport jest akceptowany przez służby – opowiada mój rozmówca.

Nie ma podstaw, by zatrzymać podróżnego, który przecież mógł się poddać operacji plastycznej, obciąć włosy, zapuścić brodę, przytyć lub schudnąć. Po prostu zmienił się – i już. W ten sposób, posługując się jednym paszportem, mogło podróżować wiele osób. Potem znajdowano ludzi bez dokumentów, którzy pracowali nielegalnie np. na budowach. Nigdzie nie było śladu, że

wjechali do naszego kraju. Jak podkreślają służby, jedynym sposobem na ukrócenie tego procederu są paszporty biometryczne.

W czerwcu 2017 roku funkcjonariusze Służby Celno-Skarbowej z Podkarpacia kontrolowali pociąg relacji Kijów–Przemyśl. W walizce 50-letniej Ukrainki odkryli jej ośmioletniego syna, którego próbowała nielegalnie wwieźć do Polski. Kobieta zwróciła na siebie uwagę, bo była bardzo zdenerwowana i kurczowo trzymała przy sobie walizkę. Podczas kontroli nie chciała jej otworzyć, lekko odsunęła tylko suwak. W środku siedział chłopiec. Dziecko, choć zgrzane i zmęczone, było w dobrym stanie. Okazało się, że kilka dni wcześniej kobieta próbowała legalnie przekroczyć granicę z dzieckiem, ale nie miała wszystkich wymaganych dokumentów. To popchnęło ją do tego desperackiego kroku.

Najwięcej przemytników wpada na ukraińskim, białoruskim i niemieckim odcinku granicy.

Straż Graniczna nie tylko organizuje i kontroluje ruch graniczny, lecz także zajmuje się zwalczaniem przestępczości transgranicznej – tropi przemyt towarów i nielegalną migrację. Funkcjonariusze Straży Granicznej mają uprawnienia stricte policyjne. Wykonują pracę operacyjno-rozpoznawczą, dzięki której zdobywają wiedzę o przygotowywanym przestępstwie, prowadzą dochodzenia i śledztwa, w trakcie których pod nadzorem prokuratury są gromadzone materiały potrzebne do przygotowania aktu oskarżenia do sądu.

Funkcjonariusze Straży Granicznej, którzy mierzą się z nielegalną migracją, biorą na celownik przede wszystkim granicę zewnętrzną UE, przez którą z Ukrainy, Białorusi i Rosji próbują przedzierać się nielegalni imigranci. Z tego samego powodu jest forsowana także nasza granica południowa.

– Napływ nielegalnej migracji obserwowany jest też na granicach wewnętrznych i dotyczy osób, które wracają do kraju – wyjaśnia major Tomasz Nowak, koordynator ds. handlu ludźmi w Komendzie Głównej Straży Granicznej. Dodaje, że granice wewnętrzne na zachodzie i południu kraju wciąż fizycznie istnieją i

są strzeżone. Pracują tam funkcjonariusze, którzy pełnią służbę w ochronie granicy państwowej.

Zgodnie z przepisami obywatel Unii Europejskiej może przekroczyć granicę w dowolnym miejscu, np. przechodząc przez las. Nie dotyczy to jednak osób spoza strefy Schengen. W 2019 roku Straż Graniczna zatrzymała 5114 osób z państw trzecich, które przekroczyły naszą granicę lub usiłowały to zrobić. Co ciekawe, więcej z nich wpadło na wewnętrznej granicy UE, bo aż 3009 osób. Najbardziej oblegany jest odcinek z Niemcami, gdzie zatrzymano 1457 osób, i Czechami, skąd zawrócono 1043 osób. Natomiast jeśli chodzi o granicę zewnętrzną, jest forsowany przede wszystkim odcinek z Ukrainą (1064 osób) oraz lotniska (712).

Kanał bałtycki

Ostatnio coraz prężniej działają mafie wietnamskie. Jak przyznają funkcjonariusze, to niezwykle trudna – ze względu na jej hermetyczność – grupa do rozpracowania. Wietnamscy przestępcy organizują także przerzuty przez granice ludzi, którzy stają się ofiarami i trafiają do seksbiznesu lub pracy „za miskę ryżu".

Major Nowak zwraca uwagę na uwarunkowania kulturowe, które sprzyjają takim okolicznościom.

– Za to, że ktoś zaoferuje ofierze wikt i miejsce zamieszkania, ona zgadza się odpracować dług 25 tys. dolarów za przerzut przez granicę – wyjaśnia funkcjonariusz.

Wietnam jest krajem trzecim, dlatego jego obywatele przed wjazdem na teren UE przechodzą trudną procedurę urzędową. Aby zdobyć wizę, Wietnamczyk musi określić cel pobytu, mieć zagwarantowaną pracę lub naukę, np. na wyższej uczelni. Ponieważ sprawa nie jest łatwa, wiele osób decyduje się na nielegalną drogę. Wybierają usługi grup przestępczych, które organizują dokumenty potrzebne do złożenia wniosku wizowego w konsulacie. I na podstawie fałszywych zaświadczeń konsul wydaje legalną wizę. Zorganizowanie dokumentów jest bardzo drogie,

ponieważ generuje stosunkowo małe ryzyko i daje osobie podróżującej dość duży komfort. Tańszy, choć o wiele bardziej niebezpieczny, jest przemyt człowieka przez granicę. Za nielegalny przerzut Wietnamczycy płacą średnio od kilku do nawet kilkunastu tysięcy dolarów (w tej walucie się rozliczają).

– Cena zależy od popytu, liczby chętnych, pory roku i kanału, który zostaje uruchomiony – wylicza funkcjonariusz.

Bezwizowo, czyli bez większych problemów, Wietnamczycy dostają się do Rosji. Stamtąd szlak prowadzi przez Białoruś lub Łotwę. Najczęściej imigranci trafiają na Białoruś, skąd przechodzą przez zieloną granicę na Litwę (ten etap kanału przerzutowego zmonopolizowały grupy czeczeńskie), a stamtąd – do Polski. Kanał bałtycki, został opanowany przez obywateli Wietnamu. Centra dowodzenia znajdują się w Moskwie, gdzie rezydują szefowie grup. Każdy odcinek ma pod opieką kto inny i na własną rękę wydeptuje nielegalne ścieżki.

– Mają swoje szlaki i kontakty – mówi funkcjonariusz operacyjny Straży Granicznej.

Najczęściej przewodnik zabiera ze sobą maksymalnie pięć osób, ale zwykle idzie z jedną lub dwiema. Takie próby sforsowania granicy są udaremniane kilka razy w roku. Przewodnik raczej nie przechodzi przez zaorany pas graniczny. Doprowadza ludzi do bezpiecznego miejsca, wskazuje: tam jest Polska – i dalej muszą radzić sobie sami. Bywa, że imigrant jest odbierany spod granicy przez rodzinę, która specjalnie dla niego przyjechała do Polski z Austrii, Niemiec czy Wielkiej Brytanii. Niektóre grupy wysyłają kolejnych przewodników – wywożą oni cudzoziemców w głąb kraju i dalej, w stronę Europy Zachodniej.

Przemytnicy bardzo starają się, by pokonując zieloną granicę, zmylić służby. Chodzą razem z migrantami tyłem, łamią gałęzie, rzucają śmieci. Bieszczadzki Oddział Straży Granicznej dzięki kamerze wypatrzył mężczyznę, który szedł na czworakach, udając zwierzę. Popełnił jednak kardynalny błąd – zbyt szybko stanął na dwóch nogach, co zarejestrował monitoring. Pogranicznicy, którzy

chronią zieloną granicę, świetnie znają swój teren. Dobrze wiedzą, którędy chodzą ludzie i które ścieżki wybierają zwierzęta.

Nielegalni migranci pozostawieni sami sobie tuż za zaoranym pasem są zdezorientowani. Boją się, są głodni i zziębnięci. Dają o sobie znać zmęczenie i stres. Zdarza się, że psy, które razem z funkcjonariuszami Straży Granicznej patrolują polsko-ukraińskie pogranicze, nagle łapią trop i prowadzą do grupy Wietnamczyków ukrytych wśród drzew, którzy zgubili się i przytuleni do siebie próbują ogrzać dzieci.

Ludzie najczęściej są przerzucani przez litewsko-polską granicę samochodami osobowymi, np. w bagażniku. Kierowcami są zwykle Polacy lub Litwini. Zdarza się, że migrantów w ogóle się nie chowa i siedzą po prostu w kabinie samochodu. Przemytnicy liczą na to, że nikt ich nie zatrzyma, bo na wewnętrznej granicy Unii Europejskiej nie ma obowiązkowych, szczegółowych kontroli.

Ten kanał przerzutowy jest bardzo bogaty w różne pomysłowe przypadki – nielegalni imigranci, nazywani przez strażników granicznych „czarnymi” (bo na czarno przekraczają granicę), jadą po kilkunastu, ukryci w tirach, pustych cysternach, pod podwójną podłogą przyczepy samochodowej czy w camperach.

Po przekroczeniu granicy Wietnamczycy obierają najczęściej kierunek na Warszawę. Część z nich jedzie od razu dalej, do innych krajów Europy Zachodniej. Ci, którzy zostają w Polsce, trafiają do Wólki Kosowskiej lub do dużych miast, gdzie łatwo zgubić się w tłumie.

W styczniu 2020 roku trzech wietnamskich biznesmenów i ich siedmiu współpracowników usłyszało zarzuty dotyczące przemytu swoich rodaków przez Rosję, kraje nadbałtyckie i Polskę na zachód Europy. Za przerzut do Niemiec, Belgii, Francji czy Wielkiej Brytanii trzeba było zapłacić 15 tys. dolarów. Opłatę uiszczano już po przekroczeniu polskiej granicy.

Sprawę prowadził Lubelski Wydział Zamiejscowy Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej. Ale na trop siatki wpadli funkcjonariusze Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej w Chełmie.

Jak pisał portal tvp.info, kurierzy przewozili Azjatów do poczekalni, czyli mieszkań, m.in. w Wólce Kosowskiej, Mrokowie czy w stolicy. Tu otrzymywali wyżywienie i umożliwiano im kontakt z najbliższymi. I właśnie na tym etapie dochodziło do rozliczenia między rodziną migranta a przemytnikami. Po zaksięgowaniu należności Azjaci ruszali w dalszą drogę do Niemiec czy Francji.

Śledczy ustalili, że grupa funkcjonowała w Polsce co najmniej od 2012 do 2017 roku. Przestępcy blisko współpracowali z wietnamską diasporą m.in. na Słowacji i w Czechach. Mózgami operacji byli Wietnamczycy, którzy od lat legalnie mieszkali i pracowali w Warszawie i Wólce Kosowskiej. Koordynowali siatkę przerzutową działającą w Wietnamie, Rosji, Polsce, Niemczech, we Francji, w Belgii oraz na Białorusi i Ukrainie. Na początku 2020 roku zatrzymano 20 osób związanych z gangiem.

Jak podaje ONZ, nielegalna migracja to druga najbardziej dochodowa gałąź działalności grup przestępczych na całym świecie. Przemytnicy są zorganizowani, mają wiele kontaktów i działają bardzo elastycznie. Służby starają się deptać im po piętach. Wiele też zależy od współpracy z funkcjonariuszami z krajów sąsiednich.

Szmuglerzy często zmieniają trasy. Gdy tylko zauważą zainteresowanie funkcjonariuszy, wzmożone kontrole i więcej patroli, natychmiast reagują. Dostosowują się do sytuacji. Weryfikują przebieg kanału, szukając słabych punktów, alternatywnych dróg, stosunkowo bezpiecznych tras.

Asy, pelikany i kurczaki

Przez Polskę wiedzie przede wszystkim przemytniczy kanał nadbałtycki, ale nasze służby rozbijają także rodzime grupy, które wykorzystują kanał bałkański.

W 2018 roku funkcjonariusze Śląskiego Oddziału Straży Granicznej w Raciborzu zatrzymali czterech pseudokibiców z

bojówki Cracovii, którzy organizowali przemyt uchodźców z Syrii, Afganistanu i Jemenu właśnie kanałem bałkańskim. Według portalu tvp.info działalność rozpoczęli w 2015 roku. Pierwsze wpadki zaliczyli w 2017 roku, przerzucając ludzi z Węgier przez Słowację do Niemiec. Za przewóz busem do Zgorzelca brali 200-500 euro od osoby. Podczas jednego z przerzutów, w sierpniu 2015 roku, przemycili do Niemiec 10 Afgańczyków. Dwa dni później zabrali 52 Syryjczyków i Afgańczyków. Kolejny kurs zrobili we wrześniu, kiedy to przerzucili 31 uchodźców, głównie z Jemenu i Afganistanu. Chętnych szukali na Węgrzech, w obozie dla uchodźców w Bicske, w pobliżu Budapesztu.

Aby zorganizować własny kanał przerzutowy, nawiązali kontakt z działającymi na tym terenie arabskimi i afrykańskimi przemytnikami ludzi, którzy pomagali im w werbowaniu zainteresowanych. Pseudokibice sami nie prowadzili jednak przemytniczych samochodów. Przez ogłoszenia znajdowali kierowców, głównie busów i vanów. Najlepiej marki Renault lub Fiat. Niektórzy rezygnowali, gdy okazywało się, z jakim ładunkiem mają jechać. Zwykle jednak dowiadywali się o tym w ostatniej chwili.

Grupa wpadła przez jednego z kierowców, który doprowadził do czołowego zderzenia z osobówką. Do wypadku doszło na Słowacji. Zginął pasażer auta osobowego. A z ciężarówki wyskoczyli Syryjczycy i próbowali uciekać.

Był to początek końca gangu. Proces członków grupy opisywała „Gazeta Krakowska”. Na jaw wyszło wówczas, że podczas rozmów telefonicznych przestępcy nazywali kierowców „asami” lub „chamami”, o samochodach mówili „pelikany”, zaś o uchodźcach – „kurczaki”. Funkcjonariusze przyznają, że przemycani ludzie często są nazywani też „walizkami”. Śledczy szacowali, że grupa przerzuciła do Niemiec i Austrii w sumie kilkaset osób. W ciągu trzech lat oskarżono kilkunastu członków tej bandy.

Mniej znaczy bezpieczniej

Sposoby ukrywania przerzucanych ludzi ciągle ewoluują. W ostatnim czasie grupy przestępcze odchodzą od dużych przemytów po kilkadziesiąt osób. Okazały się ryzykowne, niebezpieczne – łatwo wtedy o wpadkę. A kilka przypadków, gdy odkryto tiry wypełnione ciałami cudzoziemców, dodatkowo zniechęciły przemytników do tego rodzaju akcji. Obecnie bardzo popularne są chłodnie, w których przygotowuje się obok agregatów specjalne skrytki. Mieści się tam od dwóch do pięciu osób.

Straż Graniczna napotyka najczęściej na schowki wewnątrz naczepy, gdzie wydziela się niewielką przestrzeń. W głębi stawia się ściankę, dzięki czemu powstaje coś w rodzaju małego pokoju. Prowadzi do niego oddzielne wejście od spodu, z dachu lub od strony kabiny kierowcy i jest ukryte np. za ruchomą skrzynką na narzędzia.

W piecach grzewczych i camperach

W listopadzie 2019 roku CBŚP i Straż Graniczna dobrały się do międzynarodowej grupy przemycającej cudzoziemców kanałem bałkańskim. Zatrzymano wówczas 10 osób, w tym dziewięciu Polaków i obywatela Wietnamu. Pod koniec czerwca 2020 roku służby dokończyły dzieła. Do akcji włączył się także Europol. Funkcjonariusze wkroczyli do 10 miejsc na terenie województw: mazowieckiego, podlaskiego, dolnośląskiego i lubuskiego. Zatrzymali kolejnych siedmiu Polaków i jednego Wietnamczyka.

Grupa ta, jak to określił prokurator, stworzyła „…dobrze funkcjonujący kanał przerzutowy, tzw. kanał bałkański” – napisano w akcie oskarżenia. Przemyt był prowadzony przede wszystkim z terytorium Rumunii, przez Węgry, Słowację i Polskę do Niemiec, Francji lub Wielkiej Brytanii. Zainteresowanych szukano wśród osób pochodzenia arabskiego i obywateli Wietnamu.

Przerzuty odbywały się etapami. Cudzoziemców przewożono ciężarówkami w specjalnych skrytkach konstrukcyjnych budowanych w przestrzeni ładunkowej pojazdów. Wykorzystywano też wypożyczane pojazdy na polskich i brytyjskich numerach rejestracyjnych – od dużych ciągników siodłowych z naczepami, po mniejsze półciężarówki z plandekami czy samochody kempingowe, a także wspomniane już chłodnie. Sporym *novum* było ukrywanie osób w różnych urządzeniach. Do przestępczego procederu przystosowano np. piece centralnego ogrzewania z podajnikiem i systemem sterującym. Człowieka ukrywano w piecu, a na czas podróży wyposażano go w maskę z butlą tlenową. Aby minimalizować wpadkę, kierowca zawsze był dobrze przygotowany i posiadał dokumentację transportową CMR, którą w przypadku kontroli okazywał służbom.

Śledczy ustalili, że organizatorzy za każdym razem wybierali inną, najbardziej z ich punktu widzenia bezpieczną trasę. Po przekroczeniu południowej granicy naszego kraju obcokrajowcy trafiali na teren województw: śląskiego, dolnośląskiego lub lubuskiego. Tam przesiadali się do innego samochodu i albo przewożono ich do miejsca, gdzie mogli odpocząć, albo od razu ruszali w dalszą trasę do kraju docelowego. Za przerzut trzeba było zapłacić od 6,5 tys. do 20 tys. dolarów. Grupa działała w latach 2018-2019. W trakcie śledztwa udaremniono przerzut 30 cudzoziemców.

Funkcjonariusze twierdzą, że kierowca tira, który wiezie imigrantów, często nie wie, że bierze udział w przestępstwie. Cudzoziemcy są wpuszczani do naczep w Serbii lub Chorwacji, pod nieobecność kierowcy. Plandekę rozcina się w taki sposób, by rozcięcia nie było widać, a potem zakleja. Zdarza się też, że kierowca przyjeżdża do bazy ciągnikiem siodłowym, dostaje zaplombowaną przyczepę oraz dokument przewozowy i rusza w trasę. Zdecydowana większość przerzutów migrantów na terenie Polski jest ujawnianych właśnie po informacji od kierowcy. Dzwonią na policję, gdy słyszą podejrzane dźwięki dochodzące z wnętrza tira.

Ryzyko najwyższej ceny

Gdy funkcjonariusze dowiadują się o przemycie ludzi w ciężarówce, natychmiast wzywają pogotowie.

– Migranci są skrajnie wycieńczeni. Zagrożenie życia jest ogromne – podkreślają.

Ludzie często nie są przygotowani do tak długich podróży i nie zabierają wystarczającej ilości wody czy jedzenia. Zdarzały się przypadki, że rozcinali plandekę, by zebrać i wypić deszczówkę, a ich jedynym prowiantem były herbatniki i kilka batonów. Setki kilometrów jadą w kucki stłoczeni na niewielkiej powierzchni, nie mogąc się stamtąd samodzielnie wydostać. Taka podróż w skrajnie ciężkich warunkach często trwa kilkadziesiąt godzin. Ludzie załatwiają się do butelki albo wiadra, są brudni i wycieńczeni. Ryzykują życiem. Przemytnicy w ogóle nie myślą o zapewnieniu im w miarę przyzwoitych warunków.

Najwyższą cenę za przerzut zapłaciły we wrześniu 2007 roku córki Kamisy Dżamaldinow. Czeczenka z czwórką dzieci chciała się przedostać przez zieloną granicę do Słowacji, gdzie czekał na nią mąż. To miała być przepustka do nowego życia w Szwecji. Ale rodzina wpadła w śmiertelną pułapkę. Dziennik „Fakt" opublikował później wstrząsającą relację kobiety.

Przemytników znalazła we Lwowie. Trzech Ukraińców zgodziło się przeprowadzić kobietę z dziećmi przez zieloną granicę za 2200 dolarów. Kamisa zabrała ze sobą 13-letnią Hawę, 10-letnią Siedę, 6-letnią Elinę i 2,5-letniego Emiego. Mężczyźni zapewnili, że przeprawa potrwa jedną noc. I na taki wariant Kamisa się przygotowała. Zapakowała bochenek chleba, kilka snickersów, po jednej butelce wody i coli. Wieczorem wsiadła do samochodu przewodników. Było ciemno, gdy ruszali w góry.

Czeczenka ze szczegółami opowiadała, jak przebiegała podróż.

Elina szła pierwsza, zaraz za mężczyznami. Sieda była chora, bolały ją nogi. Padał deszcz i było zimno. Nad ranem zobaczyli stodołę, w której rodzina odpoczęła. Brakowało już jedzenia. Przed

południem dotarli do słupka granicznego. Przewodnicy wskazali, że w dole jest już Słowacja i – mimo próśb kobiety, by poszli z nią dalej – zawrócili. Idąc w kierunku wskazanym przez Ukraińców, rodzina nie dotarła jednak do żadnej wioski.

Szli dalej, aż zaczęło zmierzchać. Przenocowali pod gołym niebem. Matka ogrzewała dzieci własnym ciałem. Było coraz bardziej dramatycznie, ale Kamisa wciąż wierzyła w szczęśliwe zakończenie. Rano ruszyła z dziećmi dalej. Szli wzdłuż granicznych słupków, wołając o pomoc. Byli skrajnie wyczerpani, głodni i zziębnięci. Pierwsza zasłabła Sieda. Matka próbowała ją nieść, ale na rękach trzymała także małego synka. W zaroślach przeczekali burzę. Kobieta masowała dzieciom ręce i nogi. Z Siedą było coraz gorzej. Nagle starsza córka powiedziała, że Sieda nie żyje. Wtedy serce Kamisy pękło po raz pierwszy. Potem pękało jeszcze dwa razy, gdy odeszły Hawa i Elina. Dziewczynki zmarły z wyziębienia.

Przy słupku nr 102, po trzech dniach tułaczki, Kamisa dostrzegła polskiego pogranicznika. Strażnicy, którzy odnaleźli ciała dziewczynek, mówią, że do dziś nie mogą dojść do siebie. Wspominają to jak najgorszy koszmar i tragedię. Później pojawiła się informacja, że ukraińskich przewodników, którzy porzucili rodzinę w Bieszczadach, dosięgła kara. Wymierzyli ją sami Czeczeńcy.

Na podobieństwo lub na własną rękę

W Polsce najwięcej osób nielegalnie przekraczających granicę stanowią Ukraińcy. Nie zawsze korzystają z usług grup przestępczych, wielu stara się to robić na własną rękę. W 2019 roku Straż Graniczna zatrzymała podczas takich prób 2759 osób tej narodowości. Metody działania są przekazywane pocztą pantoflową. Najczęściej przekroczenie granicy odbywa się na podstawie dokumentów fałszywych lub wyrobionych na inne nazwisko. W Polsce powstają dochodowe sieci firm, które zajmują

się wystawianiem zaświadczeń o zatrudnieniu pracowników zza wschodniej granicy. Dokumenty te umożliwiają starania o wizę.

W latach 2016 i 2017 polsko-ukraińska grupa przemytników przerzucała Ukraińców przez Belgię do Wielkiej Brytanii na tzw. podobieństwo. Skupowali polskie dowody osobiste i spośród osób, które chciały nielegalnie przekroczyć granicę, wybierali tę o wyglądzie najbardziej zbliżonym do wizerunku prawowitego właściciela.

Grupa zatrudniła nawet charakteryzatorkę. Czasem kandydatom na imigranta zmieniano fryzurę lub kolor włosów. Dzięki tym zabiegom – na podstawie legalnych dokumentów – jechali do celu. Dowody osobiste odkupywano od osób bezdomnych lub będących w potrzebie, czyli o niskim statusie materialnym. Zdarzały się przypadki, że na jedno nazwisko wyrabiano nawet kilkanaście dowodów osobistych. Było to możliwe, ponieważ delikwent po odebraniu dokumentu z urzędu zgłaszał jego utratę – i tak w kółko.

W grupie był ścisły podział obowiązków. Kto inny zajmował się skupem dokumentów, pośrednik dopasowywał zdjęcie do człowieka, a kolejna osoba odpowiadała za transport. Funkcjonariusze podkreślają, że grupy zajmujące się przemytem ludzi zwykle są wielonarodowe, bo chętni do przekroczenia granicy łatwiej dogadają się z krajanami i szybciej im zaufają. Dlatego gangi tworzą sprawnie działające konsorcja przemytnicze.

Chęć poprawy warunków życiowych popycha ludzi do ryzykownych i często karkołomnych czynów. Jak podróż pod naczepą tira. Właśnie taką drogę wybrali trzej nielegalni migranci z Algierii (w wieku od 19 do 33 lat). W październiku 2020 roku przyjechali do Polski pod naczepą ciężarówki, która z Węgier wiozła przyprawy.

Kierowca zauważył ich na parkingu w Ludźmierzu, gdy próbowali się wydostać spod naczepy. Wezwał policję i Karpacki Oddział Straży Granicznej. Algierczycy nie mieli przy sobie żadnych dokumentów. Pobrano od nich odciski palców. Okazało

się, że figurują w europejskich bazach danych, ponieważ już wcześniej mieli do czynienia z funkcjonariuszami granicznymi.

Twierdzili, że uciekli z kraju z powodów ekonomicznych, ale ich rodziny tam pozostały. Lekarze ocenili, że mimo wielogodzinnej podróży pod naczepą mężczyźni są w dobrym stanie. Z ich wyjaśnień wynikało, że do Polski dotarli po kilkumiesięcznej podróży – najpierw pieszo przez Turcję, Grecję i Serbię trafili do Rumunii. Tam wybrali ciężarówkę i wykorzystując nieuwagę kierowcy, wsunęli się do dolnej części naczepy. Tak dojechali na Słowację. Na jednym z parkingów zmienili środek lokomocji na polską ciężarówkę. Zmierzali do Niemiec, ale źle wytypowali pojazd i dojechali do Ludźmierza.

Dwaj z nich – 19- i 28-latek – zostali przekazani na Słowację, skąd ruszyli do Grecji, gdzie złożyli wnioski o udzielenie ochrony międzynarodowej. Natomiast 33-latka deportowano do Algierii.

O niepowodzeniu akcji często decyduje przypadek. Zdarzenie, do którego doszło pod koniec września 2020 roku, sprawił, że wpadło czterech obywateli Sri Lanki. W Tyliczu w województwie małopolskim ukraiński kierowca chryslera cruisera stracił panowanie nad pojazdem i uderzył w betonowy przepust. Auto stanęło w płomieniach. Z pułapki udało się wyjść zarówno kierowcy, jak i jego pasażerom – czterem obywatelom Sri Lanki. Na miejsce przyjechały karetki, które rozwiozły poszkodowanych do szpitali w Krynicy-Zdroju, Nowym Sączu oraz Tarnowie. Ustalono, że migranci przedostali się do Polski nielegalnie. Granicę przejechali samochodem w miejscowości Muszynka (powiat nowosądecki). Po opuszczeniu szpitali trafili do Strzeżonego Ośrodka dla Cudzoziemców w Krośnie Odrzańskim.

Z kolei na zielonej granicy z Rosją i Białorusią nielegalna migracja organizowana przez grupy przestępcze praktycznie nie występuje. To zasługa – jak podkreślają funkcjonariusze – dobrze zorganizowanej ochrony po obu stronach granicy. Ze statystyk wynika, że pokonywanie zielonej granicy, czyli przedzieranie się przez las, jest coraz rzadsze. Ujawnione przypadki to głównie działania na własną rękę.

Wiza za małżeństwo

Obecnie najbardziej popularne jest przekraczanie granicy na podstawie nielegalnych dokumentów czy wyłudzonych wiz, „na podobieństwo", a najczęstszym środkiem transportu są tiry. Większość tego typu przypadków wiąże się z przestępstwami z obszaru wiarygodności dokumentów. Są to bardzo trudne do rozwikłania sprawy, bo dokumenty są przecież legalne, wystawione przez władze.

– Zostały jednak pozyskane w pokrętny sposób – mówi pogranicznik i wskazuje na kolejny model quasi-legalnej migracji. – Cudzoziemcy przybywają do Polski i na różne sposoby starają się legalizować pobyt na dłuższy czas.

Wizę można przedłużyć np. przez zawarcie związku małżeńskiego. Mimo że wiele osób zostawia w swoim kraju rodziny i małżonków, w Polsce przedstawiają fałszywe dokumenty świadczące o stanie wolnym. Dzięki małżeństwu z obywatelem Unii Europejskiej można zalegalizować pobyt – i często się to udaje.

Funkcjonariusze podają przykład młodej Polki, która na portalu randkowym poznała Pakistańczyka. Zakochała się, on obiecywał małżeństwo i szczęśliwe życie. Zabierał na wycieczki do Dubaju. Istniało podejrzenie, że będzie chciał ją tam wywieźć i np. wciągnąć w seksbiznes. Dlatego sprawę podjęły służby. Wtedy okazało się, że w swoim kraju Pakistańczyk ma już żonę i dwójkę dzieci. Ostatecznie do przestępstwa nie doszło. Amant wycofał się i wrócił do siebie.

– Czasem łatwiej zadziałać prewencyjnie – podsumowuje funkcjonariusz i dodaje, że takich przypadków jest bardzo wiele.

Kilka lat temu bohaterkami podobnych spraw były dojrzałe kobiety. Zawierały małżeństwa z mężczyznami z krajów trzecich – Indii, Pakistanu, Bangladeszu. Po niedługim czasie miłość kończyła się rozwodem, a porzucone żony oprócz męża traciły połowę majątku. Okazywało się, że przed ślubem nie zadbały o rozdzielność majątkową.

W trakcie śledztwa na jaw wychodziły jeszcze smutniejsze fakty – podczas wizyty w kraju męża kobiety były przez nich udostępniane za pieniądze kolegom. A to już handel ludźmi. Wiele takich spraw pozostanie tajemnicą rodzinną i nigdy nie ujrzy światła procesowego, bo ofiary wstydzą się o tym mówić.

Walizka, w której była ukryta Rosjanka. Wpadła z mężem Francuzem na przejściu kolejowym w Terespolu
foto SG

Syryjczyk ukryty w naczepie pomiędzy belami materiałów
foto SG

Imigranci z Turcji przeszli przez zieloną granicę i widząc funkcjonariuszy, próbowali się ukryć w konarach zawalonych drzew
foto SG

Czterech nielegalnych migrantów z Turcji przepłynęło Bug, używając dmuchanych kółek
foto SG

Fałszywe bułgarskie dokumenty kupione od przemytnika w Grecji oraz polskie podrobione dowody osobiste

foto SG

Afgańczycy w Belgradzie wsiedli do ciężarówki wiozącej arbuzy z Albanii przez Serbię, Węgry i Słowację aż do Polski
foto SG

Ośmiu obywateli Wietnamu przekroczyło granicę polsko-litewską w cysternie
foto SG

Miejsce pod naczepą tira, gdzie Algierczycy spędzili wiele godzin, jadąc z Rumunii na Słowację i dalej do Polski
foto SG

Zatrzymani po przekroczeniu zielonej granicy
foto SG

Algierczycy wjechali do Polski ukryci pod naczepą samochodu ciężarowego
foto SG

Ponad pół roku podróżowali z Afganistanu przez Pakistan, Iran, Turcję, Bułgarię i Serbię. Za przerzut zapłacili 7 tys. euro i ponad 6 tys. dolarów
foto SG

Imigranci zabierają w długą podróż niewielki bagaż
foto SG

Hindusi i Pakistańczyk za przerzut ze Słowacji zapłacili kierowcy po 800 euro
foto SG

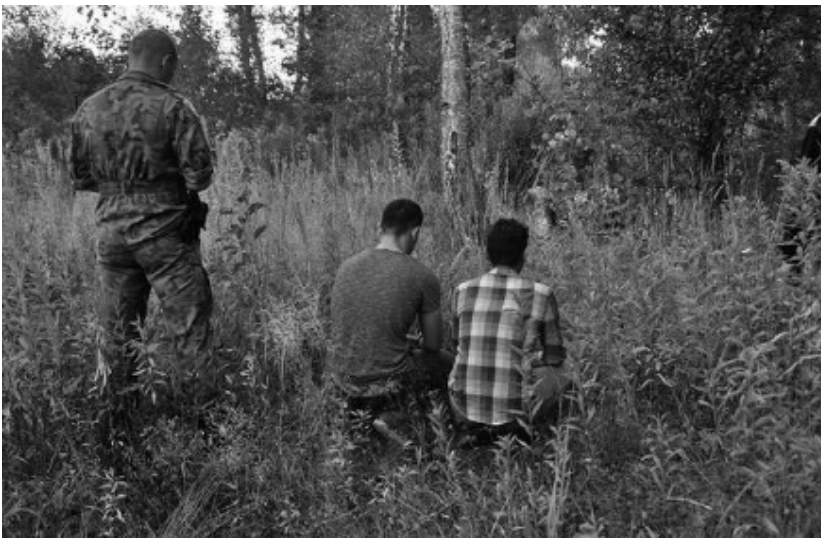

Syryjczycy pieszo przekroczyli granicę z Ukrainy do Polski
foto SG

Rozdział 13
Handel ludźmi

Handel ludźmi ma globalny zasięg i występuje w większości państw świata. Z raportu przygotowanego w 2017 roku przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji wynika, że tylko w Europie Zachodniej i Południowej w latach 2012-2014 uwolniono ofiary, będące obywatelami 137 państw.

Światowa Organizacja Pracy wylicza, że liczba ofiar pracy przymusowej na świecie może sięgać nawet 21 mln. Statystyki pokazują, że w ręce handlarzy najczęściej wpadają kobiety, ale obserwuje się także wzrost liczby dzieci i mężczyzn. Dzieci stanowią 28 proc. wszystkich ofiar handlu ludźmi (20 proc. to dziewczynki, 8 proc. – chłopcy), mężczyźni – 21 proc.

Według światowych danych 51 proc. ofiar jest wykorzystywanych seksualnie, a 37 proc. kieruje się do pracy przymusowej. Nieco inaczej problem wygląda w Polsce, gdzie więcej tego typu spraw dotyczy pracy przymusowej. Ludzie są też czasami zmuszani do popełniania przestępstw, żebrania czy wyłudzania kredytów i świadczeń socjalnych.

Różnice w formach handlu ludźmi w różnych regionach świata pokazują także dane zebrane przez UNODC (The United Nations Office on Drugs and Crime). W Europie ofiary najczęściej trafiają do seksbiznesu (66 proc.), ale w Azji Środkowej i Europie Wschodniej główną formą handlu ludźmi jest praca przymusowa (64 proc.). Europa Wschodnia i Azja Środkowa to jedyne regiony świata, gdzie mężczyźni częściej

niż kobiety stają się obiektem zainteresowania handlarzy ludźmi. Stanowią aż 53 proc. pokrzywdzonych.

W Polsce ofiarami tego procederu padają zarówno kobiety, jak i mężczyźni – najczęściej osoby młode, bezrobotne, z wykształceniem podstawowym.

Na loverboya

Problem handlu ludźmi ewoluował. Na czym innym polegał w latach 90., a inaczej wygląda dzisiaj.

– W latach 90. problem dotyczył głównie Polek wywożonych do agencji towarzyskich i burdeli na Zachód, przede wszystkim do Niemiec i Francji lub Szwajcarii – wyjaśnia major Nowak. – Zazwyczaj kobiety te były przewożone przez granicę nielegalnie na podstawie fałszywych dokumentów.

Nie mogły jechać legalnie, bo często były już wcześniej wydalane z tych krajów, więc grupy przestępcze – by nadal móc wykorzystywać je do pracy – organizowały fałszywe papiery. Funkcjonariusz tłumaczy, że wśród tych kobiet były zawodowe prostytutki, które świadomie decydowały się na taki styl życia, ale były także takie, którym obiecywano lepsze życie i pracę na Zachodzie, np. opiekunki do dzieci.

– Później trafiały do agencji towarzyskich. Była to jedna z najczęściej wykorzystywanych metod. Złapać kogoś na lep. Masz fajną propozycję. Decyduj się szybko, bo jest dużo chętnych na tę posadę. My ci pomożemy. Jak nie masz paszportu, to zorganizujemy. Koszty pokryjemy, a ty oddasz nam później – opowiada i reasumuje, że później było już za późno, by się wycofać. – To klasyczny model werbowania w tamtych latach.

Dzisiaj sprawcy już tak nie działają, ludzie są bardziej świadomi. Pojawił się model werbunku na loverboya. Sprawca rozkochuje w sobie przyszłą ofiarę. Zdarza się, że tworzą związek, żyją wspólnie, mieszkają. Po jakimś czasie on mówi: „Nie mamy z czego żyć. Mieliśmy mieć biznes, ale się nie udało. Musisz stanąć na drodze". I ona staje… z miłości.

Takie związki często są później badane podczas procesów przez biegłych sądowych, którzy określają je jako patologiczne związki emocjonalne. To system wykorzystywany przez grupy przestępcze, które zdominowały rynek prostytucji. Opiekun może mieć kilka rozkochanych i uzależnionych od siebie kobiet.

Przykładem takiego modelu była rozbita przez policję banda „Braciaków" z Gdyni. Bracia B. – Aleksander, Leszek i Paweł – stali się słynni, gdy po ich zatrzymaniu w 2013 roku ujawniono zdjęcia prostytutek z tatuażami „własność Braciaków". Trzej bracia zaczynali od rozrób i drobnej gangsterki. Przykład szedł z góry. Ich ojciec – były policjant – należał do gangu, który w latach 1998-2002 napadał na tiry i porywał ludzi dla okupu.

Grupa „Braciaków" postawiła na sutenerski biznes w 2009 roku. Kobiet szukano w klubach i dyskotekach Trójmiasta. Potem były pożyczki na operacje plastyczne, np. powiększenie biustu. W ten sposób kobiety uzależniały się od stręczycieli. Toksyczne relacje były tak silne, że niektóre z nich tatuowały sobie na ciele deklaracje: „Kocham mojego pana i władcę Braciaka", „Własność Pawła", „Niewolnica pana Olka", „Wierna suka Leszka".

Biegli, którzy zajmowali się tą sprawą, wskazywali, że ofiary pozostawały pod bardzo silnym wpływem bandy. Tatuaże mogły robić nawet z własnej woli, choć zapewne czuły presję wynikającą z oczekiwania. Może liczyły, że w ten sposób trafią do grona zaufanych? Część prostytutek była

wręcz związania emocjonalnie z Braciakami. Mimo że – jak twierdzą śledczy – nie mogły liczyć na taryfę ulgową.

Na ich pracy gang miał zarobić około 6 mln złotych. Podczas rozmowy ze śledczymi część kobiet złożyła obciążające zeznania. Ale funkcjonariusze podkreślają, że praca z ofiarą jest bardzo trudna i nie zawsze przynosi oczekiwany skutek. Taka osoba jednego dnia odpowiada na pytania, a kolejnego odwołuje zeznania. Tak było w przypadku tego gangu.

Najpierw kobiety zgodziły się coś opowiedzieć, a po kilku dniach pojawiły się przed prokuraturą z transparentem „Uwolnić Alka". Zdarzają się przypadki, że ofiara współpracuje ze śledczymi, następnego zaś dnia jest w traumie, następuje u niej stupor, zamyka się w sobie, trafia do szpitala psychiatrycznego i więcej nic nie mówi. Z podobnymi sprawami mierzy się Straż Graniczna, prowadząc śledztwa z obszaru prostytucji przydrożnej.

Silny związek emocjonalny

Prostytutka musi oddawać swojemu opiekunowi ponad połowę zarobków – jeśli od klienta dostanie 200 złotych, to 120 złotych trafi do kasy sutenera. Kodeks karny opisuje ten proceder jako czerpanie korzyści z nierządu (art. 204 k.k.). Jeśli do tego dojdą ograniczanie lub pozbawienie wolności, zabór dokumentów, bicie, zgwałcenia, przemoc i szantaż, możemy wtedy mówić o zniewoleniu człowieka, a to już podpada pod przepisy o handlu ludźmi, który jest zbrodnią zagrożoną karą pozbawienia wolności od lat trzech do 15.

W Polsce ofiarami eksploatacji seksualnej najczęściej są obywatelki Bułgarii, Ukrainy, a także państw afrykańskich, np. Sierra Leone, Gwinei, Nigerii. Na polski rynek prostytucji

Bułgarki trafiają od lat i najczęściej są przywożone oraz wykorzystywane do pracy na ulicy przez swoich krajan. Chociaż – jak zauważają śledczy – są też Bułgarzy, którzy wykorzystują Polki. W początkowej fazie werbowania mężczyźni ci twierdzą, że pochodzą np. z Bałkanów, Hiszpanii czy Włoch.

Zależność emocjonalna między ofiarą a stręczycielem jest czasami tak wielka, że kobiety są zdolne do podejmowania naprawdę zaskakujących i przerażających decyzji, jak np. przekazanie w zastaw „człowiekowi, który ją prowadzi", własnego dziecka. Jedna z takich kobiet trafiła do Niemiec, Danii, a potem Francji, gdzie zmuszano ją do świadczenia usług seksualnych w agencjach towarzyskich. Dziecko zostało pod opieką przestępców.

– To pokazuje silny związek emocjonalny między ofiarą a sprawcą. Aby osiągnąć sukces i nakłonić kobietę do współpracy w śledztwie i zerwania z dotychczasowym życiem, musimy zerwać więzy łączące ją ze stręczycielem – wyjaśnia major Nowak.

Mechanizm zależności i zaangażowania emocjonalnego jest wykorzystywany we wszystkich rodzajach prostytucji – zarówno przydrożnej, jak i w agencjach towarzyskich. Dziewczyny często twierdzą, że kochają swoich stręczycieli, mimo że oni przymuszają je do procederu – są przekonane, że muszą stać na drodze, bo nie mają za co żyć.

– Podczas rozmowy z ofiarą niezmiennie zaskakuje mnie to, że potrafi tak mocno zaufać sprawcy i bezwolnie mu się oddać. Ma świadomość, że jest wykorzystywana, ale kocha go i czuje się z nim tak związana, że zrobi dla niego wszystko – mówi major Nowak.

Tymczasem opiekun siedzi w knajpie obok hostelu, w którym pracuje jego podopieczna, i esemesowo rozlicza ją z liczby obsłużonych klientów. A ona mu odpowiada. Bo ofiary

handlu ludźmi, zwłaszcza te z seksbiznesu, to często specyficzny typ człowieka z bagażem złych doświadczeń. To osoby uzależnione od alkoholu, mające problemy z prawem, zadłużone, nieporadne życiowo, skonfliktowane z rodziną, bez wykształcenia albo słabo wykształcone, analfabeci, mający czasem problem z określeniem pojęć abstrakcyjnych.

W maju 2008 roku, w efekcie śledztwa prowadzonego przez prokuraturę w Krakowie i funkcjonariuszy Straży Granicznej z Zakopanego, zatrzymano trzech braci G. Niechlubną sławę przyniosła im agencja towarzyska Bahama Klub GO-GO, którą prowadzili na granicy Poronina i Białego Dunajca. Słynni stali się także dlatego, że po śmierci Jana Pawła II zarzekali się, iż skończyli z seksbiznesem. Ale była to tylko zasłona dymna.

Oskarżono ich o handel ludźmi i czerpanie korzyści z nierządu. W swoim przybytku wykorzystywali Ukrainki. Śledczym udało się dotrzeć do siedmiu z nich. Okazało się, że dwie z nich bracia mieli kupić w 2002 roku za 2 tys. dolarów.

Kobiety były werbowane w swoim kraju przez swoich rodaków. Zwabiono je obietnicą pracy w agencji towarzyskiej w Niemczech. Ale dotarły do Polski. W toku śledztwa ustalono, że były zmuszane do procederu. Zabrano im paszporty i rzeczy osobiste. Odbierano też połowę zarobku – od 50 do 100 zł.

Ponadto ustalono, że gdy jedna z nich próbowała się wycofać, została pobita przez swoich krajan sprowadzonych przez braci G. Miała wybite zęby, pęknięte żebro i złamany nos.

Ofiary braci po procesie wróciły na Ukrainę. Jedną z nich objęto programem ochrony świadków i została w Polsce. Przed sądem bracia nie przyznawali się do niczego. Przekonywali, że prowadzili pensjonat i jedna z lokatorek ich pomówiła. W

efekcie śledztwa zlikwidowano agencję w Małopolsce i dwie w Szwajcarii.

– Ostatnio na wschodniej granicy zatrzymano obywatela Ukrainy, werbownika, który był poszukiwany listem gończym do tej sprawy. Myślał, że już się przedawniła – tłumaczy mjr Nowak. – Teraz odpowiada za handel ludźmi, bo werbował na Ukrainie swoje ofiary wykorzystywane później w Polsce. To dowodzi, że zjawisko handlu ludźmi ma charakter transgraniczny. I w jakimś stopniu pokazuje również skuteczność organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

Metodę na loverboya stosował też nigeryjski gang, który działał z terenu Polski. Całą sprawę opisali reporterzy „Superwizjera" TVN. Na portalach randkowych członkowie grupy werbowali kobiety z państw Europy Zachodniej i Środkowej, by wykorzystywać je do przemytu narkotyków. Ofiary nazywano „ptakami". Przewoziły towar w żołądkach lub narządach rodnych. Manipulowano kobietami, obiecując im małżeństwo i lepsze życie. Często zawierano związki. Zmuszano je do przemytu, by zarobiły na utrzymanie dzieci.

Członkowie grupy oszukiwali po kilkanaście kobiet naraz. Gdy połknęły haczyk, stawały się częścią olbrzymiej machiny przemytniczej, z której niełatwo się wyrwać. Z czasem pojawiały się szantaż i przemoc. W tym przypadku śledczy mówią o dziesiątkach ofiar, ale nie podają dokładnej liczby, być może nigdy nie uda się jej ustalić. Sprawę komplikuje olbrzymi zasięg gangu. Jego członkowie są rozsiani są wielu krajach, także Afryki, Ameryki Południowej i Północnej. Oprócz bossa zatrzymano zaledwie kilka osób.

Rozdział 14
Legalna granica, dalej wyzysk i przemoc

Innym obszarem, którym zajmują się strażnicy graniczni, jest wyzysk w pracy przymusowej. Ofiary najczęściej pochodzą z zagranicy, większość z Ukrainy – są wykorzystywane w naszym kraju lub wywożone dalej na Zachód.

Jedną z takich spraw prowadził morski oddział Straży Granicznej. Dotyczyła wyzysku obywateli Ukrainy, Polski i Białorusi w sektorze budowlanym na terenie Polski i Szwecji. Grupa przestępcza współpracowała z agencjami pracy działającymi na Ukrainie, których klienci trafiali do Polski legalnie. Ale na tym kończyła się zgodna z prawem działalność. Zaczynały się problemy.

Wypłaty należności były częściowe albo pracownicy w ogóle nie dostawali pieniędzy. Pod pretekstem np. konieczności przedłużenia pobytu oddawali pracodawcy paszport. Do tego dochodziły niegodziwe traktowanie, przemoc fizyczna i psychiczna oraz kary finansowe, np. za palenie papierosów w miejscu niedozwolonym lub bycie pod wpływem alkoholu po imprezie, którą zorganizował sam pracodawca.

Nadwiślański Oddział Straży Granicznej w 2016 roku prowadził sprawę dotyczącą 69 obywateli Ukrainy (49 kobiet i 20 mężczyzn), których zatrudniono w firmie zajmującej się profesjonalnym zbiorem i skupem jabłek, a następnie ich sortowaniem oraz sprzedażą. Ludzie ci pracowali po 12-14

godzin na dobę. Pozwolono im się wykąpać pierwszy raz dopiero po tygodniu od przyjazdu. Mieszkali w kontenerach ustawionych jeden na drugim, spali na piętrowych, metalowych łóżkach. Pomieszczeń nie ogrzewano. W ocenie śledczych warunki nie odpowiadały jakimkolwiek wytycznym sanitarnym i bezpieczeństwa.

W 2019 roku zatrzymano trzy osoby, które werbowały kobiety z Ugandy do przymusowej pracy w sortowni ubrań w powiecie słupskim. Ustalono, że 29-letni mężczyzna i 30-letnia kobieta (obywatele Belgii mieszkający w Polsce) oraz 45-letni Polak podstępnie ściągnęli do naszego kraju dziewięć Ugandyjek. Wszystkie były w trudnej sytuacji materialnej. Oferowano im zatrudnienie z zakwaterowaniem. Jednak warunki, jakie zastały na miejscu, znacznie odbiegały od nakreślonych wcześniej. Przymuszano je także do pracy i stosowano przemoc psychiczną.

W 2016 roku głośna była sprawa wykorzystywania do pracy obywateli Ukrainy i Białorusi w znanych i mniej znanych stołecznych restauracjach. Zidentyfikowano kilkanaście ofiar (kobiety i mężczyźni), które po 17 godzin na dobę pracowały jako pomoce kuchenne. W ciągu miesiąca wychodziło ponad 370 godzin. Pracodawca werbował chętnych, zamieszczając w mediach społecznościowych ogłoszenia, w których oferował zatrudnienie w Polsce. Obiecywał zakwaterowanie i wyżywienie gratis.

Mieli zarabiać 7-8 złotych za godzinę. Rzeczywistość okazała się brutalna. Śledczy ustalili, że z pensji potrącano im 400-450 złotych za nocleg. Zakwaterowanie przygotowano w willi na warszawskim Mokotowie. Od piwnicy po strych gnieździli się w pokoikach po pięć, sześć osób. Początkowo spali na materacach, z czasem pojawiły się łóżka. Mieli do dyspozycji jedną lub dwie toalety i kuchnię. To musiało wystarczyć ponad 60 osobom. Lokale te nazywali „gułagami”.

Wstawali o 5 rano, z pracy wracali około 22 czy 23. Kładli się spać, a o 2 w nocy Mirosław K. potrafił zrobić im odprawę pracowniczą.

– Lżył, wyzywał, straszył, groził. Klękali przed nim, by dostać zarobione pieniądze, a on ich nie wypłacał – wymienia funkcjonariusz.

To szef decydował, kto i ile dostanie. Za pierwszy miesiąc nie wypłacał ani grosza. Usłyszeli, że był to ich okres próbny. Później otrzymywali np. jedną trzecią sumy. Mówił, że resztę dostaną później, jak dobrze się spiszą. Zwlekał z wypłatą nawet po kilka miesięcy. W końcu zrozumieli, że wpadli w potrzask, ale tkwili w nim, bo obawiali się, że stracą pracę i szansę na odzyskanie pieniędzy. Policji nie zawiadamiali, bo przecież pracowali na czarno. Tak działała machina, która uzależniała ich od pracodawcy.

Wśród ofiar byli mężczyźni i kobiety w różnym wieku, m.in. były zapaśnik, którego tak zdemotywowano i zmanipulowano, że stał się całkowicie uległy i poddany oprawcy. Podczas rozmowy z funkcjonariuszem przyznał, że hamował się, nigdy nie użył przemocy, bo sprawca miał jego pieniądze.

– Na tym polega system zależności między sprawcą a ofiarą, to wytworzenie więzi materialnej lub psychicznej – wyjaśnia śledczy.

Z czasem Mirosław K. zaproponował współpracę 33-letniemu informatykowi, który na zmywaku pracował dla niego od 2015 roku. Miał być nadzorcą i szukać kolejnych chętnych do pracy. Okazał się też gwoździem do trumny dla organizatora tego procederu, bo później w śledztwie opisał *modus operandi*. Wobec pracowników stosowano przemoc psychiczną, obrażano ich. Nakładano kary finansowe za niepodporządkowanie się poleceniom.

Sprawa wyszła na jaw, bo kilkoro pracowników uciekło, przerwali zmowę milczenia. Lawina ruszyła, gdy zaczęli się zgłaszać do Fundacji przeciwko Handlowi Ludźmi i Niewolnictwu „La Strada". Potem trafili do Straży Granicznej – i śledztwo nabrało tempa.

Historia Marii

Jedną z takich historii fundacja „La Strada" przedstawiła w projekcie Trafikoteka – to relacje ofiar handlu ludźmi czytane przez znanych aktorów. Anna Cieślak przytacza opowieść 28-letniej Marii z Ukrainy, która zeznawała w procesie o handel ludźmi.

Do Polski przyjechała za pracą z małej ukraińskiej wioski. Towarzyszyła jej koleżanka. Na podróż wydały wszystkie oszczędności. W agencji pośrednictwa pracy usłyszały ofertę: 700 dolarów miesięcznie za dwa dni pracy w tygodniu jako pomoc kucharza, mieszkanie za darmo. Ale gdy kobiety wysiadły na dworcu autobusowym w Warszawie, nikt na nie nie czekał. Zadzwoniły do kobiety, która miała je przejąć, a ona podała im numer telefonu do mężczyzny, który „potrzebuje ludzi do pracy". Tak rozpoczął się ich koszmar.

Usłyszały nowe warunki: praca przez sześć dni w tygodniu, stawka 1800 złotych i darmowe mieszkanie. Nie miały wyboru, zgodziły się, bo zostało im tylko 70 złotych. Trafiły do restauracji jako kucharki.

– Praca była bardzo ciężka, trzeba było rozładowywać duże dostawy, nie było nawet czasu zjeść – wspomina Maria. – Pieniędzy nie miałyśmy. Jedzenie kupowałyśmy z napiwków.

Po miesiącu Maria dostała nieco ponad 300 złotych, a jej przyjaciółka 270 złotych. Usłyszały od swojego pracodawcy, że odbyły staż i szefowi restauracji nie podoba się ich praca.

– Wtedy najważniejsze było dla mnie przeżyć. Byłam tak zmęczona, że nie miałam nawet siły myśleć o jakichś dokumentach czy zmianie pracy lub mieszkania – opowiadała Ukrainka.

Wizami i innymi dokumentami zajmował się ich pracodawca. One miały tylko wypełniać swoje obowiązki w restauracji. Zdarzało się, że dopiero po 13 dniach codziennej pracy dostawały jeden dzień wolny, by się wyspać i uprać ubrania. Z powodu tak ciężkiej pracy w ciągu 2,5 roku kobieta dwukrotnie trafiła do szpitala.

Jeśli ktoś nie pracował, musiał opuścić mieszkanie, by nie zajmować miejsca.

– Gdy jedna z kobiet nie poszła do pracy, kazał jej nocować na dworcu autobusowym. Prosiłyśmy, żeby jej nie wyganiał na noc, ale nie pomagało – wspominała Maria. – Moje życie było istnym piekłem.

Wszystko zależało od człowieka, który dawał jej pracę. Gdy kobieta jechała na Ukrainę, nie dostawała całej wypłaty. W ten sposób mężczyzna się zabezpieczał – wiedział, że Maria wróci do Polski, by odebrać resztę należnych jej pieniędzy.

Kobietę wciąż straszono Strażą Graniczną i policją. W końcu zrozumiała, że jeśli zabraknie jej sił, nie będzie mogła pracować. I uciekła. Ale wtedy zorientowała się, że jej dokumenty potrzebne do wyrobienia karty pracy zostały u oprawcy. Za ich wydanie zażądał 3,5 tys. złotych. Nie miała tyle. W końcu oddała mu wszystkie oszczędności – 2 tys. złotych. To on miał złożyć dokumenty. Zrobił to, ale później wycofał. Gdy Marii zagroziła deportacja, poszła do urzędu i dowiedziała się, że ma pełnomocnika, na którego adres są wysyłane wszelkie informacje na jej temat.

– Zrozumiałam, że mnie oszukał – wyznała. Została w obcym kraju bez pracy, pieniędzy i dokumentów. Ale chciała walczyć i w końcu trafiła do fundacji „La Strada”.

Wspominając dawne życie, sama nie rozumie, dlaczego to znosiła.

– Może myślałam, że to normalne i na nic więcej nie zasługuję?

Podziękowania

Chciałabym podziękować wszystkim, który przyczynili się do powstania tej książki. W szczególności funkcjonariuszom i pracownikom Krajowej Administracji Skarbowej oraz Straży Granicznej za cierpliwość, poświęcony mi czas i wszystkie odebrane telefony. Wydawnictwu Harde za zaufanie. Rodzinie i przyjaciołom za wsparcie i motywację.

Koniec